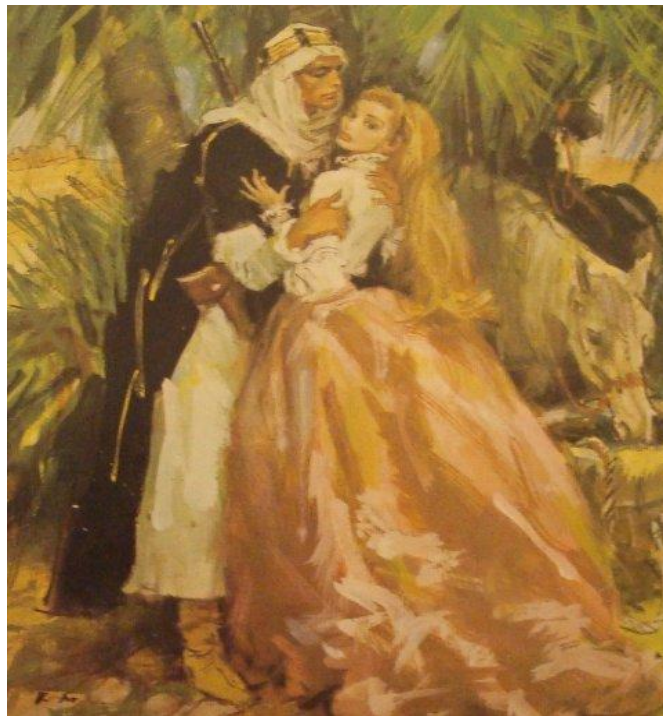




**Barbara Cartland**

**Pustynne namiętności**

**Passions in the sand**



„Reszta mojego życia była tylko powolnym umieraniem. Światem, gdzie żyły jedynie fantomy przeszłości.

Oddech, wiatr, dźwięk, głos, brzęczenie dzwoneczków na szyjach wielbłądów...”

## **Rozdział pierwszy**

Rok 1870

Och nie, tatusiu! To niemożliwe. Nie mogę wyjść za lorda Banthama!

Vita mówiła głosem zdecydowanym, lecz jej ojciec, generał sir George Ashford, nie zwracając na to uwagi oświadczył:

- Domyślam się, Vito, że jego oświadczenia są dla ciebie zaskoczeniem. Zapewniam cię jednak, że zarówno twoja matka, jak i ja uważamy go za wprost idealnego kandydata na męża.

- Ależ on jest stary, tatusiu! To twój przyjaciel! Nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło, że może być mną zainteresowany.

- Bantham ma stanowisko i cieszy się poważaniem, co raczej trudno dzisiaj powiedzieć o młodych mężczyznach - rzucił chłodno generał. - I chociaż manifestowanie uczuć nie należy do jego zwyczajów, szczerze cię kocha i pragnie, abyś została jego żoną.

- Przecież to absurd! Jest na to stanowczo za stary! W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że nie zachowała się zbyt taktownie. Jej ojciec, kiedy przyszedł na świat, miał lat czterdzieści pięć, podczas gdy lord Bantham skończył dopiero czterdzieści. Jednak to, co usłyszała, naprawdę ją przeraziło. Oczywiście miała zamiar wyjść kiedyś za mąż. Już teraz zresztą wielu atrakcyjnych mężczyzn składało swe serca u jej stóp. To, że większość

z nich została uznana przez jej ojca za łowców posagu, specjalnie jej nie niepokoiło.

Uważała, że mając osiemnaście lat nie musi jeszcze myśleć o zamążpójściu. Odprawiała więc kolejno wszystkich konkurentów, i nie było w tym doprawdy nic dziwnego, że nic śpieszyło się jej do małżeństwa. Była tak piękna, że żaden mężczyzna nie mógł się oprzeć urokowi dziewczyny. Rysy miała wprost idealne, rudozłote włosy opływały wokół gładkie czoło, oczy o odcieniu głębokiego błękitu, obramowane długimi ciemnymi rzęsami, stawały się niemal granatowe, kiedy była zdenerwowana albo przygnębiona, a niezwykle jasną cerę podkreślał delikatny rumieniec o odcieniu płatków dzikiej róży. Lecz tym, co najbardziej pociągało w Vicie mężczyzn, była jej nieprawdopodobna wprost żywiołowość. Trudno było przebywać w towarzystwie dziewczyny dłużej niż kilka minut i nie zostać kompletnie oczarowanym.

Zaiste, żadne imię nie zdawało się dla niej bardziej odpowiednie niż to, które otrzymała przy narodzinach od ojca. Generał oczekiwał chłopca, ponieważ tak jak wszyscy angielscy ojcowie był pewien, że jego pierwsze dziecko będzie synem, a więc dziedzicem nazwiska i fortuny. Lady Ashtbrd nieomal przypłaciła życiem przyjście Vity na świat. W pewnej chwili lekarz uprzedził nawet sir George'a, że uratowanie i dziecka, i matki może okazać się niemożliwe. Kiedy w końcu generał ujrzał córkę na wpół uduszoną, siną, odetchnął z ulgą, ponieważ żyło nie tylko dziecko, ale również matka.

- To dziewczynka, sir George! - oświadczył lekarz z przesadnym zapalem, doskonale zdając sobie sprawę, iż właśnie lekarza obciąża się zazwyczaj winą za to, że nie narodził się tak bardzo oczekiwany dziedzic.

- Przecież widzę! - zauważył chłodno generał.

- Ciekaw jestem, jak też ją pan nazwie? - zapytał lekarz. - Z determinacją broniła życia, choć wszystko sprzysięgło się przeciw niej.

- A więc niech się nazywa Vita! - Reakcja generała była błyskawiczna i nie pozbawiona sytuacyjnego dowcipu, z którego sływał w swoim środowisku.

Dawno już przygotował wraz z żoną całą listę imion dla tak bardzo oczekiwanego syna. Przyjście na świat dziewczynki zaskoczyło ich oboje, a kiedy lady Ashford przysłała już trochę do siebie po porodzie, gorąco zaprotestowała przeciwko wyborowi męża. On jednak 7, determinacją, która niegdyś pomogła mu uzyskać Generałskie szlify, uparcie powtarzał, iż ich córka posiada już imię. W czasie chrztu lady Asford dodała córce imiona: Hermione, Alice i Helena. Jednak imię Vita znalazło się na pierwszym miejscu i tak też odtąd dziewczynkę nazywano, a z każdym rokiem imię to coraz bardziej do niej pasowało.

Stojąc teraz w salonie domu Ashfordów w Leicestershire Vita wyglądała wyjątkowo pięknie, mimo iż jej oczy, kiedy patrzyła w twarz ojca, zdawały się ciskać błyskawice.

Przez całe życie ojciec ją rozpieszczał, lecz zawsze zdawała sobie sprawę, że jest nieprawdopodobnie uparty; ślady tego uporów dostrzegała również i u siebie. Wiedziała, że ojciec postanowił wydać ją za mąż za lorda Banthama i że trudno będzie się temu sprzeciwić. Malka często powtarzała, że Vita owinęła sobie ojca wokół małego palca. Musiała jednak przyznać, że kiedy generał był pewien, iż decyzja, którą podjął, wyjdzie córce na dobre, jego upór był nie do pokonania.

Vita nie mogła pojąć, jak to się stało, że zupełnie nie zauważyła, iż lord Bantham jest nią zainteresowany. Cóż, był bardzo bliskim przyjacielem ojca, nie zwróciła więc uwagi na pewne zmiany w jego zachowaniu. Tymczasem zapowiadały one rychłe oświadczenia.

Nie musiała nawet słuchać tego, co teraz mówił ojciec, aby zdać sobie sprawę, jak znakomitą partią jest lord Bantham. W kręgach towarzyskich, w których obracali się Ashfordowie, każda młoda dziewczyna dopóty stanowiła obiekt nieustannych intryzek i zabiegów, dopóki nie ujrano jej wreszcie na ślubnym kobiercu. To, że Vita była nie tylko piękna, ale również i bogata, dawało jej bardzo silne poczucie własnej wartości na długo przed opuszczeniem murów szkoły. Właściwie to nigdy, nawet w czasach szkolnych, nie czuła się osamotniona czy pozbawiona życia towarzyskiego.

Ponieważ już jako dziecko znakomicie jeździła konno, z chwilą gdy ukończyła osiem lat, pozwolono jej uczestniczyć w polowaniach. Jej nieprawdopodobny temperament, imponująca pewność siebie i niezwykła odwaga sprawiły, że stała się prawdziwą maskotką najsłynniejszych i jednocześnie najwytworniejszych polowań w Leicestershire. Jej ojciec - znakomity jeździec i zapalony myśliwy - nie mając syna, chętnie zabierał na łowy swoją małą córeczkę, a pod koniec dnia często ze zdumieniem uświadamiał sobie, że dziecko zachowuje się jak osoba dorosła. Vita istotnie szybko dojrzewała i w wieku lat piętnastu była bardziej samodzielna i pewna siebie niż większość jej rówieśniczek.

Jej drobna figurka, ogromne, szeroko rozwarte oczy i mały nosek sprawiały jednak, iż wyglądała wyjątkowo dziecinnie. Rozpieszczano ją więc i psuto ponad miarę. Dopiero gdy zaczęła oficjalnie bywać w

towarzystwie, ukończywszy lat siedemnaście, kobiety przestały darzyć ją sympatią. Zdawały sobie sprawę, że trudno im będzie konkurować z urodą dziewczyny.

Vita była zbyt inteligentna, aby nie dostrzec, jak bardzo jej rodzice byli zaniepokojeni tłumem mężczyzn, którzy nieodstępnie jej asystowali. Postanowili, że Vita poślubi tylko tego mężczyznę, którego oni zaakceptują, mając pewność, iż potrafi on ustrzec ich córkę przed licznymi niebezpieczeństwami, jakie grożą zazwyczaj tak pięknym kobietom. To, że wybrali w końcu lorda Banthama, przeraziło Vite. Musiała jednak przyznać, że decyzja ta nie była pozbawiona pewnych racjonalnych podstaw.

Lord Bantham był bez wątpienia jednym z najbogatszych ludzi w Anglii, a przy tym osobą niezmiernie dystygowaną. Nie należał do tych kręgów, o których bez przerwy się plotkowało i których ekstrawagancje i frywolność tak bardzo szokowały Jej Królewską Wysokość. Był filarem Izby Lordów. Dzięki rozległej wiedzy o sprawach wsi przewodniczył licznym komitetom, związkom i organizacjom stawiającym sobie za zadanie obronę wsi angielskiej, a jego domy i posiadłości nie miały sobie równych w całym kraju. Niewątpliwie był dobrą partią i nikt pod tym względem nie mógł z nim konkurować, lecz jako mężczyzna...

Vita wzdrygnęła się. Ponownie spojrzała w surową twarz ojca. Sir George był wyjątkowo przystojny w młodości, ale i teraz wciąż prezentował się znakomicie. Zerknęła na matkę i zauważyła jej lękliwe, przeprasające spojrzenie, które upewniło ją, iż ta popiera decyzję małżonka; a więc ze strony matki nie można liczyć na żadną pomoc.

Muszę być sprytna - pomyślała. - Bantham zapewni ci wszystko, czego

tylko zapragniesz - ciągnął ojciec. - Będiesz jedną z pierwszych dam w Londynie. Zawsze chciał mieć przy sobie kogoś, kto wspierałby go w polityce. Poza tym nie zapominaj, że jego stadnina jest niezrównana. - To było coś, co - jak sądził - przemówi do jego córki.

Generał miał kilka niezłych koni, ale służyły one raczej do polowań, w których uczestniczył wraz z córką podczas zimowego sezonu myśliwskiego. Nie oznaczało to jednak, że nie lubił jazdy konnej. Vita często towarzyszyła mu w wyprawach do Newmarket i Epsom, a zeszłego roku, kiedy już oficjalnie zaczęła bywać w towarzystwie, pojechała z nim na wyścigi konne w Ascot na The Royal Enclosure. Niewątpliwie, na zielonej murawie torów wyścigowych, gdzie zbierała się śmietanka towarzyska, dziewczyna przyciągała niemal tyle uwagi co same konie.

Lord Bantham zwyciężył w Gold Cup i generał, który postawił na niego, ogromnie się z tego ucieszył. Vita podeszła do lorda Banthama, aby złożyć mu gratulacje. Przypomniała sobie teraz, że zatrzymała jej rękę w swoich dłoniach nieco dłużej, niż to było konieczne. Wszyscy mężczyźni jednak tak właśnie postępowali, kiedy tylko mieli ku temu okazję. Wszyscy, patrząc jej w oczy, nagle tracili głos albo zaczęli się jąkać. Ale nie lord Bantham. Uświadomiła sobie, że zachowywał się raczej zwyczajnie, był może tylko nieco bardziej surowy. Wśród przyjaciół ojca wielu było takich, którzy uwielbiali zabawę i mieli wspaniałe poczucie humoru. Flirtowali z nią, przekomarzali się i schlebiali jej bez umiaru. Lord Bantham jednak prawie na nią nie patrzył. Ona z kolei była zbyt zajęta tymi, którzy okazali się bardziej interesujący, aby w ogóle zwracać na niego uwagę.

- Brylanty Banthamów są wspaniałe! - odezwała się nagle lady Ashford. -

Pamiętam, że matka Jego Lordowskiej Mości miała je na sobie na jednym z balów dworskich. Zdawała się niemal od stóp do głów obsypana brylantami! Właściwie były one bodaj piękniejsze od tych, które nosiła królowa!

- Vita nie potrzebuje teraz zbyt wielu klejnotów - wtrącił generał, - Ale kiedy będzie starsza, z pewnością zrozumie, jak wspaniałym dopełnieniem urody kobiecej jest cenna biżuteria.

Pomyślała, że rodzice chcą wyrzucić na nią presję, że wpychają ją w ślepy zaułek, z którego trudno będzie znaleźć wyjście.

- Zaskoczyłeś mnie, tatusiu. - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. - Musisz mi dać czas do namysłu. Potrzebuję jeszcze mnóstwa informacji i wyjaśnień... - Wiedziała, że tej prośbie ojciec nie będzie w stanie odmówić, i nie myliła się. Malująca się na jego twarzy stanowczość natychmiast ustąpiła miejsca czułości.

Objął córkę ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Dobrze wiesz, skarbie - powiedział - że najgorętszym moim pragnieniem jest, abyś była szczęśliwa i zajęła należną sobie pozycję. - Spojrzał na żonę, po czym mówił dalej: - Twój ojciec i matka starzeją się i martwią, że mogliby umrzeć i zostawić cię samą bez opieki. - Westchnął lekko. - Poza tym jesteś bardzo bogatą młodą kobietą. Często żałuję, że twoja chrzestna matka była aż tak hojna!

- Nikt nie będzie mógł podejrzewać lorda Banthama, że czyha na twój posag! - wtrąciła lady Ashford.

Miała zwyczaj wygłaszania uwag stwierdzających rzeczy najzupełniej oczywiste, co często irytowało jej małżonka. Teraz jednak nie zareagował na słowa żony, lecz pochylił się, aby złożyć pocałunek na czole córki.



- Myślę, Vito, że porozmawiamy o wszystkim później.

- Dziękuję, tatusiu.

Vita stanęła na palcach, aby ucałować go w policzek. Potem uśmiechnęła się do matki i wybiegła z pokoju z łak zwiwnym wdziękiem, iż trudno było uwierzyć, że rzeczywiście jest już dorosła. Wpadła do swojej sypialni na górze, zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę stała nieruchomo, patrząc przed siebie. Jej oczy były fioletowe ze wzburzenia, a usta mocno się zacisnęły.

Jak mogło do tego dojść? Co sprawiło, że spadło to na nią tak niespodziewanie?

- Nie wyjdę za niego! Nie wyjdę!

Głośno wypowiedziane słowa odbiły się echem od ścian. Dziewczyna podeszła do kominka i pociągnęła za dzwonek tak gwałtownie, że przerażona pokojówka natychmiast wbiegła do pokoju.

- Co się stało, panno Vito?

- Mój strój do jazdy konnej... szybko! I niech mi przygotują konia... albo nie, sama pójdę do stajni! Pomóż mi tylko się przebrać!

Pokojówka rozpięła jej z tyłu suknię.

- Gdzie jest Martha? - zapytała Vita.

- Na dole. Pije herbatę, panienko. Nie przypuszczała, że tak wcześnie będzie panience potrzebna.

- Tak właśnie myślałam!

Vita nagle zatęskniła za Martha, która była jej nianią od dziecka. To do niej zawsze zwracała się z każdym problemem. Lecz Martha miała swój od dawna ustalony rozkład zajęć i właśnie o tej porze piła zwykle herbatę w

pokoju zarządcy pałacu. Nie było zwyczaju, aby w tym czasie wzywano ją do obowiązków.

Emily pomogła więc swojej młodej pani włożyć strój jeździecki z ciemnozielonego welwetu, który tak znakomicie podkreślał jej piękną cerę i barwę wspaniałych złocistych włosów.

Niecierpliwie, prawie nie spoglądając w lustro, Vita włożyła wysoki kapelusz przewiązany zwiewnym jak mgiełka szalem, chwyciła bacik i rękawice jeździeckie, po czym zbiegła na dół tylnymi schodami, aby uniknąć spotkania z ojcem. Gdyby się na niego natknęła, niewykluczone, że chciałby jej towarzyszyć; z pewnością by nalegał, żeby poczekała, aż będzie gotowy. Vita wiedziała, jak bardzo ojciec nie lubi jej samotnych przejażdżek.

Weszła do stajni i zażądała osiodłania jednego ze swych najbardziej ulubionych koni, ale nie zgodziła się, aby towarzyszył jej któryś ze stajennych.

- Mam ochotę na małą przejażdżkę po parku.

- Niech mi będzie wolno powiedzieć, panienko, że żadna przejażdżka nie zastąpi jednego dnia ostrego polowania! - zauważył główny stajenny. Jego jowialny ton zdradzał starego domownika.

- To prawda, Headlam! - przyznała Vita. - I właśnie dlatego nie można pozwolić na lenistwo ani mnie, ani koniom.

- Dopilnuję tego, panienko - z uśmiechem powiedział Headlam.

Pomógł Vicie dosiąść konia i przyglądał jej się z uwielbieniem, gdy odjeżdżała, znakomicie panując nad rwącym się do galopu, narowistym koniem, co wywołało po tysiącokroć powtarzane już słowa:

- Wykapany ojciec!

Tymczasem Vita opuściła teren należący do stajni i ruszyła galopem po miękkiej murawie parku. Pęd powietrza smagający jej twarz okrył policzki rumieńcem i rozwiał złociste pukle włosów wokół czoła.

Po chwili skierowała konia w stronę długiego, niskiego budynku skrytego wśród kępy drzew w środku posiadłości ojca. Już tylko niewielka odległość dzieliła ją od bramy zabudowań, gdy nagle ujrzała jakiegoś jeźdźca pędzącego w jej kierunku. Kiedy się spotkali, radość i uwielbienie widoczne w oczach mężczyzny nie pozostawiały żadnych wątpliwości, co je wywołało.

- Czekałem na ciebie - powiedział. - Chociaż nie sądziłem, że będziesz tak wcześnie.

- Zamierzałam przyjechać dopiero po lunchu - powiedziała Vita - lecz wydarzyło się coś ważnego i musiałam się z tobą natychmiast zobaczyć. - Jakaś nuta w jej głosie sprawiła, że przybysz spojrział na nią z niepokojem.

Był to sympatyczny młody mężczyzna o szczupłej, dobrze umięśnionej sylwetce, bez wątpienia dżentelmen, nie mający jednak w sobie nic z wytworności i elegancji rasowych bywalców salonów, którzy gromadzili się wokół Vity w Mayfair bądź też towarzyszyli jej podczas balów, na których niezmiennie królowała.

Charles Fenton był synem zarządcy majątku. Jego ojciec służył w wojsku razem z sir George'em, i kiedy obaj opuścili armię, generał zaproponował majorowi Fentonowi - jednemu z bardziej cenionych oficerów sztabowych - aby zajął się jego posiadłością. Trzeba przyznać, że nigdy tego nie żałował, ponieważ major Fenton okazał się wspaniałym zarządcą, który za cel swego życia postawił sobie doprowadzenie majątku Ashfordów do rozkwitu.

To, że Vita pozna Charlesa, a ten się w niej zakocha, było nie do uniknięcia. Dziewczyna przyjęła ten fakt do wiadomości, lecz chociaż bardzo Charlesa lubiła, nie traktowała go poważnie jako wielbiciela. Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie będzie mógł starać się o jej rękę. Różnica w ich pozycji społecznej oraz fakt, że Vita była dziedziczką ogromnej fortuny, sprawiały, iż Charles nie mógł nawet marzyć o jej poślubieniu. Doskonale zresztą o tym wiedział, ale i tak czuł się szczęśliwy, że przynajmniej może być jej przyjacielem.

- Co się stało? - zapytał.

- Tatuś chce, żebym wyszła za lorda Banthama!

- Lorda Banthama?! - wykrzyknął Charles. - Ależ on jest stary! Z powodzeniem mógłby być twoim ojcem!

- Wiem. Ale oni chcą, żebym była bezpieczna, dlatego mają zamiar zamknąć mnie w klatce... w więzieniu! - mówiła dalej z furją Vita.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Charles. - Czy powiedziałaś ojcu, że nie chcesz poślubić kogoś tak Nlarego i nudnego?

- Chciałam - odpowiedziała Vita - lecz nagle zdałam sobie sprawę, że tatuś już podjął decyzję. Wiesz, laki jest, gdy się uprze.

Charles Fenton pokiwał głową. Prowadzili konie obok siebie: Charles nie odrywał oczu od pięknej twarzy Vity.

- Nie możesz poślubić mężczyzny, jeśli go nie kochasz - oświadczył, a w jego głosie była żarliwość, której nie mogła nie słyszeć.

- To prawda, ale nie mogę przecież tego powiedzieć tatusiowi.

- Nie potrafisz go ubłagać? - zapytał Charles, przekonany, że nikt nie byłby w stanie oprzeć się jej prośbom.

Po chwili milczenia Vita odpowiedziała:

- Mam dopiero osiemnaście lat. Nawet jeśli tatuś nie zmusi mnie do zamążpójścia, może mi bardzo utrudnić życie, jeśli nie zrobię tego, czego sobie życzy.

- W jaki sposób?

- W zeszłym roku rozzłościł się na pewnego mężczyznę i zabronił mi być w naszym domu, a mnie widywać się z nim. Z początku zaprotestowałam.

- I jak zareagował? - Charles czuł, jak bardzo jest zazdrosny o każdego mężczyznę, z którym Vita pragnęłaby się spotykać.

- Tatuś zagroził mi! - odpowiedziała Vita. Spostrzegła minę Charlesa i roześmiała się. - Ależ nie użyciem sity! Tatuś nigdy nie tknąłby mnie nawet palcem. Ani on, ani mama nigdy mnie nie uderzyli, kiedy byłam mała. Tatuś stosował zupełnie inne kary.

- To znaczy?

- Powiedział, że zabroni mi jeździć konno, jeśli nie spełnię tego, czego ode mnie oczekuje. - Vita westchnęła. - Możesz sobie wyobrazić, jak strasznie bym cierpiała, gdybym nie mogła zbliżyć się do koni, gdyby stajennym zakazano wpuszczać mnie do boksów?

- To byłoby wyjątkowo okrutne! - zgodził się pośpiesznie Charles.

- Poza tym tatuś może zrobić jeszcze wiele innych rzeczy - ciągnęła Vita. - On zarządza moimi pieniędzmi. Mógłby zabronić mi kupna nowych sukni czy też wyjazdu do Londynu. Raz zagroził nawet, że wyśle mnie do mojej ciotecznej babki Edith, która mieszka w Somerset!

- Nie wolno ci wyjechać!

- Jeśli zostanę, będę musiała zrobić to, czego tatuś... sobie życzy - cichutko powiedziała Vita. Wciągnęła głęboko powietrze, po czym dodała: - Wiesz co, Charles? Ponieważ jestem bardzo podobna do mojej kuzynki Jane, wszyscy są przekonani, że i charaktery mamy podobne. A więc udowodnię im, że wcale się nie mylą!

- Kuzynka Jane? - zapytał Charles. - Którą to z twoich kuzynek masz na myśli?

- Niedawno przecież o niej mówiliśmy - niecierpliwie przypomniała Vita. - Chodzi o Jane Digby. Miała czterech mężów i tak wielu kochanków, że wszyscy pogubili się w rachubach, ilu ich właściwie było! Teraz jest żoną arabskiego szejka!

- Ach, lady Ellenborough! - wykrzyknął Charles Fenton.

- Lord Ellenborough był jej pierwszym mężem - powiedziała Vita. - I kiedy teraz o tym myślę, to dochodzę do wniosku, że musiał być taki sam jak lord Bantham! Ważny, bogaty i pewny siebie. Zawsze mi powtarzano, że rodzice skłonili Jane do małżeństwa, gdy miała zaledwie siedemnaście lat, ponieważ była zbyt piękna. Bardzo się o nią bali i jestem pewna, że teraz mama i tatuś tak samo boją się o mnie.

Po chwili milczenia dodała:

- Myślę, że to William Steele spowodował, iż podjęli decyzję w sprawie mojego zamążpójścia.

- Kto to jest William Steele? - chłodno zapytał Charles.

- Ach, to taki sympatyczny hulaka - odpowiedziała lekko Vita. - Szuka bogatej żony, ale ponieważ jest bardzo przystojny i elegancki, wypada, aby wszystkie dziewczęta się w nim kochały. Ogromnie mnie ubawiło, że go im

odebrałam, chociaż nie traktowałam tego poważnie. - Urwała. - Ktoś jednak szepnął tatusiowi o nim coś złego, no i tatuś okropnie rozdmuchał całą sprawę.

- I dlatego postanowił, że musisz poślubić lorda Banthama? - zapytał Charles. - Och, Vito, gdybyś tylko nie była taka piękna, taka nieprawdopodobnie piękna!

Vita uśmiechnęła się tak zniewalająco, że każdego młodego mężczyznę mogłoby to przyprawić o zawrót głowy.

- Dziękuję ci, Charles! - powiedziała. - Ale w tej chwili moja uroda jest dla mnie tylko ciężarem. Jak tu uciec od lorda Banthama?

- Musisz coś wymyślić - rzucił chmurnie Charles.

- Wiem.

Nagle wykrzyknęła ze wzburzeniem:

- Jak mogą być tak głupi, tak bardzo zaślepieni, aby postępować w ten sam idiotyczny sposób, który przyniósł kuzynce Jane tyle cierpienia i nieszczęść?!

Charles nie odpowiedział, a ona ciągnęła:

- Uciekła z księciem Felixem Schwarzenbergiem, ponieważ go kochała. Nigdy natomiast nie kochała lorda Ellenborough i właśnie dlatego jej małżeństwo było takie nieszczęśliwe.

- Myślę, że żadna kobieta nie będzie szczęśliwa z mężczyzną, jeśli go nie kocha.

- Powiedz to tatusiowi! - wykrzyknęła Vita. - Ale masz rację, Charles. Ja również tak uważam. Dawno już postanowiłam, że nigdy, przenigdy nie poślubię mężczyzny, dopóki nie będę pewna, że nie potrafię bez niego żyć!

- Nie możesz poprosić lorda Banthama, aby cię zostawił w spokoju? - zapytał Charles.

- Chyba nie sądzisz, że to cokolwiek zmieni - z ironią w głosie zauważyła Vita. - On uważa, że jego oświadczyzny to dla mnie wielki zaszczyt. W końcu wiele kobiet ubiegało się o to, aby nosić klejnoty rodziny Banthamów lub wysłuchiwać jego nudnych przemówień w Izbie Lordów.

- Lord Bantham ma wspaniałe konie! - zauważył Charles.

- To jedyny plus tego związku! - wykrzyknęła Vita. - Ale ja mam przecież wyjść za niego, a nie za jego konie!

Westchnęła głęboko.

- Czy sądzisz, że gdyby kuzynka Jane wiedziała, co ją spotka, to uciekłaby z domu zamiast poślubić lorda Lllenborough? Och, Boże, tak bardzo bym chciała z nią porozmawiać!

- Czy ona przypadkiem nie mieszka w Syrii? - zapytał Charles.

- Mieszka razem z arabskim szejkiem na pustyni. Poza tym mają dom w Damaszku - wyjaśniła Vita. - Kiedy jeden z moich kuzynów, Bevil Ashford, był tu miesiąc temu, wiele mi o niej opowiedział.

- To ten dyplomata?

- Tak. Nasza rodzina uważa, że Bevil ma przed sobą znakomitą przyszłość. Bardzo się wybił pracując w służbie dyplomatycznej w Rosji, Norwegii i Syrii, gdzie właśnie poznał kuzynkę Jane.

- I co o niej powiedział?

- Powiedział, że jest piękna! Wciąż piękna mimo swoich sześćdziesięciu dwóch lat! W tym roku będzie już nawet miała sześćdziesiąt trzy.

- To niezwykle, gdy się pomyśli, jakie życie wiodła.



- Może miłość jej służy.

- W tym wieku? - zaproponował Charles.

- To świadczy jedynie, jak mało o tym wiesz! - odparła Vita. - Bevil utrzymuje, że ona naprawdę kocha swego szejka. Pewnie tak samo jak dwóch poprzednich mężów, dwóch kochanków z rodziny królewskiej, obydwu królów i wielu innych mężczyzn!

- Chyba nie chcesz być taka! - powiedział Charles, wyraźnie zaszokowany tym, co usłyszał,

- Kuzynkę Jane zawsze przedstawiano mi jako osobę wyjątkowo zepsutą. Bez końca się o niej mówi w rodzinie, jakby nie było innego tematu! Wiadomości o Jane znoszą moje ciotki, stryjeczne babki, różne kuzynki oraz bliższe i dalsze krewne! Zachowują się jak stado papug. Siedzą i gadają, gadają bez końca. Plotkują o każdym skandalu związanym z kuzynką Jane.

Vita roześmiała się serdecznie i dodała:

- Wiesz, co te wszystkie papugi doprowadza do szaleństwa? Właśnie to, że kuzynka Jane wciąż jest piękna i wciąż szczęśliwa! - Spojrzała na Charlesa i powiedziała: - Ciebie to też oburza. Czy to nie dziwne? Nikt nie może znieść, że kobieta, która grzeszyła, nie nosi worka pokutniczego, nie kaja się i nie szlocha, tak aby oni mogli jej wspaniałomyślnie wybaczyć. Ale wygląda na to, że kuzynce Jane wcale na tym nie zależy!

- Skąd o tym wiesz?

- No cóż. Narobiła sporo zamieszania, kiedy przyjechała do Anglii trzynaście lat temu. Rodzina zgromadziła się wokół niej, lecz nie uczucie nimi wszystkimi kierowało. Pociągała ich atmosfera skandalu, która kuzynce Jane towarzyszyła.

- Dlaczego przyjechała?

- Myślę, że czuła potrzebę powrotu do domu rodzinnego, a kiedy się już tam znalazła, zrozumiała, że dom jest tam, gdzie jest serce. A jej serce pozostało w Syrii.

- To wszystko jest bardzo dziwne.

- Byłam za mała, aby się z nią spotkać - powiedziała ze smutkiem Vita. - Miała wtedy pięćdziesiąt lat. ale każdy, kto ją widział, musiał przyznać, że wyglądała pięknie. Kiedy już wyjechała, wszyscy mówili tylko o niej. - Uśmiechnęła się. - Gdy podrosłam, ostrzegali: „Uważajcie, nie przy dziecku”. Ja jednak po kitach potrafiłam złożyć fragmenty historyjek o kuzynce Jane w całość, jak układankę. Teraz dzięki Bevilowi dowiedziałam się o niej dużo więcej.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś nią tak zainteresowana - chłodno stwierdził Charles. - Twoja rodzina ma rację, Vito. Żadna normalna kobieta nie poślubiłaby Araba i nie chciałaby zamieszkać na pustyni.

- Myślę, że to byłoby niezwykle fascynujące. Gdybyś tam była i zobaczyła wszystko na własne oczy, doszłabyś do wniosku, że to obrzydliwe, niewygodne, a czasami nawet bardzo niebezpieczne!

- Tak, niebezpieczne! - przyznała Vita. - Bevil mi to powiedział. Ale pomyśl, jakie to musi być ekscytujące rządzić plemieniem Beduinów, uwolnić się od snobizmu oraz różnych obowiązków towarzyskich, bez których życie w Anglii jest niemożliwe. - Umilkła na chwilę, po czym mówiła dalej: - I nie musisz poślubić kogoś tak bardzo nie lubianego... jak lord Bantham!

- Wcale nie musisz go poślubić - zauważył Charles. - Nikt, nawet twój

prawny opiekun nie może cię zmusić do powiedzenia „tak” podczas ceremonii zaślubin.

Oczy Vity rozbłysły.

- Zabawne byłoby poczekać, aż pastor zapyta: „Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę wziąć tego oto mężczyznę za małżonka?”, i wtedy powiedzieć: „nie”.

- Nie wolno ci wywołać takiego skandalu w kościele! - wykrzyknął Charles.

- Dlaczego nie? - zapytała Vita. - Mogę zrobić, co zechcę.

- Ale tego właśnie nie wolno ci chcieć - rzekł Charles uspokajająco. - Jesteś zbyt piękna, Vito, zbyt idealna pod każdym względem, aby ktokolwiek mógł źle o tobie mówić.

Chwilę milczał, po czym dodał cicho:

- Wiesz, że chcę jedynie, abyś była szczęśliwa. Oddałbym życie, gdybym tylko wiedział, że to ci pomoże, lecz jestem bezsilny.

Vita uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś bardzo miły, Charles. Wiesz, jak bardzo na tobie polegam i jak ci ufam. Musisz mi pomóc... Nie mogę... tego zrobić.

- W jaki sposób mogę ci pomóc? - zapytał Charles, zdecydowany na wszystko.

Vita nie odpowiedziała.

- Nie wierzę, abyś zgodziła się uciec razem ze mną. Gdyby jednak tak było, nie muszę ci mówić, co by to dla mnie znaczyło.

- Drogi Charlesie! - odezwała się Vita. - Nie sądzę, aby to cokolwiek zmieniło. W końcu by nas złapali, tatuś zwolniłby twojego ojca i nie

moglibyśmy się już widywać.

- A więc jak mogę ci pomóc? - z rozpaczą w głosie zapytał Charles.

- To. że z tobą rozmawiam i że wiem, iż jesteś po mojej stronie, już mi pomaga. Wszyscy, dobrze o tym wiesz, z pewnością powiedzą: „Twój ojciec wie najlepiej, co jest dla ciebie dobre. Musisz zrobić to, czego on sobie życzy. Jak osiemnastoletnia dziewczyna może mieć własne zdanie?”

- Ale ty je masz.

- Oczywiście, że mam - przytaknęła Vita. - I z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzam się w postanowieniu, że nie poślubię lorda Banthama. nawet jeśli był jedynym mężczyzną na świecie!... - Umilkła na chwilę. - Czy spojrzales kiedykolwiek na jego ręce, Charles? On ma krótkie, grube palce. Nie zniósłabym, żeby... żeby mnie dotykał.

- Vito, nie mów tak! - błagał Charles. Było coś dziwnego w jego głosie. Nieświadomie ponaglił konia ostrogą, tak że ten popędził przed siebie jak szalony.

Minęła dobra chwila, zanim Vita dogoniła towarzysza.

- Czy to przeze mnie stałeś się taki smutny. Charles? - zapytała.

- Kiedy ciebie widzę, zawsze tak jest, i nic nie mogę na to poradzić - odparł. - To tak jakbym patrzył w niebo, widział odległą gwiazdę piękną i urzekającą, czuł, że nie może bez niej żyć, a jednocześnie wiedział, że nigdy tej gwiazdy nie zdobędę.

- Och, Charles, jakie to poetyckie! - wykrzyknęła Vita. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i po chwili dodała: - Gdybym cię kochała, uciekłabym z tobą. Pojechalibyśmy gdzieś, gdzie nikt by nas nie znalazł. Może na jakąś Elegię wyspę, gdzie bylibyśmy okropnie szczęśliwi, po prostu

będąc razem.

- Ale ty mnie nie kochasz! - wykrztusił Charles.

- Uwielbiam być z tobą i z tobą rozmawiać - powiedziała Vita. - Ale to przecież nie wystarczy?...

- Rzeczywiście - przyznał. - Myślę, że to nie wystarczy ani tobie, ani innie!

- Co to jest miłość, Charles? - zapytała Vita. Roześmiał się.

- Czy naprawdę chcesz, abym ci powiedział?

- Pytam cię jak przyjaciela.

- Nie mogę ci odpowiedzieć jako przyjaciel - rzekł. - Dla mężczyzny: który cię kocha, miłość to jednocześnie agonía i ekstaza, to ból, który przeszywa całe twoje ciało i umysł, aż w końcu nie jesteś w stanie znieść tego dłużej. Nagłe ból staje się ekstazą, która unosi cię w niebiosy, i wtedy wiesz, że warto było przeżyć ten ból!

Wyczuła w głosie Charlesa drżenie. Po chwili odezwała się cichutko:

- Dziękuję ci, Charles. Mam nadzieję, że to właśnie odnajdę... pewnego dnia.

- Nie chcę nawet myśleć, że mogłabyś poczuć coś takiego do innego mężczyzny - wyznał Charles. - Ale jednocześnie nie zniósłbym przy tobie kogoś, kto nie byłby cię godny. Ty powinnaś mieć wszystko, co najlepsze.

- Ja również tego pragnę - powiedziała Vita. - Życie powinno być przygodą, Charles, fascynującą przygodą. Ale to jest możliwe tylko wtedy, jeśli się nie jest zamkniętym w złotej klatce wysadzanej brylantami.

- Będziesz musiała być ostrożna we wszystkim, co zrobisz i powiesz -

ostrzegł ją Charles. - Najważniejsze to grać na zwłokę.

- Dlaczego? - zapytała Vita.

- Ponieważ kiedy wyjdiesz za mąż, będzie już za późno! Mam niestety przeczucie, że chociaż tobie będzie raczej odpowiadało długie narzeczeństwo, lord Bantham nie zechce czekać.

- Dlaczego tak uważasz?

- Ponieważ każdy mężczyzna, który ciebie pragnie, może się obawiać, że cię utraci - oświadczył wzburzony Charles. - Trzeba być skończonym durniem, aby nie zdawać sobie sprawy, że każdy mężczyzna, który cię spotka, musi się w tobie zakochać i że ty możesz wybrać kogoś innego.

- Wolałabym kogokolwiek, byle nie jego! - zareagowała Vita.

- Myślę, że jest zbyt pewny siebie, aby się tego obawiać - stwierdził Charles. - Co nie przeszkadza, że może nie zaakceptować zwłoki, a twój ojciec będzie po jego stronie.

- Czy chcesz powiedzieć, że tatuś może brać pod uwagę, iż ucieknę, jeśli uświadomi sobie, jak bardzo nie odpowiada mi pomysł poślubienia lorda Banthama?

- Nie popełnij błędu, Vito - uprzedził Charles. - Generał jest bardzo spostrzegawczy. Mój ojciec miał zawsze dla niego wielki respekt. Często mi opowiadał, jakim wspaniałym był dowódcą. Żołnierze szli za nim w ogień i w wodę.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać - westchnęła Vita.

- Jednocześnie - ciągnął Charles - miał opinię pedanta. Wydawał rozkazy, a następnie skrupulatnie sprawdzał, czy są wykonywane. Obawiam się, że w sprawie twego małżeństwa może okazać się absolutnie bezwzględny.

- Masz rację, Charles! - zgodziła się Vita. - A wszystko dlatego, iż ojciec uważa, że to dla mojego dobra. Och, jak ja nie cierpię, kiedy tak mówi.

- Może ja się mylę i tak właśnie jest! - zauważył Charles.

- Po tym, co mi powiedziałaś o miłości? Nic możesz się teraz wycofać. Namówiłaś mnie do buntu i musisz liczyć się z konsekwencjami.

- Vito, nie rób niczego pochopnie! - zawołał przerażony Charles. Wiedział, jak bardzo jest impulsywna i podobna do ojca; ona też wyznawała zasadę, że świat jest po to, aby po nim deptać.

- Mam przeczucie - powiedziała - że znajdę w końcu sposób... aby uciec. Pomóż mi, Charles! Co powinnam zrobić? W jaki sposób mam grać na zwłokę? Sam mi to przecież doradzałeś.

Jakiś czas jechali w milczeniu, aż wreszcie Charles zapytał:

- Czy nie masz żadnych krewnych, z którymi mogłabyś porozmawiać? Nie chodzi mi o krewnych, którzy są blisko ciebie. Może masz kogoś w Szkocji lub we Francji. A co z twoim kuzynem Bevilem? Gdzie teraz przebywa?

- Jest w drodze do Meksyku. Udaje się tam z wizytą, a więc nie mogę na niego liczyć.

Nagle wydała okrzyk.

- O co chodzi?

- Rozwiązałaś to! Och, Charles, rozwiązałaś mój problem! Powiedziałaś mi, co mam zrobić, i będę ci za to wdzięczna do końca życia!

- Rozwiązałam? - zapytał Charles ze zdziwieniem. - Wydawało mi się, że mówiłaś, iż nie możesz odwiedzić kuzyna BeVita.

- Nie chodzi o BeVita, lecz o kuzynkę Jane. I właśnie tam pojedę! Powiedziałaś ci, że chciałabym poprosić ją o radę... ona jedna może mnie

zrozumieć.

- Ona jest przecież w Syrii! - wykrzyknął Charles. - Nie możesz pojechać do Syrii. Nie sądzę poza tym, aby twój ojciec pozwolił ci zatrzymać się u kogoś, kto prowadził takie życie jak lady Ellenborough.

Vita roześmiała się ubawiona.

- Kochany Charlesie, nie jestem laka głupia! - tłumaczyła. - Wcale nie powiem tatusiowi, że jadę do kuzynki Jane. Będziesz jedyną osobą, która pozna prawdę! Pojadę do Jane i nikt... powtarzam, nikt mnie nie powstrzyma!

Dwie godziny później Vita wchodziła do gabinetu, w którym przy kominku siedział jej ojciec, czytając gazetę. Kiedy otworzyła drzwi, uniósł wzrok, z satysfakcją zauważając, jak piękna jest jego córka.

Ubrana w skromną białą suknię, uwidoczniającą jednak delikatny zarys piersi i szczupłą talię. Vita wyglądała, jakby dopiero co zeszła z obrazu Gainsborougha, a nawet świadomie chcąc wywołać takie wrażenie, w rękę trzymała różowy goździk. Przy jej jasnej karnacji delikatne rumieńce o odcieniu dzikiej róży sprawiały, że wyglądała jak prawdziwy okaz zdrowia. Jednocześnie było w niej coś bardzo kruchego i wiotkiego, co powodowało, że w każdym napotkanym mężczyźnie natychmiast budziła instynkt opiekuńczy, dopóki nie spostrzegł dziwnie prowokacyjnych ogników tańczących w jej niebieskich oczach.

Vita podeszła do ojca, nachyliła się i ucałowała go w policzek.

- Przyniosłam ci, tatusiu, kwiat do butonierki. Będziesz wyglądał jeszcze bardziej elegancko i interesująco. - Mówiąc to, wetknęła goździk w klapę ojca, po czym ponownie go ucałowała i usiadła na podłodze obok jego



fotela.

- Teraz czuję się już znacznie lepiej, tatusiu - powiedziała. - Pojeździłam sobie trochę i to mi pomogło zastanowić się i lepiej zrozumieć twoje racje w sprawie mojego małżeństwa z lordem Banlhamem.

- Bardzo mnie to cieszy, moja droga - rzekł generał. - Wolałbym jednak, żebyś poprosiła mnie, abym ci towarzyszył. Wiesz, że nie lubię twoich samotnych przejażdżek.

- Jeździłam tylko po parku, tatusiu. Chciałam się po prostu spokojnie nad tym wszystkim zastanowić.

- I do jakich doszłaś wniosków?

- Że mam najwspanialszego, najmiłszego i najcudowniejszego ojca na świecie - stwierdziła dobitnie Vita.

Generał uśmiechnął się, wyraźnie bardzo zadowolony. Zaraz jednak na jego twarzy pojawił się cień nieufności.

- Mam wrażenie, Vito, że prowadzisz jakąś grę. Jeśli chcesz, abym powiedział, że nie musisz poślubić lorda Banthama, to marnujesz czas.

- Pozostawiam ten trudny i drażliwy problem w twoich rękach, tatusiu - odezwała się słodkim, dziecinnym głosem Vita. - Jeśli naprawdę sądzisz, że on mnie uczyni szczęśliwą, muszę zastosować się do twoich życzeń.

- Właśnie to chciałem od ciebie usłyszeć - odpowiedział generał. - Mówisz bardzo rozsądnie, moja droga, i z pewnością nigdy nie będziesz żałowała, że mi zaufałaś.

- Jestem tego pewna, tatusiu. Lecz jeśli się zgodzę na twoje plany, zrobisz coś przedtem dla swojej małej córeczki?

Generał spojrział na nią i w jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

- Czułem, że coś się kryje za twoją zgodą! O co chodzi?

Vita uklękła przed ojcem, obejmując ramionami jego kolana. Uniosła do góry drobną, kształtną twarzyczkę i utkwiała wzrok w jego oczach.

- Kiedyś mi coś powiedziałeś, tatusiu - zaczęła. - Coś, czego nigdy nie zapomnę.

- Cóż takiego?

- Że nikt nie może się uważać za człowieka wykształconego czy też po prostu cywilizowanego, jeśli nie odwiedzi najpierw Włoch.

- Naprawdę tak powiedziałeś? - zdziwił się generał. - No cóż, może i tak było. I nie zmieniłem zdania. To bardzo piękny kraj i zawsze bardzo żałowałem, że mnie i twojej matce nie dane było zabrać cię ze sobą.

- Myślę, że zanim wyjdę za mąż, powinnam pojechać do Rzymu, a może również do Neapolu - powiedziała Vita,

- A więc to właśnie mam ci obiecać? - zapytał generał.

- Czy to zbyt wiele, tatusiu? Tak cudownie byłoby zobaczyć Koloseum w Rzymie i Pompeje. Obawiam się, iż lord Bantham jest tak zajęty, że nie będziemy mieli zbyt wiele czasu na podróże.

- W tej chwili ja też go nie mam zbyt wiele - rzekł generał. - Wiesz równie dobrze jak ja, że moje nowe stanowisko naczelnego szeryfa w hrabstwie uniemożliwia mi wyjazd za granicę przynajmniej przez najbliższe dwa miesiące, a w majątku mam również bardzo dużo pracy.

- Wprawdzie Włochy bez ciebie to nie to samo, tatusiu, co z tobą, bo kto mi wszystko wyjaśni... Ale jednocześnie czuję, że ten wyjazd ogromnie wzbogaci moją edukację, która, jak sam często powtarzałeś, wcale się nie kończy wraz z opuszczeniem szkoły. Poza tym jest wiele osób, które

mogłyby mi towarzyszyć... Na przykład lady Crowen.

Generał nie odpowiedział, a Vita ciągnęła.

- Wiem, że to stara plotkara, ale jej mąż był dyplomata i ona dużo podróżowała. Poza tym mówi po włosku.

- Kiedy to obmyślałaś?

- Myślałam o tym od dawna - przyznała Vita. - Właściwie to rozmawiałam już o tym z lady Crowen. a ona dała mi kilka lekcji włoskiego. To miała być dla ciebie niespodzianka, kiedy razem wyruszymy do Włoch.

Generał nie odzywał się. więc Vita zbliżyła się do niego, siadła mu na kolanach i objęła za szyję.

- Och, proszę, najdroższy ojciec. Pozwól mi jechać do Wioch! - błagała. - Kiedy wyjdę za mąż. będę musiała się ustatkować i robić wszystko, czego będzie mąż sobie życzył. Potem, gdy będę miała już dziecko, trudno mi będzie podróżować, a przecież to dzięki tobie podróże zawsze sprawiały mi taką przyjemność!

Generał bardzo często zabierał Vite ze sobą do Francji, Belgii i Danii. Kiedyś zamierzali nawet odwiedzić Węgry, ponieważ generał bardzo chciał kupić tam kilka koni, o których słyszał, że są znakomite. Zamiast na Węgry pojechali jednak do Mandii i wrócili do domu z dwójką koni do polowania, które były obiektem zazdrości wszystkich sąsiadów.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedział wreszcie generał.

- Proszę cię, tatusiu. Przecież tak bardzo zależało ci na tym, abym była osobą wykształconą. Zawsze twierdziłeś, że wprost nie cierpisz głupich kobiet, a ja czuję, że w mojej edukacji są jeszcze pewne luki, które mogłabym usunąć, gdybym zobaczyła Forum Romanum, Krzywą Wieżę w

Pizie i wykopaliska w Herkulanum.

Odwróciła głowę ojca w swoją stronę, aby popatrzeć mu w oczy. Była niezwykle delikatna i słodka w jego ramionach. Pachniała różami.

Całkiem nagle generał skapitulował.

- Niech będzie, jak chcesz - powiedział i ucałował ją w policzek.

- To znaczy, że... że mogę jechać?! - wykrzyknęła Vita. - Och, wspaniały, cudowny tatusiu, jak ja cię kocham!

## Rozdział drugi

Vita stąta na balkonie swojej sypialni, patrząc na rozciągającą się przed nią Zatokę Neapolitańską. Głęboko westchnęła, podziwiając błękit morza, odległe wzgórza i maleńkie rybackie wioski przycupnięte tuż nad wodą, niemal obmywane rozbijającymi się o brzeg falami.

Dopiero teraz w pełni zdała sobie sprawę, że wygrała! Dotarła do Neapolu i prawdziwa przygoda, o której tak marzyła, miała się właśnie rozpocząć. Wszystko poszło dużo łatwiej, niż się tego spodziewała. Chociaż ojciec zdecydował, że ona może przed ślubem pojechać do Włoch, pragnął jednak, by podróż doszła do skutku jak najszybciej. Domyślała się, że w głębi duszy żałował swojej decyzji, i podejrzewała, że w jakiś sposób wpłynął na to lord Bantham. Lecz generał zawsze dotrzymywał danego słowa, skoro więc powiedział Vicie, że może zwiedzić Rzym i Pompeje, w żadnym wypadku nie zamierzał jej rozczarować.

Jedynie Charlesowi Vita ośmieliła się przyznać, że jej plany związane z wyjazdem nie ograniczają się wyłącznie do podziwiania zabytków.

- To będzie zupełnie prosie, Charles - powiedziała. - Wsiądę na statek płynący z Neapolu do Bejrutu, ponieważ Bejrut, jak sędzę, jest portem leżącym najbliżej Damaszku.

- Będziesz musiała namówić lady Crowen, aby ci towarzyszyła - zauważył Charles. - A jeśli odmówi?

- Jakoś sobie poradzę - wymijająco odparła Vita. Charles spojrzął na nią podejrzliwie.

- Chyba nie chcesz być aż tak nierozważna i pojechać sama? - zapytał. -

Bo jeśli tak, to przysięgam, że pojedę zaraz do generała i zdradzę mu, co knujesz.

- Jeśli będziesz taki perfidny i podły, to już nigdy się do ciebie nie odezwę!

- Czy nie rozumiesz, że chcę cię uchronić od wielu niebezpieczeństw, na które możesz być narażona, jeśli zrobisz to, co zamierzasz? W końcu nigdy nie byłaś zdana wyłącznie na siebie. Za granicą zawsze czuwał nad tobą ojciec. - Nie zrażony jej milczeniem, mówił dalej. - Obiecuj mi... przysięgnij na wszystkie świętości... że nie zrobisz nic, co mogłoby narazić cię na poważne kłopoty.

- Co masz na myśli, mówiąc o poważnych kłopotach? - zapytała Vita.

- Jesteś zbyt piękna i zbyt młoda, aby podróżować po świecie bez całej armii strażników! Vita zaśmiała się.

- Ale to byłoby zabawne! Nie sądzę jednak, aby Ministerstwo Spraw Wojskowych zgodziło się oddać mi swoje oddziały do dyspozycji!

Charles błagał ją, czynił jej wymówki, przekonywał, lecz kiedy Vita już wyjechała, miał dziwne uczucie, że dziewczyna i tak robi to, co chce i o czym tak naprawdę dawno już zdecydowała.

To Vita wymyśliła, że zaczną podróż od Neapolu, zamiast jechać przez całą Francję i Włochy, aby dotrzeć najpierw do Rzymu.

- Szybciej i wygodniej będzie, jeśli popłyniemy prosto do Neapolu - powiedziała ojcu. - Zawsze się boję, kiedy podróżujemy pociągiem, że gdzieś zagubi się nasz bagaż albo że zajedziemy nie tam, gdzie planowaliśmy. Bez ciebie, najdroższy tatusiu, jeszcze bardziej bym się bała.

- Dostaniesz najlepszego kuriera - zapewnił generał. - Znam go od dawna i

jestem przekonany, że znakomicie wywiąże się ze swoich obowiązków. Możesz być o wszystko spokojna. Masz dbać tylko o to, aby dobrze się bawić podczas całej podróży.

Przyznał jednak, że tak jak sugerowała Vita, najlepiej popłynąć prosto do Neapolu. Vita pomyślała, że musiał dojść do wniosku, iż w ten sposób ona wróci do domu szybciej, i dlatego bez trudu zaakceptował ten pomysł.

Wyruszyli z Tilbury jednym z najnowszych i najnowocześniejszych parowców, które pokonywały trasę do Bombaju w ciągu dwudziestu pięciu dni, co było doprawdy ogromnym osiągnięciem.

Generał odprowadził ich na statek, i kiedy już pożegnał się z Vita, uściskawszy ją i ucałowawszy kilkakrotnie, z niepokojem zwrócił się do lady Crowen:

- Będzie się pani nią opiekować?
- Ależ oczywiście, sir George!

Lady Crowen, zgodnie z oczekiwaniami Vity, była tak zadowolona, że jedzie do Włoch, iż przyrzekłaby wszystko, czego tylko generał by od niej zażądał. Prawdą jednak było również i to, że bardzo lubiła Vite i była jej niezwykle wdzięczna, iż dziewczyna właśnie ją poprosiła o dotrzymanie towarzystwa w podróży.

Kurier. Edward Davenport, był mężczyzną w średnim wieku, o siwych włosach i niezwykle sympatycznym sposobie bycia, co zjednywało mu wielu klientów. W wojsku wyżsi oficerowie często korzystali z jego usług, kiedy bowiem podejmował się eskortować ich dzieci czy żony do różnych, często bardzo odległych zakątków świata, zawsze robił to z wielką wprawą, bardzo umiejętnie, a zarazem był tak ujmujący, że ci, którymi się opiekował,

niezmiennie twierdzili, że jest wprost niezastąpiony.

Vita uważała go raczej za nudziarza, gdyby nie fakt, że drugiego dnia podróży odkryła, iż pan Davenport doskonale zna Syrię. Udało się jej namówić go do opowiedzenia wielu ciekawych rzeczy, o których niewiele do tej pory słyszała. Nie chciała, aby się zorientował, jakie były prawdziwe powody zadawanych przez nią pytań. Postarała się więc, aby odniósł wrażenie, że interesują ją przede wszystkim konie arabskie.

Ojciec wiele lat temu wyjaśnił Vicie, jak wielkie znaczenie dla wyhodowania konia pełnej krwi angielskiej miała odmiana Godolphin Arabian oraz Darby Arabian, tak więc wiele już wiedziała o arabskich klaczach, od których właśnie rasa angielska się wywodziła.

Davenport mówił jej o odmianie Bint al-Ahwaja, wywodzącej się od Tsmaela; z niej pochodziły wszystkie prawdziwe araby. W czasie jednej z takich rozmów Vita wspomniała o czcigodnej Jane Digby al-Mazrab, która, jak utrzymywał Bevil, była obecnie bardzo znana w Syrii.

Nastąpiła chwila ciszy i Vita natychmiast się zorientowała, że Edward Davenport poczuł się zakłopotany i zastanawia się, jak powinien do niej mówić o kobiecie, której postępowanie - o czym dobrze wiedział - szokowało całą rodzinę. Vita jednak była na to przygotowana.

- Nie ma żadnego powodu, aby czuł się pan zakłopotany, rozmawiając ze mną o kuzynce Jane - oświadczyła. - Jeden z moich kuzynów, Bevil Ashford, tyle mi o niej opowiadał, oczywiście nie przy tatusiu, że teraz wydaje mi się, iż znam ją doskonale.

- Obawiam się, panno Vito, że pani kuzynka prowadziła dość niekonwencjonalny tryb życia - powiedział z wahaniem pan Davenport.



- To proszę sobie wyobrazić, że nawet w Syrii jej małżeństwo z muzułmaninem i szejkiem nie spotkało się z aprobatą.

- Tak, oczywiście. Wiem o tym - przyznała Vita. - Lecz wydaje mi się, że szejek Abdul Madzuel al-Mazrab jest w istocie arabskim arystokratą.

- To prawda - przytaknął pan Davenport. - Jego krew jest tak samo błękitna, jak jego małżonki. Prawdę mówiąc, to jego otoczenie utrzymywało, że szejek popełnia mezalians, lecz oczywiście w Anglii opinia na ten temat byłaby zupełnie inna.

- Proszę mi opowiedzieć o kuzynce Jane - poprosiła Vita.

Pan Davenport jednak zbyt się obawiał generała, aby pozwolić sobie na niedyskrecję.

- Jest bardzo piękna. - rzekł krótko.

Vicie nie udało się wyciągnąć od niego nic więcej. Jednak pozostając przy temacie koni, dowiedziała się trochę o arabskich plemionach. Davenport potwierdził również opinię BeVita, że pustynia może być bardzo niebezpiecznym miejscem.

- Arabowie żyjący na pustyni bez przerwy prowadzą ze sobą wojny - wyjaśnił. - Grabieże i utarczki to codzienne ich zajęcie. - Zauważył, że Vita słucha go bardzo uważnie, więc ciągnął: - Dwa największe rywalizujące ze sobą plemiona to Szammarowie i Anazowie. Mąż kuzynki pani jest oczywiście szejkiem plemienia należącego do Anazów.

- Czy bardzo się nienawidzą? - zapytała Vita.

- Dzielią ich wieki wendety - odpowiedział Davenport. - Wejście jednego plemienia na teren drugiego często jest przyczyną walki na śmierć i życie. - Nagle jakby uważając, że zabrzmiało to nazbyt krwawo, dodał: - Ale nie

zawsze kończy się to aż tak dramatycznie. Oczywiście niektórzy Beduini są prawdziwymi bandytami; wypracowali oni niezawodną metodę ograbiania nierozważnych podróżników i dopuszczają się rozbojów w sposób całkowicie pozbawiony skrupułów.

- To znaczy?

- Raz i mnie się to przytrafiło - wyznał Davenport. - Podróżowałem karawaną z kilkoma turystami, gdy wtem jakaś banda rabusiów rzuciła się na nas, demonstrując przy tym wspaniałą jazdę konną, strzelając na oślep i wywijając włóczniami.

- Bardzo się pan bał? - z zaciekawieniem zapytała Vita.

- To nie było przyjemne - odparł Davenport. - Miałem wszakże dziwne uczucie, że naszemu życiu tak naprawdę nic nie zagraża.

- I co się wydarzyło?

- Zabrali wszystko, co tylko wpadło im w ręce. Nagle pojawiła się inna banda.

- Kim byli?

- Wszyscy okazali się członkami tego samego plemienia - odpowiedział Davenport. - Pokonali i przegonili napastników, po czym zażądali nagrody za nasze ocalenie!

Vita roześmiała się.

- A więc zapłaciliście podwójnie?

- Dokładnie! I o to im właśnie chodziło!

Dla Vity wszystko to byto ogromnie fascynujące i jeszcze bardziej utwierdzało ją w przekonaniu, że za wszelką cenę musi się dostać do Syrii. Pomysł ten zrodził się w jej głowie na długo, zanim opuściła Anglię i

pożegnała się z lordem Banthamem. Generał widocznie poinformował go, że Vita przyjęła jego oświadczyzny, ponieważ w oczach lorda, jak jej się zdawało, dojrzała błysk triumfu i jakiś dziwnie nieprzyjemny uśmiech na ustach.

- Pobierzemy się w miesiąc po twoim powrocie z zagranicy - oznajmił. - Księżę Walii oraz księżniczka Alexandra łaskawie powiadomili mnie, że chcieliby być obecni na ceremonii ślubnej.

- Ależ to musi być dla ciebie ogromna satysfakcja - ironicznie skwitowała jego słowa Vita. Wtem jakby zdając sobie sprawę, że nie była zbyt taktowna, szybko dodała: - Taki wspaniały ślub, i do tego z udziałem tak ważnych gości, to będzie dla mnie niezwykle przeżycie.

- Nie musisz się niczego obawiać - odparł protekcjonalnie lord Bantham. - Powiem ci, co masz robić, i będę czuwał, abyś nie popełniła żadnej gafy.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony - oświadczyła Vita tonem, jak jej się zdawało, wyrażającym wdzięczność.

Byli zupełnie sami w salonie i lord Bantham wyciągnął rękę w jej stronę.

- Mam przecucie, że będziemy wyjątkowo szczęśliwi razem - rzeki. - Muszę cię wiele nauczyć i jestem pewien, że będziesz pojętną uczennicą.

- Tak... oczywiście - odpowiedziała Vita. Mówiła posłusznie jak dziecko, lecz jednocześnie nie potrafiła zapanować nad drzeniem, kiedy lord Bantham ujął jej dłoń. Widziała jego krótkie, pulchne palce i czuła ich siłę. Miała gwałtowną ochotę wyrwać rękę z uścisku. Wiem, gdy poczuła obejmujące ją ramię, zdała sobie prawe, że lord Bantham zamierzają pocałować. W ostatniej chwili odwróciła twarz, tak że jego usta dotknęły jej policzka, a nie warg, lecz nawet i to sprawiło, że poczuła, jak krew odpływa z jej ciała.

Wstręt, który jej towarzyszył, był tak silny, jakby dotknęła gada.

Właśnie wtedy się przekonała, jak wielką Bantham budzi w niej odrazę: że miała rację, kiedy wyznała Charlesowi, że nie poślubi Banthama, nawet gdyby był jedynym mężczyzną na świecie!

Zręcznym ruchem wyswobodziła się z jego ramion.

- Myślę, że tatuś czeka już na ciebie - zauważyła - Jest tyle rzeczy, o których chce porozmawiać; nie powinniśmy pozwolić, aby czekał.

- Nie ma pośpiechu - powiedział lord Bantham. W jego głosie był coś, co wyraźnie uświadomiło

Vicie, że musi się trzymać od niego z daleka. Szybko więc otworzyła drzwi, tak by nie mógł jej już dotknąć, gdyż w hallu znajdowała się służba.

Po tym zdarzeniu Vita pilnowała się, aby nigdy więcej nie zostać sam na sam z lordem Banthamem. Teraz przypomniała sobie, że zanim wyjechała z Anglii, kilkakrotnie Bantham usiłował stworzyć taką sytuację. Zawsze jednak udawało się jej tego uniknąć. Odniosła wrażenie, że był nieco zakłopotany jej zachowaniem, lecz miała nadzieję, iż złożył to na karb młodości i niedoświadczenia. Był zbyt pewny siebie, aby podejrzewać jakiś ukryty motyw.

Lord Bantham sugerował również, że chętnie pojechałby do Tilbury odprowadzić Vite, tak jak zamierzał to zrobić jej ojciec. Vicie udało się jednak pokrzyżować mu plany. Nie mogła dopuścić do tego, aby z nią razem podróżował. Obawiała się, że przy pożegnaniu z pewnością nalegałby na pocałunek.

- Chcę być tylko z tobą, tatusiu - powiedziała generałowi. - Byłoby nie do zniesienia mieć obok siebie kogoś innego, podczas gdy tyle jest rzeczy

dotyczących Włoch, o które powinnam ciebie zapytać. Nie chciałabym, aby naszej rozmowie przysłuchiwał się ktoś obcy.

- Lord Bantham nie jest obcy, moja droga - zwrócił jej uwagę generał. Schlebiało mu jednak, że Vita chciała być tylko z nim, a więc uległ jej prośbom.

Lord Bantham jest straszny! Nigdy za niego nie wyjdę! - powiedziała sobie w duchu Vita, gdy statek opuścił angielskie wybrzeże, i powtarzała to tysiące razy podczas podróży.

Była jednak tak zaprzątnięta swym planem, że zupełnie nie myślała o niebezpieczeństwie grożącym jej ze strony lorda Banthama, gdyby musiała wrócić do Anglii, nie zrealizowawszy zamierzenia. Każdy dzień oddalający ją od mężczyzny, którego ojciec dla niej wybrał, coraz bardziej utwierdzał ją w przekonaniu, że powinna sprzeciwić się temu małżeństwu. Czuła, że związek ten okazałby się katastrofą, podobnie jak małżeństwo zawarte przez kuzynkę Jane z lordem Ellenborough. Nie mogła się powstrzymać, aby nie myśleć z sympatią o Jane i jej burzliwym, niezwykle barwnym życiu.

To Bevil był przyczyną tych myśli. Opowiadał Vicie, że Jane to romantyczna, wiecznie za czymś goniąca kobieta, a to, czego szuka, to miłość, prawdziwa miłość, która, o czym Jane była głęboko przekonana, czeka na nią gdzieś w świecie, ona zaś musi ją tylko odnaleźć.

- Czy naprawdę sądzisz, że znalazła tę miłość u boku szejka? - zapytała Vita.

- Zabrało jej to trochę czasu - odpowiedział Bevil z uśmiechem. - Oczywiście nieraz zabiło jej mocniej serce, zanim dotarła na Wschód i spotkała mężczyznę, którego nazywa teraz „najdroższym i uwielbianym”.

- Opowiedz mi o miłościach, które nie spełniły jej oczekiwań - poprosiła Vita, lecz Bevil potrząsnął głową.

- Jesteś zbyt młoda i zbyt ciekawa! Gdyby twój ojciec i matka wiedzieli, że kiedykolwiek wspomniałem ci o Jane, wyrzuciliby mnie z domu.

- Nie tylko ty mówisz o niej - powiedziała Vita. To była prawda. Miała już dość jasny obraz życia kuzynki. Wiele osób z satysfakcją opowiadało, jaka Jane była nieszczęśliwa, gdy jej kochanek, książę Felix Schwarzenberg, złamał jej serce, opuściwszy ją tuż po rozwodzie z lordem Ellenborough udzielonym przez izbę Lordów. Opuszczona, z rozpaczą w sercu i dwójką dzieci, dawno już powinna się załamać. Ale ona zniosła wszystkie przeciwności, i wkrótce rodzina dowiedziała się, że Jane przebywa w Bawarii jako kochanka króla Ludwika, w którym zakochała się po uszy. Król - kulturalny, pełen wdzięku i nieco ekscentryczny mężczyzna - znany był z tego, że żadnej pięknej kobiecie nie mógł się oprzeć.

Jane mieszkała w Monachium i początkowo była bardzo szczęśliwa. Król zaraził ją swoim entuzjazmem dla rzeźby i malarstwa i zaszczepił w niej miłość do Grecji, która znalazła najgłębsze spełnienie, kiedy syn króla Ludwika, Otho został władcą tego kraju. Zanim to się wydarzyło, Jane nieoczekiwanie wyszła za mąż za bawarskiego szlachcica, barona Carla Theodore'a von Venningen. Było to możliwe jedynie dzięki osobistej interwencji króla Ludwika w Watykanie, aby baronowi, który był zagorzałym katolikiem, zezwolono poślubić rozwódkę.

Dlaczego to małżeństwo było nieudane, Vita nie mogła się dowiedzieć. Listy Jane pisane do krewnych najwidoczniej nie wyjaśniały zbyt wiele. Natomiast ku wielkiej konsternacji rodziny, rozeszły się szokujące

informacje, że pewien Grek, najprzystojniejszy i najatrakcyjniejszy mężczyzna w całym kraju, hrabia Spyridon Theotoky, zakochał się w Jane bez pamięci, Wiązała się z tym historia dramatycznego pojedynku, w którym hrabia został postrzelony w pierś i tylko dzięki Jane powrócił do życia. Podczas jego rekonwalescencji Jane uciekła z nim do Paryża, ponownie porzucając małżonka, dobre imię i własne dzieci. Nastąpił drugi rozwód i państwo Theotoky wyjechali z Paryża do swej nowej posiadłości na Korfu.

- Nareszcie się ustatkowała! - z triumfem orzekły wszystkie ciotki i babki Vity. - Teraz módlmy się, aby wytrzymała w tym związku.

Patrząc na Zatokę Neapolitańską rozświetloną jakimś dziwnym, nieziemskim wręcz światłem, Vita musiała przyznać, że nigdy nie widziała czegoś równie fascynującego. Zastanawiała się, czy ta dziwna atmosfera i urzekające piękno Morza Śródziemnego mogły mieć coś wspólnego z niepokojem, który spowodował, że Jane po piętnastu latach zerwała kolejne małżeństwo.

Być może jednak sprawił to nieprzeparty urok króla Otho, któremu właśnie hrabia Spyridon został przydzielony jako adiutant. A może coś nieuchwytnie dzikiego, wręcz prymitywnego, w atmosferze tego pięknego zakątka spowodowało, że Jane właśnie tu chciała zamieszkać. Nietrudno było zrozumieć, że mógł ją porwać i romantyczny idealizm młodego króla, połączony z całym owym klasycznym pięknem, które pozostało z dawnej greckiej chwały. A jednak nawet król nie był w stanie dać jej takiej miłości, jakiej szukała. I wtedy właśnie rozeszły się skrzętnie skrywane przed Vita pogłoski o pewnym albańskim Generale.

- Mówiła - informowała szeptała jedna z ciotek - że jest wspaniałym

mężczyzną, wysokim, niezwykle przystojnym i tak atrakcyjnym mimo swych sześćdziesięciu lat, jak trzydziestolatek!

Vita niemal usłyszała nagłe zachnięcie się oniemiałych słuchaczy; po chwili wszystkie usta wykrzywiły się w grymasie dezaprobaty, której kłam zadawały iskierki podniecenia w oczach.

- Szaleje za nim! Mieszkają razem w górach. W ciągu dnia dosiadają dzikich koni i galopują przed siebie, nocą śpią w obozowiskach, dosłownie otoczeni przez bundy zbójców!

- Musiała chyba zwariować!

- To obrzydliwe! Haniebne! Nie powinniśmy więcej utrzymywać z nią stosunków!

Vita wiedziała jednak, że dezaprobatą krewnych ogranicza się jedynie do słów. W rzeczywistości wychodzili ze skóry, aby wiedzieć wszystko o Jane. Chcieli o niej mówić, znać najdrobniejsze szczegóły jej burzliwego, niezwykle podniecającego i pełnego przygód życia, na którego tle wszystko, co robili oni, zdawało się bezbarwne i zupełnie nieważne.

Pewien francuski pisarz - przyjaciel rodziny - wspominał o paru głośnych skandalach związanych z Jane, które się wydarzyły właśnie wtedy, kiedy ją spotkał w Paryżu. Jego podziw dla Jane był bezgraniczny, a gdy ponownie ujrzał ją w Atenach, napisał poemat opiewający jej cudowną figurę, kasztanowo-złote włosy, arystokratyczne dłonie i stopy oraz ogromne ciemnoniebieskie oczy.

„Jej skóra ma odcień mlecznej bieli, tak typowej dla angielskiej lady - pisał. - Najmniejsze wzruszenie barwi rumieńcem jej twarz, a fale namiętności wstrząsają ciałem”.



Język poematu ogromnie szokował, zwłaszcza że jego autorem był cudzoziemiec. Lecz Vicie się podobał. Uważała także, że byłoby znakomitym zakończeniem całej historii, gdyby Jane znalazła w końcu szczęście z albańskim bandytą. Na długo jednak przedtem, zanim Vita dorosła na tyle, aby pojąć, co się stało, Jane zdążyła już opuścić generała Hadzi Petrosa - dowódcę Pellikaresów. Rozczarował ją tak jak wielu poprzednich kochanków i znów uznała, że spotkał ją zawód. Mając czterdzieści sześć lat, opuściła Grecję i udała się do Syrii! Tam, jak dowiedziała się Vita, znalazła wreszcie miłość, której szukała całe życie.

Chcę ją zapytać o jedno - powiedziała do siebie Vita. - Czy warto było przez to wszystko przejść, aby doznać tylu nieszczęść i rozczarowań? Zastanawiała się poza tym: a co, gdyby Jane wyszła za szejka, kiedy miała tyle lat co ona? Czy kiedykolwiek pożałowałyby innego mężczyzny, czy też żyłyby z nim szczęśliwie do końca?

To było pytanie, na które odpowiedzi mogła jej udzielić wyłącznie Jane, i dlatego właśnie Vita zdecydowana była zrobić wszystko, aby zrealizować swój plan wyjazdu do Syrii.

I oto los zdawał się do niej uśmiechać. Zanim dotarli do Neapolu, lady Crowen się rozchorowała. Niedyspozycję mogło spowodować burzliwe morze w Zatoce Biskajskiej, zjedzenie czegoś niestrawnego lub też (jak pomyślała Vita) po prostu wiek, nazbyt już zaawansowany, aby lady Crowen sprostała trudom podróży. W każdym razie kiedy dopłynęli do portu, chorą zabrano ze statku do najlepszego hotelu w Neapolu i natychmiast położono do łóżka.

Olbrzymi apartament, który wynajął dla nich obu Edward Davenport, był

na tyle wygodny, że Vita bez żadnych obaw mogła zostawić lady Crowen pod opieką Marthy. Sama natomiast udała się w towarzystwie pana Davenporta na zwiedzanie miasta. Vite interesowało jednak nie tylko to, co mogła w Neapolu zobaczyć. Chciała, korzystając z okazji, zorientować się nieco w planie miasta. Ponieważ natura nie poskąpiła Vicie inteligencji ani sprytu, ilekroć jej na tym zależało, zawsze potrafiła postawić na swoim. Po zakończeniu przechadzki po mieście bez trudu przekonała więc swego cicerone, że powinna wrócić do hotelu, aby zaopiekować się lady Crowen. Po powrocie jednak natychmiast wysliznęła się stamtąd bocznymi drzwiami i wynajęła powóz, który zawiózł ją do najbliższego biura żeglugi morskiej. Urzędnik, ciemnooki, sympatyczny Włoch, najwyraźniej oszołomiony urodą Vity, gotów był oddać całe swe biuro na usługi dziewczyny, byleby tylko jej pomóc. Błyskawicznie udzielił Vicie wszystkich potrzebnych informacji.

Okazało się, że statki z Neapolu wypływają prawie codziennie i większość z nich kieruje się do Bejrutu. Bez najmniejszych trudności można wynająć godnego zaufania przewodnika, który nie tylko zna Syrię, ale również mówi po arabsku. Vita uzgodniła wszystko z ciemnookim Romeo, który polecił jej odpływający następnego ranka statek jako najbardziej komfortowy, a więc najodpowiedniejszy dla kogoś tak uroczego jak ona. Błyskawicznie, niczym magik wyciągający królika z kapelusza, zaprezentował jej również przewodnika. Vicie bardzo przypadł on do gustu. Uznała, że jest sympatyczny, a co najważniejsze, posiada kwalifikacje dokładnie takie, jakich potrzebowała.

Postanowiła, że zanim dopłynie do Syrii, musi się chociaż trochę nauczyć arabskiego. Bardzo ją irytował fakt, że chociaż dobrze zna cztery języki, nie

ma najmniejszego pojęcia, jak się mówi po arabsku. Była pewna, że w podróży, którą planowała, ta umiejętność ogromnie jej się przyda. Wiedziała, że Bejrut od Damaszku dzielą siedemdziesiąt dwie mile. To była niebezpieczna droga. Ażeby ją pokonać, należało mieć przy sobie kogoś, kto nie tylko zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jaką stanowią grasujące bandy, ale potrafi także wynająć niezbędne w podróży konie i wielbłądy.

Przewodnik powiedział, że nazywa się Dira i jest półkrwi Arabem. Vita odniosła wrażenie, że to człowiek wykształcony, i chociaż nie mogła ocenić, jak dobrze zna język arabski, widziała, że posługiwał się nim bez trudu. Powiedziała mu, że zamierza dotrzeć do Damaszku, aby spotkać się ze swoją kuzynką, czcigodną Jane Digby al-Mazrab, i najwidoczniej zrobiło to na nim dosyć duże wrażenie.

- Ta pani jest bardzo znana - powiedział - i bardzo szanowana. Ma wspaniały dom!

Vita wyczuła w jego głosie spory respekt i przypomniała sobie, że kuzynka Jane jest bogata, a to z pewnością ogromnie się liczy dla mieszkańców Damaszku.

Wynajęła signora Dinę i zapłaciła za bilety włoskiemu urzędnikowi. Następnie umówiła się z przewodnikiem o siódmej rano na statku, po czym wróciła do hotelu.

To był pierwszy jej krok ku wielkiej przygodzie! Musiała ich zrobić jeszcze wiele. Najważniejsze były pieniądze. Wprawdzie miała ze sobą pewną sumkę, jak to określił jej ojciec, na drobne wydatki, ale większe pieniądze dla bezpieczeństwa znajdowały się u pana Davenporta. Vita postanowiła zatem, że sprzeda biżuterię, którą właśnie w tym celu zabrała ze

sobą w podróż, Zdawała sobie sprawę, że nie uniknie zwrócenia się do kogoś o pomoc i że z pewnością będzie to dość kłopotliwe. W końcu postanowiła zapytać recepcjonistę w hotelu, czy ktoś mógłby zabrać ją do najlepszego jubilera w Neapolu.

Recepcjonista był tym wyraźnie zaskoczony.

- Signor Davenport przed chwilą poszedł do swego pokoju, signorina. Jeśli potrzebna pani eskorta, to czy nie on właśnie powinien pani towarzyszyć?

- To niemożliwe. Signor jest zmęczony, ma za sobą długi dzień. A poza tym chcę zrobić niespodziankę zarówno jemu, jak i contessie, która, jak panu wiadomo, nie czuje się najlepiej.

To przekonało recepcjonistę. Zwiedziony dziecinną miną i niewinnym spojrzeniem niebieskich oczu, wysiał Vite w wynajętym powozie z kimś z obsługi hotelowej do jubilera, który, jak ją zapewniał, znany był z uczciwości w całych Włoszech. Vita jednak miała co do tego pewne wątpliwości, chociaż musiała przyznać, że był wyjątkowo uprzejmy.

Obsługujący klientów sprzedawca zaprowadził ją na zaplecze, gdzie wyjaśniła właścicielowi, że chciałaby dać swej serdecznej przyjaciółce contessie dużą sumę pieniędzy dla syna, który znalazł się w poważnych tarapatach, nie mogąc spłacić ogromnych długów karcianych.

- Jeśli jej powiem, że zamierzam sprzedać swoją biżuterię, nie pozwoli mi na to - wyjaśniła Vita - i dlatego muszę to zrobić bez jej wiedzy. Kiedy już sprzedam te klejnoty i wręcę jej pieniądze, nie będzie mogła odmówić przyjęcia ode mnie pomocy.

- Czy jest pani absolutnie pewna, że te klejnoty należą do pani, signorina?

- zapytał jubiler nieco podejrzliwie.

Bardzo szybko jednak pozbył się wątpliwości, patrząc w piękne, szczere oczy Vity, urzeczony tym, co mówiła o swoim pragnieniu udzielenia pomocy nieszczęsnemu młodemu mężczyźnie oraz jego zrozpaczonej matce.

- Jestem bogata, signor. Miałam po prostu szczęście... ale nie mogę przecież być bez serca i pozwolić, aby moi przyjaciele cierpieli.

- Pani dobre serce, signorina, przynosi pani chlubę - powiedział jubiler.

Vita wyglądała na zażenowaną, ale nie zaprzeczała. Uzyskała w końcu dużą sumę pieniędzy, która, jak wiedziała, niewiele była niższa od rzeczywistej wartości klejnotów. Niepokoiła ją jednak myśl, że gdyby nie zrobiła na jubilerze wrażenia osoby tak bardzo godnej zaufania, z pewnością otrzymałaby znacznie mniej.

Teraz Vita miała już za sobą drugą przeszkodę. I pozostało jej tylko wymknąć się rano z hotelu bez niczyjej wiedzy.

Martha, nieustannie w złym humorze, ponieważ odkąd się postarzała, szczerze nie znosiła podróży, rozpakowała już ubrania Vity, lecz na szczęście kufry pozostawiła w hallu przed sypialnią.

Vita nie miała zamiaru zabierać ze sobą wszystkich rzeczy, lecz jedynie te, które będą jej potrzebne w Damaszku, przede wszystkim stroje do jazdy konnej.

Gdy tylko została sama, wciągnęła olbrzymią walizę do swojej sypialni. Szybko i zręcznie ją spakowała, wkładając jedynie te rzeczy, których będzie potrzebowała w drodze oraz kiedy już dotrze na miejsce, do kuzynki lane. Następnie usiadła, aby napisać list do lady Crowen. Niczego nie ukrywając wyjaśniła jej, że chce się zobaczyć ze swoją kuzynką, o której od dzieciństwa tyle słyszała. Doskonale wiedziała, że nigdy nie otrzymałaby

pozwolenia, gdyby o to poprosiła, dlatego też sama podjęła decyzję. Jedzie do Syrii w towarzystwie jednego z najlepszych przewodników, którego jej specjalnie polecono.

Pisała:

Nie sędzę, droga lady Crowen, aby moja nieobecność trwała dłużej niż trzy tygodnie. Czy zechcesz Pani wraz : panem Davenportem zaczekać tu na mnie? Kiedy wrócę, ustalimy razem, co powiemy tatusiowi. Błagam Panią, proszę mu o tym nie pisać i nie martwić go teraz. Wie Pani, jak bardzo jest zajęty i że ogromnie by go to zmartwiło, czego wcale bym sobie nie życzyła, a stałoby się tak, gdyby się dowiedział, że pojechałam do Syrii. Wrócę za dwadzieścia jeden dni, może nawet szybciej. Z Bejrutu, o ile mi wiadomo, statki odpływają niemal codziennie.

Przerwała na moment, przeczytała to, co napisała, a po chwili, szelmowsko się uśmiechając, dodała:

Może pan Davenport mógłby odkupić moją biżuterię, którą sprzedałam bardzo poważanemu jubilerowi. Jego adres podaję w załączeniu. Opowiedziałam mu okropnie smutną historię. Wynikało z niej, że potrzebowałam pieniędzy dla młodego mężczyzny, który przez hazard stracił fortunę.

Myślę, że pan Davenport powinien powiedzieć, iż hazardzista odzyskał już swoje pieniądze i chce zwrócić mi dług. Nie byłoby dobrze, gdyby tatuś zapytał, co się stało z moimi klejnotami, kiedy wrócę do domu.

Ponownie przerwała, po czym dodała jeszcze kilka zdań:

Proszę, bardzo proszę, wybaczcie mi, jeśli stałam się przyczyną Waszego zmartwienia. Przysięgam, że nie jest to, jak można by przypuszczać, czyn

nie przemyślany. Doskonale wiem, że może on zaważyć na całej mojej przyszłości. Z bardzo osobistych względów muszę zobaczyć się z moją kuzynką i dlatego mam nadzieję, że okaże mi Pani zrozumienie i życzyć będzie szczęśliwego powrotu.

Vita podpisała i zakleiła list, po czym zaadresowała go do lady Crowen i ustawiła na swojej toalecie. Wiedziała, że Martha z pewnością go odnajdzie, kiedy przyjdzie tu rano.

Mogła sobie wyobrazić zamieszanie i niepokój, jaki wywoła swoim zniknięciem. Lecz nic już nie będą mogli zrobić. Była pewna, że nie pozostanie im nic innego jak i czekać i że nie zdecydują się na zawiadomienie ojca z obawy, że generał ich właśnie obciąży winą za to, co się stało.

Vita zastanawiała się, czy nie wtajemniczyć we wszystko Marthy i czy nie zabrać jej ze sobą. Odrzuciła jednak tę myśl. Stara piastunka zupełnie nie nadawała się do takiej podróży. Wprawdzie uwielbiała Vite, i to od najmłodszych lat, jednocześnie jednak drżała o nią, zdając sobie sprawę, jak bardzo jej wychowanka przypomina sławną i piękną kuzynkę Jane. To właśnie Martha w kółko powtarzała Vicie: „Prawdziwe piękno znajduje się wewnątrz człowieka. Nie wygląd się liczy, ale to, co kryje się pod nim. Ty pal rzyśz w lustro, ale Bóg patrzy w twoją duszę!”

W głosie Marthy, kiedy powtarzała te stare porzekadła, było coś, co podpowiedziało Vicie, że lęk dyktuje niani te słowa, lęk o dziecko, które wciąż kocha, lecz którego nie może już tak strzec, jak wtedy kiedy było małe. To dziecko, rozwijając własną, niezależną osobowość, wymknęło się spod jej kontroli.

Vita uwielbiała swoją starą nianię i trudno jej było oprzeć się myśli, że powinna pójść do sypialni Marty i powiedzieć piastunce, aby się o nią nie martwiła. Wiedziała jednak, że gdyby to zrobiła, Martha z pewnością znalazłaby jakiś sposób, aby ją zatrzymać. To, że Vita zostanie żoną pana, że wolno jej będzie uczestniczyć w uroczystym otwarciu parlamentu i że wkrótce znajdzie się na dworze Jej Królewskiej Mości, dla Marthy było szczytem sukcesu. Początkowo uważała, że lord Bantham jest dla Vity trochę za stary, ale ponieważ jako mężczyzna wciąż prezentował się znakomicie, szybko tę myśl odrzuciła. Poza tym lord był też ogromnie bogaty, a jego pozycja społeczna tak znakomita, że na wszystko inne można było przymknąć oczy.

- Ależ Marino, ja chcę się zakochać! - oświadczyła Vita, kiedy rozmawiały o jej małżeństwie.

- Zakochasz się po ślubie - z przekonaniem odpowiedziała Martha.

- Skąd ta pewność, Martho? - zapytała Vita.

- Ponieważ, moja droga, mąż jest tym, czego każda kobieta najbardziej pragnie. Jego Lordowska Mość otoczy cię opieką. Będiesz zajmowała najważniejsze miejsce za jego stołem, zabawiała jego gości i, jeśli Bóg pozwoli, dasz mu dzieci, aby były mu radością na starość.

Vita zadrżała. Znowu poczuła ten dziwny chłód, który ją zmroził, kiedy lord Bantham pocałował ją w policzek. Nie bardzo wiedziała, co właściwie się dzieje, kiedy mężczyzna obdarza kobietę dzieckiem, lecz jednego była pewna: w przypadku lorda Banthama byłoby to zdecydowanie nieprzyjemne i absolutnie nie do przyjęcia. Wiedziała jednak, że rozmowa z Martha nie ma sensu. Trudno oczekiwać, że Martha pomoże jej uciec od małżeństwa, które



popiera całym sercem.

A więc pozostawała tylko kuzynka Jane, nikt więcej. W tej sytuacji decyzja może być tylko jedna. Ostatni etap podróży, z Neapolu do Damaszku, musi pokonać sama!

Vita skończyła pisać list do lady Crowen i wróciła do łóżka. Martha już wcześniej pomogła jej się rozebrać i ułożyła ją do snu, życząc dobrej nocy.

- Obudzę cię o ósmej, moja droga - powiedziała idąc w stronę drzwi.

- Trochę później, Martho - poprosiła Vita. - Jestem bardzo zmęczona. Myślę, że pośpię co najmniej do wpół do dziewiątej lub nawet do dziewiątej.

- W takim razie może zadzwonisz? - zasugerowała Martha. - Właśnie ustaliłam z pokojówką, że wezwie mnie natychmiast, jeśli dzwonek z twego pokoju odezwie się dwukrotnie.

- To dobry pomysł! - zgodziła się Vita. - Naprawdę jestem okropnie zmęczona. Myślę, że to przez ten upał.

- Chyba nie jesteś chora? - z niepokojem zapytała Martha.

- Nie, skądże - odparła Vita. - Powiedz panu Davenportowi, że nie wyruszymy do Pompei przed jedenastą.

- Dobrze. Dobranoc, niech cię Bóg strzeże, moje dziecko - powiedziała Martha.

- Dobranoc, droga Martho - odrzekła Vita, układając się wygodnie na poduszkach w oczekiwaniu, aż Martha opuści pokój.

Wiedziała, że aranżując to wszystko, zyska więcej czasu na ucieczkę. Statek według rozkładu miał wypłynąć o wpół do ósmej, a było więcej niż pewne, że odpłynie później. Vita zdążyła się już nauczyć, że Włosi rzadko bywają punktualni. Zanadto kochają życie, aby się spieszyć, wolą brać z

niego wszystko, co najlepsze. Mieszkańcy Neapolu znani byli z zamiłowania do niezależności i wyjątkowej niechęci do podporządkowywania się komukolwiek. Taka postawa niestety utrudniała trochę życie innym. Lecz Vita pragnęła w tej chwili tylko jednego: żeby statek, którym miała podróżować, wypłynął wreszcie z portu i znalazł się na wodach Morza Śródziemnego, zanim ktokolwiek odkryje, że nie ma jej w hotelu. Kiedy to się stanie, ani lady Crowen, ani Edward Davenport, ani Martha nic nie będą mogli zrobić.

Jej waliza była już spakowana i zamknięta, a list napisany. Teraz Vita podeszła do okna i ściągnęła zasłonę. Wysoko na aksamitnym niebie jaśniały gwiazdy, i chociaż nie było księżyca, dawały wystarczająco dużo światła. Skrzyły się i mieniły, odbite w tafli morza. Jak okiem sięgnąć, wzdłuż całej półkuliście biegnącej zatoki, światła mrugające w oknach maleńkich domków rozrzuconych po zboczach gór lśniły w ciemnościach niczym klejnoty.

Ciepły powiew wietrzyka delikatnie musnął policzki Vity, i wtedy poczuła nagle, jak ogarnia ją dziwne podniecenie. Po raz pierwszy w życiu działała sama, z własnej inicjatywy, i robiła to, co chciała, nie kępowana przez rodziców, guwernantki, nianie i służbę, czy też własne sumienie. Nie wstydziła się ani nie miała wyrzutów sumienia, że kogokolwiek oszukuje.

Nigdy by nawet o tym nie pomyślała, gdyby nie zmusił jej do tego ojciec. Od początku wiedziała, że żadne wybiegi nie zdadzą się na nic, że bez względu na to, jak bardzo by ojca prosiła, aby nie kazał jej wyjść za mąż za lorda Banthama, i tak nic by nie osiągnęła. Małżeństwo z nim ojciec uważał za najlepsze dla córki, i argument ten był nie do odparcia. Nic, co by

powiedziała czy zrobiła, nie zmieniliby jego decyzji.

A jednak poślubienie lorda Banthama - pomyślała Vita - byłoby gorsze niż popełnienie samobójstwa. Zniszczyłoby to całą jej nadzieję na szczęście, wszystkie jej marzenia i głęboką wiarę w to, co wzniosłe i piękne.

I rudno jej było przypomnieć sobie, ile miała lat, kiedy po raz pierwszy marzyła o mężczyźnie, którego by pokochała i który pewnego dnia pokochałby również i ją. Ten mężczyzna z marzeń wciąż był obecny w jej myślach. Był inny od wszystkich, których do tej pory spotkała, miał wszystkie zalety, jakie według niej powinien posiadać ten, do którego będzie kiedyś należała.

Może dlatego, że była tak bardzo piękna, jej guwernantki zawsze uważały za swój obowiązek uczyć ją wrażliwości na piękno, stworzone przez wielkich artystów w różnych zakątkach świata. Podziwiała więc Tadź Mahal, zbudowany przez mężczyznę dla kobiety, którą ten mężczyzna kochał, obrazy Boticellego, poezję napisaną przez mężczyzn, którzy kochali i cierpieli, a która miała sprawić, aby i ona chciała stać się inspiracją równie uduchowionych i wzniosłych wierszy. Kiedy miała trzynaście lat, czytała wiersze lorda Byrona tylko dlatego, że guwernantka powiedziała, iż jest jeszcze za mała, aby je zrozumieć. Czytała Shelleya i Keatsa, i pochłaniała każdą romantyczną powieść, którą mogła zdobyć. Prawdę mówiąc, niewiele ich było w bibliotece ojca, ale zawsze znalazła się jakaś uczynna koleżanka, od której mogła taką powieść pożyczyć, oczywiście w tajemnicy przed matką, ponieważ wiedziała, że nie bardzo by jej się to spodobało. Były to łzawe romanse, przy których oczy dziewcząt zachodziły mgłą, kiedy wzdychały wiedząc, że nigdy nie przeżyją takiej miłości, co tradycyjnie

kończy się na łożu śmierci, z ukochaną osobą klęczącą przy nim i gorzko szlochającą.

Jednak Vity to zupełnie nie interesowało. Chciała żyć i pomyślała, że może zrobić to samo co kuzynka Jane, która szukała wielkiej miłości, aż wreszcie ją znalazła. Nie bardzo wiedziała, co poczuje, kiedy ukochany weźmie ją w ramiona i ucałuje, lecz jednego była pewna całkowicie: w niczym nie będzie to przypominało uczucia, które nią owładnęło, kiedy dotknął jej lord Bantham.

Wielu mężczyzn całowało dłonie Vity i szeptało jej namiętne słowa, kiedy tańczyli razem w sali balowej czy też spacerowali po oświetlonym lampionami ogrodzie. Nigdy jednak nie pozwoliła, aby pocałowano ją w usta, jako że postanowiła, iż taki pocałunek zachowa dla mężczyzny, którego pokocha i poślubi.

Teraz z rozpaczą pomyślała, że może się zdarzyć, iż jedynym mężczyzną, który dotknie jej ust, będzie lord Bantham, chyba że przyjdzie jej z pomocą kuzynka Jane.

Nienawidzę go! - pomyślała z gniewem. I w tej samej chwili uświadomiła sobie, że gdzieś za tym mrokiem usianym gwiazdami, w świecie po drugiej stronie wzburzonego morza, jest mężczyzna, który ją pokocha, tak jak ona tego gorąco pragnie. Czowała, że całe jej ciało rozpaczliwie wzywa pomocy i że to wołanie musi pokonać barierę czasu i przestrzeni.

Chodź do mnie! Pozwól mi siebie odnaleźć! - błagała Vita. - Pozwól mi poznać miłość, o jakiej marzę... miłość, która jest częścią całego piękna świata... morza... gwiazd... nieba i jutra... i słońca.

Miała wrażenie, że jej głos unosi się wysoko ponad falami, podczas gdy

ona czeka na odpowiedź. Lecz dookoła była tylko cisza nocy i wszechogarniające uczucie pustki.

- Jestem zupełnie sama! - powiedziała do siebie.

To było przerażające.

## Rozdział trzeci

Wczesnym rankiem statek płynął po błękicie morza, kołysząc się w podmuchach wiatru, który formował na wzburzonych falach pióropusze piany.

Signor Dira z posepną miną zauważył, że rejs do Aten - pierwszego portu, do którego mieli zawinąć - nie będzie spokojny.

Informacja ta nie zaniepokoiła Vity, która dobrze znosiła podróż morską. Zakłócenia, jakie miały miejsce podczas pokonywania Zatoki Biskajskiej, nie wywarły na niej żadnego wrażenia, podczas gdy niemal wszystkie kobiety na pokładzie parowca bardzo ciężko to odchorowały.

Teraz stała przy burcie, przyglądając się Neapolowi blednącemu w rannej mgiełce, i nagle z ożywieniem powiedziała:

- Myślę, signor, że powinniśmy natychmiast rozpocząć lekcje arabskiego. Czasu mamy niewiele, a ja muszę się tyle nauczyć.

Kiedy siadali w miejscu osłoniętym od wiatru, zorientowała się, że signor Dira nie wierzy, aby zdołała nauczyć się zbyt wiele, zanim dopłyną do Bejrutu, ale ona była optymistką. Mówiła już po francusku, hiszpańsku i włosku, jak również trochę po niemiecku. Nie było w tym oczywiście nic nadzwyczajnego, tym bardziej że jej kuzynka Jane świetnie władała dziewięcioma językami. Ale dobre i to na początek. Wyraźnie widziała, że w miarę upływu godzin signor Dira jest coraz bardziej zdumiony lotnością, z jaką łapała słowa, których ją uczył, oraz łatwością, z jaką je bezbłędnie zapamiętywała. Rozpoczynanie nauki pisania po arabsku nie miało absolutnie sensu. Vita starała się jedynie zapamiętać wszystkie podstawowe

słowa i zwroty, których będzie musiała niebawem używać.

Dowiedziała się, że ojciec signora Dira był Arabem, a matka Włoszką, że mieszkał w Syrii aż do osiemnastego roku życia, kiedy zmarł jego ojciec, i że wtedy właśnie cała rodzina przeniosła się do Neapolu. Vita natychmiast zarzuciła go pytaniami dotyczącymi Beduinów. Odpowiedział na większość z tych, które ona uznała za najważniejsze. Przede wszystkim uspokoił ją, twierdząc, że okrucieństwo i rozlew krwi w czasie wojen plemiennych, barwnie opisywanych przez Bevila, wcale nie jest tak wielkie, jakby się zdawało. Uzbrojenie Beduinów to głównie dzidy i bardzo stare pistolety, które w większości bardziej są hałaśliwe niż niebezpieczne. Pomiędzy plemionami istniały ponadto pewne uzgodnienia co do odszkodowań, tak zwane nak al-dam, za poniesione straty w ludziach.

- Wysokość odszkodowania - wyjaśnił signor Dira - jest inna dla każdego plemienia. Jeśli ktoś z plemienia Anaza zabije współplemieńca, opłata wynosi pięćdziesiąt wielbłądów, jednego dalul (wielbłąda przeznaczonego po wierzch), jedną klacz, czarnego niewolnika, kolczugę oraz strzelbę.

- Co się dzieje, kiedy przeciwnik nie jest w stanie mu wypłacić? - zapytała Vita.

Signor Dira zdawał się nie rozumieć pytania.

- To punkt honoru każdego Araba - odpowiedział. - Gdy jakieś plemię winne jest odszkodowanie drugiemu za śmierć człowieka czy też zwierzęcia, płaci tak długo, aż spłaci dług.

- Wydaje mi się, że to bardzo cywilizowana forma rozstrzygnięcia sporów - powiedziała Vita.

- Z pewnością zapobiega zbyt wielkiej liczbie ofiar - przyznał signor Dira.

Vita, szczególnie zainteresowana życiem beduińskich kobiet, wypytywała signora Dire o ceremonię ślubną. Ciekawiło ją również, czy to prawda, że kobiety traktowane są przez swoich mężów po prostu jak część dobytku.

Signor Dira długo się zastanawiał, zanim udzielił odpowiedzi.

- Dopóki beduińska dziewczyna jest niezamężna, cieszy się większym szacunkiem niż po wyjściu za mąż, ponieważ ojcowie uważają, że posiadanie w domu dziewicy to wielki honor dla rodziny i źródło zysku.

- A kiedy już wyjdzie za mąż? - zapytała Vita.

- Wtedy żyje tylko po to, aby zadowalać męża - odpowiedział po prostu signor Dira.

Dla Vity oznaczało to raczej beznadziejną wegetację, lecz dobrze pamiętała, o czym opowiadał jej Bevil. To niewiarygodne, ale kuzynka Jane stała się wzorową beduińską żoną, uwielbiającą swego małżonka, i do tego niezwykle szczęśliwą, że on panuje nad nią tak jak żaden mąż czy kochanek do tej pory.

- Zazwyczaj Jane wkłada niebieską bawełnianą suknie, jaką noszą wszystkie beduińskie kobiety - opowiadał Bevil. - A kiedy jest na pustyni, zdarza się, że chodzi boso.

Vita wprost nie mogła w to uwierzyć, szczególnie gdy przypomniała sobie, jak jej krewni rozprawiali, o fantastycznych klejnotach ofiarowanych Jane przez króla Ludwika oraz innych mężczyzn, którzy ją adorowali. Bez przerwy mówili również o jej wytwornym smaku i ekstrawagancji. Trudno więc było Vicie myśleć o niej jak o kobiecie bez pamięci zakochanej, która z typową dla Beduinek pokorą oczekuje na swego małżonka.

Vita nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Bevil przesadzał, i pomyślała, że



najlepiej będzie, jeśli przekona się o tym sama. Nawet teraz, kiedy była już zupełnie bezpieczna, z trudem mogła uwierzyć, że oto realizuje się jej marzenie: odwiedzi wreszcie swoją kuzynkę, a ona z pewnością pomoże rozwiązać wszystkie problemy.

Ale to była prawda: statek, na którym się znalazła, wciąż oddalał ją od opiekunki i przewodnika wynajętego przez ojca, a ona - jeśli nie liczyć signora Dira - nareszcie była niezależna. To rzeczywiście była najbardziej zwariowana, jednocześnie zaś najbardziej fascynująca przygoda, o jakiej kiedykolwiek mogła zamarzyć.

Cały dzień zamęczała signora Dirę, aby uczył ją arabskich słów i zwrotów, pozwalając jedynie na małe chwile relaksu, które wykorzystywała wypytując go o Beduinów, a szczególnie o ich konie. Wiedziała, że po tym, co zrobiła, złagodzić gniew ojca może w jeden tylko sposób: przywożąc mu jak najwięcej informacji o hodowli koni arabskich, którymi tak bardzo się interesował.

Signor Dira z pewnością mógł jej wiele na ten temat powiedzieć. Usłyszała od niego, że plemię, do którego należał, posiadało mnóstwo koni i że jazda konna była jedną z jego największych przyjemności.

- Jestem pewna, że moja kuzynka, czcigodna Jane Digby, ma piękne konie  
- powiedziała Vita.

- O tak! - przytaknął signor Dira. - Szejk Abdul Madzuel al-Mazrab hoduje i kupuje jedynie najlepsze araby, a jego żona posiada klacz, która jest przedmiotem zazdrości wszystkich mieszkańców Damaszku.

Swój wywód rozpoczął od wyjaśnienia, że koń czystej krwi rasy beduińskiej mierzy od czternastu do piętnastu dłoni wysokości.

- Uważam - ciągnął signor Dira - że głowa araba jest większa od głowy konia rasy angielskiej.

- Mój ojciec zawsze podkreśla, że uszy arabów są wyjątkowo pięknie ukształtowane - zauważyła Vita.

- To prawda - uśmiechnął się signor Dira. - Poza tym ogon trzymają wysoko zarówno podczas chodu, jak i galopu. To oznaka rasy.

Kiedy tak rozmawiali o koniach, w pewnej chwili Vita przypomniała sobie, że wchodząc na statek w Neapolu widziała, jak pod pokład wprowadzano konia. Wówczas nie zwróciła na to specjalnej uwagi. Myślała tylko o tym, że statek może nie odpłynąć albo że lady Crowen odkryje w hotelu jej zniknięcie i każe rozpocząć poszukiwania. Teraz jednak, gdy wreszcie opuścili Ateny, a morze zdawało się nawet burzliwsze niż za dnia, odezwała się do signor Dira:

- Na statku jest koń. Ciekawe, czy to arab?

- Tak, zgadza się - odpowiedział. - Zdążyłem mu się przyjrzeć, zanim pani przybyła na statek. To ogier odmiany Szajfi.

- A cóż to takiego? - zapytała Vita.

- To araby, które można znaleźć jedynie w królewskich stajniach we Włoszech. Wywodzą się w prostej linii od odmiany Bint al-Ahwaja i zostały wyhodowane przez Kahilanów, jednych z pierwszych wyznawców Proroka.

- Proszę mi opowiedzieć o tym coś więcej - poprosiła zaciekawiona Vita.

- Szajfi to znakomita rasa, a jedyne plemię, które posiada jej ogiery, należy do szejka Szaalana al-Hasajna, z rodu Szammarów.

- Wrogów Anazów - szybko powiedziała Vita.

- Zgadza się - potwierdził signor Dira.

- Muszę zobaczyć tego konia.

- To ładny okaz. Dowiedziałem się, że został wysłany do królewskich stajni specjalnie dla klaczy, trzymany jedynie do użytku królewskiego.

- Chodźmy natychmiast go zobaczyć. - zaproponowała Vita.

Była bardzo z siebie niezadowolona, że zmarnowała tyle czasu, zapominając o koniu, którego przez chwilę widziała, wchodząc na pokład. Za dużo jednak miała własnych problemów, aby zdawać sobie sprawę, jaka okazja się jej nadarza.

Wyglądało na to, że nie ma kogo spytać o pozwolenie na zejście do ładowni. Tak więc signor Dira, dobrze znający parowce, które przemierzały Morze Śródziemne, wioząc zarówno pasażerów, jak i ładunek, pomógł Vicie zejść po prowadzących stromo w dół metalowych drabinkach.

W powietrzu unosił się zapach ropy i ścieków okrętowych. Oczywiście nie było tu zbyt czysto, lecz Vita wiedziała, że parowiec, którym podróżowali, był jednym z większych i szybszych statków zawijających do portu w Bejrucie. Nie posiadał jednak zbyt wielu wygod, pomimo świetnych rekomendacji urzędnika portowego, a jej kabina wyposażona była dosyć skromnie. Nie miała wątpliwości, że nawet materac na jej koi będzie twardy i niewygodny. Wszystko to jednak było nieistotne. Liczyło się tylko to, że nareszcie robiła, co chciała, i zmierzała, dokąd chciała..

Poruszając się nieco chwiejnym krokiem po zakamarkach statku, pomyślała, że matka byłaby z pewnością wstrząśnięta do głębi, gdyby wiedziała, gdzie teraz znajduje się jej córka.

Dotarłszy do rufy statku, w prowizorycznie zbudowanej przegrodzie odnaleźli konia, który przyglądał się im ogromnymi, ciemnymi oczyma. Był

to przepiękny ogier gniadej maści z czarnymi znamionami, wysoki w kłębie na ponad piętnaście dłoni, o dużych, postawionych uszach, z dwiema białymi skarpetkami i śliczną strzałką w okolicach nozdrzy.

- Jest wspaniały! - wykrzyknęła Vita.

Signor Dira poklepał ogiera po szyi, a Vita po chwili ostrożnie dotknęła jego nozdrzy.

- Nie musi się pani obawiać - odezwał się signor Dira. - Wszystkie araby są bardzo łagodne i czułe. Zupełnie nie boją się ludzi, a kiedy się pasą, każdy może się zbliżyć i dotknąć ich smukłej szyi.

- Nie wiedziałam o tym - przyznała Vita.

- Niezwykłą łagodność, lecz zarazem i odwagę częściowo odziedziczyły po swoich przodkach, a częściowo zawdzięczają temu, iż nigdy nie miały okazji poznać lęku - wyjaśnił signor.

Uśmiechnął się i mówił dalej:

- Często się naprzykrzają, ocierając się o swoich panów, i podążają nawet za dziećmi, tak że trudno się czasem od nich opędzić.

- Niesamowite! - wykrzyknęła Vita. Ogier wyciągał pysk w jej stronę, kiedy do niego przemawiała. Wyglądało to tak, jakby chciał okazać, że bardzo jest z tego zadowolony.

Po chwili Vita spojrzała na niewygodną zagrodę, w której umieszczono konia, i nie kryjąc oburzenia zawołała:

- Czy widzi pan, że on nie ma w ogóle wody? I żadnego jedzenia!

- To prawda! - przyznał signor Dira. - Widziałem, jak wchodził z nim na pokład jakiś Beduin. Był też z nim pomocnik, zdaje się, Włoch.

- Proszę koniecznie dowiedzieć się, gdzie oni są - powiedziała Vita. -

Jestem przekonana, że koń jest spragniony i głodny, jeśli przez cały dzień nikt się nim nie interesował.

Signor Dira usłuchał wydanego polecenia i Vita pozostała z ogierem sama. Przyglądała mu się uważnie, starając się zapamiętać wszystkie jego zalety. Pomyślała, jak bardzo by zaskoczyła ojca, gdyby mu oznajmiła, że widziała prawdziwego Szajfi. Była przekonana, że jeśli ogiera wybrano do królewskich stajni, musi być doskonały pod każdym względem. Nie dopuszczała myśli, że może się pomylić, zachwycając się zwykłym arabem, jakich wiele zobaczyć można w Syrii.

Minęło trochę czasu, zanim powrócił signor Dira, wyraźnie zmartwiony. Oznajmił:

- Beduina, który miał się opiekować koniem, powaliła choroba morska. Ledwo go odnalazłem. Nie jest w stanie nic zrobić. Wciąż tylko jęczy.

- A ten drugi mężczyzna? - zapytała Vita.

- Przysłano go z królewskich stajni jako pomocnika, lecz wszystko wskazuje na to, że również nie będzie mógł zająć się koniem.

- Co pan ma na myśli?

- Mówiąc szczerze, signorina, on pije. Nie lubi morza i problem choroby morskiej rozwiązuje, upijając się prawie do nieprzytomności!

- Jakież to obrzydliwe! - wykrzyknęła Vita. - Należało oczekiwać, że ten, kto posiada tak wspaniałego ogiera, lepiej o niego zadba!

- Sądzę, że szejek Szaalan nie będzie zadowolony z zachowania swoich służących - stwierdził sucho signor Dira. - W tej chwili jednak go tu nie ma, nie może więc zobaczyć, co się dzieje.

- Wobec tego sami musimy zająć się koniem - powiedziała Vita. - Gdzie

można znaleźć jakieś wiadro?

- Myślę, signorina, że nie powinniśmy się do tego wtrącać. Poza tym to nie jest praca dla pani.

- Zawsze wtrącam się do wszystkiego, co dotyczy zwierząt - odpowiedziała Vita. - Jeśli sądzi pan, że mogłabym zjeść obiad, wiedząc, że koń jest spragniony i głodny, to bardzo się pan myli!

Zauważyła leciutki uśmiech na wargach signora Dira i pomyślała, że uważa ją za jedną z tych zwariowanych Angielek, które bardziej przejmują się zwierzętami niż własnymi dziećmi. Ale zupełnie o to nie dbała.

Chcąc postawić na swoim, nalegała, aby znalazł drewniane wiadro i napełnił je wodą. Ona natomiast rozejrzawszy się dookoła, odkryła worek rzucony tuż przy zagrodzie konia, który zawierał przygotowaną dla niego paszę. Nie było wątpliwości, że koń był spragniony. Wypił zawartość całego wiadra i Vita wysłała signora Dira, nieco już tym wszystkim dotkniętego, aby je ponownie napełnił. Nakarmiła ogiera i kiedy była już pewna, że zrobiła wszystko, aby na tym rozkołysanym statku zwierzę czuło się możliwie najlepiej, powróciła na górny pokład.

Przy kolacji, która nie była zbyt wykwintna, signor Dira odzyskał panowanie nad sobą. Irytacja wywołana historią z koniem minęła bez śladu i Vita wcale nie musiała go długo prosić, aby znowu zaczął opowiadać o Syrii. Ogromnie go ujęła powtarzając, jak bardzo jest mu wdzięczna za to, co czerpie z jego wiedzy i doświadczenia.

Już na początku uprzedził ją, że podróż z Bejrutu do Damaszku będzie niezwykle kosztownym przedsięwzięciem. Przede wszystkim będą potrzebowali ochrony przed bandytami napadającymi na podróżnych, a poza

tym Vita chciała mieć najlepsze konie, aby jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Zdawała sobie sprawę, że im bardziej przeciągnie się jej nieobecność w Neapolu, w tym większą panikę wpadnie lady Crowen. Jedyne przez szybki powrót może zapobiec podjęciu przez nią jakichś wyjątkowo dramatycznych kroków. Z ulgą myślała, że po spędzeniu nocy na pokładzie statku wczesnym rankiem znajdą się już w Bejrucie, a signor Dira zapewniał ją, że nie będzie żadnych problemów ze zdobyciem zaopatrzenia i eskorty, która poprowadzi ich do Damaszku.

Vita nie mogła powstrzymać rozbawienia, kiedy się zorientowała, że jej przewodnik bardziej niż ona obawia się zagrażających im niebezpieczeństw. Wierząc jednak, że nie zrobi jej zawodu w ostatniej chwili i nie zdecyduje się wrócić do Włoch zamiast jej towarzyszyć, zmieniła lemat rozmowy.

- Chciałabym, aby pan opowiedział mi o beduińskich małżeństwach - poprosiła, doskonale już wiedząc, że signor Dira lubi brzmienie swego głosu.

- Większość Beduinów zadowala się jedną żoną - odpowiedział. - Ceremonia ślubna jest bardzo prosta.

- Jak wygląda? - zapytała Vita.

- Zazwyczaj pięć lub sześć dni po talabie (talab - tak u Beduinów nazywają się zaręczyny) pan młody przychodzi do namiotu ojca panny młodej z jagnięciem w rękach i zarzyna je w obecności świadków. Gdy tylko krew tryśnie na ziemię, ceremonię ślubną uważa się za zakończoną.

- Ale chyba bawią się potem?

- O tak, bawią się znakomicie, dużo przy tym śpiewając i jedząc. - Signor Dira urwał i po chwili, starannie dobierając słów, dodał: - Tuż po zachodzie słońca pan młody udaje się do namiotu ustawionego w pewnej odległości od

głównego obozu. Tam w odosobnieniu oczekuje na swoją oblubienicę.

Vita uśmiechnęła się.

- Myślałam, że to raczej oblubienica oczekuje na swego oblubieńca.

- Nigdy w życiu! Panna młoda, nieśmiała i zatrwożona, biega od jednego namiotu do drugiego, aż w końcu zostaje schwytana przez pozostałych członków plemienia i triumfalnie wprowadzona przez kobiety do namiotu pana młodego.

- Czy ona naprawdę się tak opiera?

- Oczekuje się od niej, aby krzyczała i wyrywała się - odpowiedział signor Dira - ponieważ takie zachowanie uważane jest za skromne, a to przystoi młodej dziewczynie. Czasami oblubienica opiera się tak rozpaczliwie, że mąż musi ją bić, aby stała się uległa!

Vita pomyślała, że to bardzo prymitywny zwyczaj, lecz zachowała tę uwagę dla siebie. Gdy tylko skończyli kolację, podziękowała przewodnikowi za uprzejmość i udała się do swojej kabiny.

Morze nieco się uspokoiło, tak więc rozebrała się z łatwością. Zanim poszła spać, raz jeszcze pomyślała o koniu pod pokładem statku. Gdyby go nie nakarmiła i nie napoiła, teraz by cierpiał. Wyobrażała sobie, jak bardzo zły byłby jej ojciec, gdyby którykolwiek z jego koni został tak potraktowany przez stajennego. Postanowiła, że jeśli będzie na to czas, prześliznie się następnego ranka do ładowni i przed przybyciem do Bejrutu ponownie odwiedzi ogiera.

Spała jednak do późna i miała jedynie czas na ubranie się i pozbieranie rzeczy, bo już signor Dira pukał do drzwi jej kajuty, aby powiadomić, że zbliżają się do portu.



Pośpieszyła na pokład. Głęboko wciągnęła powietrze do płuc, rozkoszując się pięknem gór wznoszących się ponad małym miasteczkiem. Słońce wspaniale świeciło, co sprawiało, że szczyty gór, wciąż pokryte śniegiem, mieniły się w jego blasku. Podziwiała obsypane kwiatami migdałowce i brzoskwiniowe drzewa, które porastały wzgórze, sięgając prawie linii wody. Miasto, z kwadratowymi białymi domami i płaskimi dachami, po wieżyczkach i kopułach Neapolu wyglądało niezwykle urzekająco i prawdziwie orientalnie.

Stała przy nadburciu statku, który coraz bardziej zbliżał się do zatoki. Kiedy signor Dira podszedł do niej, zapytała:

- Ciekawa jestem, czy z koniem wszystko w porządku?
- Mam nadzieję, że stajenny przyszedł już do siebie - odpowiedział przewodnik.
- Myślę, że powinniśmy porozmawiać z nim i powiedzieć, jak źle postąpił - oświadczyła Vita.
- Jeśli nie mógł sam zająć się koniem, powinien przynajmniej kogoś o to poprosić. Poza tym gdyby trochę pomyślał, nalałby wody do wiadra przed wypłynięciem z portu.
- Nie sądzę, aby było rozsądne karcić służącego szejka Szaalana - nerwowo sprzeciwił się signor Dira.
- Coś mi się zdaje, że boi się pan szejka - prowokująco powiedziała Vita.
- On ma ogromną władzę, signorina.
- Mimo to uważam, że jedno z nas powinno porozmawiać z tym człowiekiem - obstawała przy swoim Vita.
- W przeciwnym wypadku zrobi to ponownie i w końcu naprawdę wyrządzi krzywdę dobremu i cennemu koniowi.

Signor Dira nic nie odpowiedział. Vita zrozumiała, że absolutnie nie chce się on mieszać w nie swoje sprawy. Pomyślała, że prawdopodobnie obawia się zemsty ze strony Beduinów. Jednocześnie sama myśl o tym, że ktokolwiek może tak traktować zwierzę, doprowadzała ją do furii. Była pewna, że jeśli podróż trwałaby dłużej, to Beduin, wciąż trapiiony morską chorobą, nie uczyniłby nic dla konia, którego miał pod opieką. Uświadomienie sobie, że stojący obok niej signor Dira zastanawia się, czy lepiej będzie stracić twarz przed nią, odmawiając udzielenia reprimendy stajennemu, czy też wzbudzić gniew szejka, mieszając się do jego spraw.

Nagle, gdy statek płynął już wzdłuż nabrzeża portu, z ust signora Diry wyrwał się okrzyk:

- Wszystko w porządku, signorina! - powiedział szybko. - Nie musi się już pani dłużej martwić o ogiera!

- Dlaczego? - zapytała Vita.

W odpowiedzi signor Dira wskazał na Araba, który stał trochę na uboczu, czekając aż statek przybije do nabrzeża. Ubrany był tradycyjnie w kombar - długą białą szatę z narzuconą na nią czarną abbah wyszytą złotem, po tym można było poznać, że to ważna osobistość. Na nogach miał żółte buty, które były przedmiotem podziwu Beduinów, a na głowie białą kaffiah, ozdobioną czterema sznurami uplecionymi z wielbłądziego włosa.

Gdy podpłynęli bliżej, Vita zauważyła, że u pasa miał olbrzymi nóż z rękojeścią wysadzaną cennymi kamieniami, a kiedy była już na tyle blisko, aby zobaczyć jego twarz, uświadomiła sobie, że to ktoś bardzo ważny. Szejka zdawał się nieco wyższy od otaczających go mężczyzn. Poza tym trzymał głowę z władcą wyniosłością, co jeszcze podkreślało jego dostojność.

- A więc to właśnie jest szejk Szaalan al-Hasajn! - powiedziała niemal bezgłośnie, wymawiając słowa w sposób, który signor Dira określił jako bezbłędny.

- Tak, signorina! Lecz to jest wróg, zawzięty wróg. Proszę to zapamiętać. Wróg szejka Madzuela al-Mazraba i jego żony!

Vita spojrzała na Araba z wyraźnym zainteresowaniem.

Tymczasem statek przybił do brzegu i signor Dira ponaglał Vite do zebrania swoich rzeczy, tak aby byli jednymi z pierwszych, którzy zejść po trapie na ląd. Znalaziono tragarza, który zajął się bagażami, i kiedy Vita zeszła na brzeg, ze wszystkich stron otoczyła ją mieszanina dźwięków, jakich do tej pory jeszcze nigdy nie słyszała. Była niepoczyszona, że nie zna arabskiego na tyle, aby zrozumieć, co mówią dookoła. Do jej uszu dobiegały jednak pojedyncze francuskie słowa.

- Proszę tędy, signorina - powiedział signor Dira, wydając polecenia tragarzowi i jednocześnie energicznie torując Vicie drogę wśród nieprzebranego tłumu.

Podążając za nim, Vita nagle zdała sobie sprawę, że znalazła się tuż obok szejka. Wciąż stał trochę na uboczu, lecz było koło niego kilku Arabów, każdy w czarnej abbah. Vita pomyślała, że z pewnością należą do tego samego plemienia, ponieważ Anazowie, jak się dowiedziała, nigdy nie nosili czerni.

Zupełnie nieoczekiwanie podjęła decyzję i skierowała się w jego stronę. Zbliżając się, zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie to jeden z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziała. Miał klasyczne rysy, mimo iż jego nos był bardziej garbaty, niż można by

spodziewać się po Arabie. Ciemne oczy były niemal czarne, a kiedy zetknęła się z szejkiem twarzą w twarz, pomyślała, że były wyjątkowo zimne i pozbawione cienia zainteresowania.

- Pan jest szejkiem Szaalanem al-Hasajnem? - zapytała.

Spojrzał na nią ostro i skinął głową.

- Mówi pan po francusku, monsieur?

- Tak, mademoiselle!

- A więc chcę panu powiedzieć - odezwała się Vita - że mężczyzna, którego pan wystąpił do Neapolu, aby opiekował się ogierem na statku, to prawdziwy drań! Komuś takiemu nie powierza się tak wspaniałego zwierzęcia!

Wstrząśnięta tym, jak potraktowano ogiera, mówiła stanowczo, niemal agresywnie. Widziała, jak oczy szejka, zanim raczył się odezwać, prześliznęły się po niej zuchwale.

- A więc utrzymuje pani, mademoiselle, że mój człowiek źle traktował konia?

- Cierpiał na chorobę morską, zostawił więc zwierzę bez wody i jedzenia - odpowiedziała Vita. - Gdybyśmy ja i mój przewodnik nie nakarmili i nie napoili ogiera, bez wątpienia źle zniósłby uciążliwą podróż.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym szejek zapytał:

- I ja mam w to uwierzyć?

- Czy sądzi pan, monsieur, że poza troską o zwierzę mogłabym mieć jakikolwiek inny powód, aby pana o tym powiadomić? - zapytała ze złością Vita. - Stajenny był złożony chorobą, temu nie zaprzeczam. Ale powinien przecież podjąć jakieś kroki i kazać komuś zająć się koniem, zanim jeszcze

statek wypłynął z Neapolu!

Po chwili milczenia szejek odezwał się chłodno:

- Wysłuchałem tego, co miała mi pani do powiedzenia. - W jego głosie zabrzmiała jakaś dziwna rezerwa, która ogromnie zirytowała Vite.

- Miejmy nadzieję, że będzie pan ostrożniejszy w przyszłości, monsieur - powiedziała dosyć ostro. - W Anglii zbyt cenimy nasze konie, aby pozwolić, żeby jacyś pośledni służący źle je traktowali!

Skończyła mówić i odeszła, nie spojrzawszy nawet na szejka. Pomimo to czuła jego wzrok na sobie, kiedy podążała w dół nabrzeża, gdzie stały powozy do wynajęcia; signor Dira wybrał jeden z nich.

Dopiero kiedy ruszyli, rzucił ostrzegawczo:

- To była obraza, której szejek nigdy nie zapomni!

- Co było obrazą? - zapytała Vita. Wstrzymała na chwilę oddech, a serce mocniej jej zabiło, ponieważ szejek naprawdę ją zdenerwował.

- Nazwała pani człowieka z jego plemienia „poślednim służącym”. A to traktowane jest jak obraza i wymaga zadośćuczynienia.

Vita roześmiała się.

- Wątpię, aby szejek chciał mnie ukarać - powiedziała. - Lecz ciekawa jestem, czego by ode mnie żądał.

- Za obrazę zazwyczaj płaci się baranem - wyjaśnił signor Dira.

Vita znów się roześmiała.

- A więc szejek będzie rozczarowany, ponieważ nie mam barana. I mogę pana zapewnić, że gdybym rozmawiała z jego stajennym, mówiłabym jeszcze bardziej obraźliwiej.

- Musi pani uważać, signorina! - ostrzegł signor Dira. - W Syrii ludzie są

pamiętliwi, a szejk ma wielką władzę.

- Zapewniam pana, że wcale się go nie boję - odpowiedziała Vita. - A może dzięki temu w przyszłości będzie bardziej uważał, komu powierza konie.

Signor nie odezwał się, ale Vita nie miała wątpliwości, że był wystraszony. Ona jednak zapomniała o całym epizodzie, kiedy dobijali targu o konie i ludzi do eskorty, która miała ich doprowadzić do Damaszku. W końcu wszystko zostało ustalone, i gdy tylko zjedli posiłek w najbliższym hotelu, Vita przebrała się w strój do jazdy konnej i była gotowa do drogi.

Odjechali z wielką pompą i w dosyć szybkim tempie.

Signor Dira wynajął wielki orszak forysiów, konie i kilkanaście osłów, które wydawały się niepotrzebne, ale Vita wiedziała, że jej przewodnik był czymś wyraźnie zaniepokojony i chciał zagwarantować wyprawie maksymalne bezpieczeństwo. Nie wynajął tak typowych dla karawany wielbłądów jucznych, ponieważ Vita miała niewiele rzeczy. Poza tym wielbłądy opóźniłyby ich podróż. Jej waliza została więc przytroczona do białego osła, po którym, jak jej powiedziano, można było poznać, że jest ona bardzo ważną lady.

Kiedy tylko opuścili Bejrut i zaczęli się wspinać drogą wiodącą w górę, widok, jaki się przed nimi rozpostarł, dosłownie Vite poraził. Nigdy nie przypuszczała, że gdzieś może być taki zakątek na ziemi. W zachwyty wprawiały ją wysokie szczyty gór pokryte śniegiem, w dole kwitnące drzewa i krzewy, a przede wszystkim obsypane różowym kwieciem migdałowce, piękne jak z bajki na tle błękitnego nieba.

Droga była wyboista, a po obu jej stronach co chwila pojawiały się jakieś

rozpadliny i wąwozy. Było bardzo ciepło, ale w miarę jak wspinali się coraz wyżej, temperatura wciąż spadała. Vita musiała przyznać, że dobrze się stało, iż posłuchała przewodnika i wzięła ze sobą ciepły płaszcz, który teraz narzuciła na swój dosyć cienki strój jeździecki. Specjalnie wybrała ten najbardziej efektowny, ponieważ zdawała sobie sprawę, jak bardzo Arabowie lubią kolory. Był w odcieniu głębokiego różu, z białymi guzikami. Kapelusz, bardzo modny, z wysoką główką, przewiązany był muślinowym szalem, który opadając z tyłu, nieco ją osłaniał przed promieniami słonecznymi.

Vita wiedziała, że mają przed sobą długą, męczącą podróż i że zgodnie z tym, co powiedział signor Dira, noc będzie musiała spędzić w namiocie.

- W okolicy nie ma żadnych zajazdów, w których mogłaby zatrzymać się lady - wyjaśnił.

Jednym z powodów, dla którego potrzebowali dużego orszaku, była właśnie konieczność postawienia nocą dwóch mężczyzn na warcie.

Dla Vity wszystko to miało smak cudownej przygody, a ponieważ była przyzwyczajona do spędzania podczas polowań długich dni w siodle, nie męczyło jej to nadmiernie.

Wieczorem zachód słońca był wspaniały, a kolory na niebie zdawały się odbijać te w dolinie, przez którą dopiero co przejeżdżali. Duży zbiornik czystej wody został błyskawicznie otoczony przez barany, krowy, osły i wielbłądy. Wszystkie gasiły pragnienie przed zapadnięciem zmroku. Męczący dzień zbliżał się do końca, lecz kiedy zdecydowali się rozbić obóz na noc, Vita wciąż była pełna energii - zafascynowana wszystkim, co się wokół niej działo.

Podczas drogi zatrzymywali się tylko dwukrotnie, aby coś zjeść. Wiedziała, że typowym arabskim posiłkiem podczas podróży karawaną jest diarajsza - grubo zmielone gotowane zboże, polane stopionym masłem. Po dodaniu do tego mleka otrzymuje się potrawę, która nazywa się nakaa. Pomyślała, że musi to smakować obrzydliwie, ale okazało się znakomite. Ponieważ była Europejką, signor Dira zakupił ponadto w Bejrucie także owoce, jajka i ser. Wyjaśnił, że podróżni często pieką po drodze jagnię, ale on uważał to za błąd. Dym z palącego się ogniska łatwo może sprowadzić nieproszonych gości. Vita po tym mieszanym, arabsko-europejskim posiłku zupełnie nie czuła się głodna. Zarazem jednak chciała zobaczyć, jak się piecze jagnię, i prawdę powiedziawszy, chętnie by się ogrzała przy ogniu.

Gdy słońce zaszło, wiatr wiejący sponad ośnieżonych gór stał się niezwykle zimny i Vita bardzo się ucieszyła, gdy ustawiono dla niej mały namiot. Natychmiast wśliznęła się do środka, stwierdzając, że poślanie z miękkich poduszek ułożonych wprost na ziemi jest wyjątkowo wygodne.

Mężczyźni pokładli się z głowami na tobołkach i każdy przykrył się swoim burnusem. Spali ze strzelbami pod ręką, a jak zauważyła Vita, gdy opuszczali Bejrut, za ich szerokie pasy zatknięte były pistolety oraz zakrzywione noże zwane sakin.

Vita była tak zmęczona, że natychmiast zasnęła. Zbudził ją gwar rozmów, rżenie koni i ryk osła. Był już świt i cały obóz pakował się, gotowy do wymarszu. Mężczyźni śmiali się i śpiewali. Jedyne signor Dira wyglądał na zmęczonego, tak jakby nie spał dobrze.

- Wszystko w porządku, signor? - zapytała Vita. Uśmiechnął się.
- Dorastałem nie przyzwyczajony do tak wczesnego wstawania, signorina.



Miasta psują ludzi pustyni.

- Czy chciałby pan wrócić i zamieszkać tutaj?

- Czasami o tym marzę. Ale mam żonę Włoszkę i sześcioro dzieci, którym bardzo by się to nie podobało!

To rzeczywiście problem - pomyślała Vita. Po chwili znowu siedziała w siodle. Przed nimi była dalsza droga do Damaszku.

Spodziewała się, że Damaszek to piękne miasto. Czytała, że nazywa się go „perłą Wschodu” i że kiedyś pisano o nim: „Och, Damaszku, choć jesteś tak stary jak historia, twoje piękno jest świeże niby tchnienie wiosny”.

Czuła, że przeżywa coś niezwykłego, gdy przejeżdżali przez góry z Bejrutu aż do Szaum Szaraf „Świętego czy też Błogosławionego”.

Jakby wiedząc, o czym Vita myśli, signor Dira podjechał bliżej i powiedział:

- Podobno prorok Mahomet spojrzął na Damaszek i nazwał go rajem!

- Jest piękny! - wykrzyknęła Vita. Patrzyła nie tylko na Damaszek, ale również na pustynię wokół, jakby chciała ujrzeć w oddali niezliczone czarne namioty.

Nie minęło jeszcze południe, kiedy wjechali do miasta. Dopiero wtedy Vita dowiedziała się, że kuzynka Jane nie mieszka w Damaszku, lecz poza jego obrzeżem, w Bab Manzal-Chasab. Trochę żałowała, że nie obejrzała samego miasta, przeczuwając, że pierwsze wrażenie zawsze jest najsilniejsze. Uznała jednak, że w tej chwili sprawą dla niej najważniejszą jest spotkanie z kuzynką. Podążyła więc wraz z całą karawaną koni i osłów do Bab Manzal-Chasab, gdzie na olbrzymim terenie, odgrodzonym od świata zewnętrznego wysokimi drzewami i kwitnącymi krzewami, znajdował się

dom Jane.

Gdy tylko minęli bramy posiadłości, Vita zdała sobie sprawę, że kuzynka Jane przeniosła na pustynię kawałek Anglii. Były tu wspaniałe trawniki oraz klomby goździków, pieprzyc i dzwonków. Przejeżdżając pod rzucającymi cień drzewami oraz mijając porośnięte liliami stawy, zauważyła Vita również niespotykane w Syrii rośliny i drzewa owocowe.

Dom, który nieoczekiwanie pojawił się tuż przed nią, wprowadził ją w istny zachwyty, ponieważ centralna jego część zbudowana była całkowicie w stylu arabskim. Kiedy podjechali pod drzwi wejściowe, Vita poczuła niepokój. Większość okien miała opuszczone żaluzje, a cały dom wyglądał jak wymarły. Ktoś z eskorty zsiadł z konia, aby zadzwonić do drzwi.

Dźwięk dzwonka rozchodził się daleko, po czym nastąpiła długa cisza, aż wreszcie do ich uszu dobiegło szuranie butów po posadzce. Ktoś odsunął rygle i zdejmował łańcuchy. Na koniec drzwi otworzyły się i stanął w nich stary służący. Signor Dira zwrócił się do niego po arabsku. Po długiej wymianie zdań, z której Vita absolutnie nic nie zrozumiała, signor Dira z miną nie wróżącą niczego dobrego powiedział:

- Obawiam się, signorina, że będzie pani zawiedziona, lecz czcigodna Jane Digby al-Mazrab wyjechała na pustynię.

- Nie ma jej tutaj! - wykrzyknęła Vita z konsternacją. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jak bardzo idiotyczna była jej pewność, że zastanie kuzynkę w Damaszku. Powinna była przewidzieć, że o tej porze roku Jane może być gdzieś na pustyni ze swoim szejkiem i jego plemieniem.

Przez chwilę pomyślała z rezygnacją, że cała wyprawa nie zdała się na nic i że trzeba będzie wracać. Nagłe z niespodziewaną determinacją

oświadczyła:

- W takim razie muszę jechać do mojej kuzynki. Ale najpierw dowiemy się, gdzie ona jest!

- Pojedzie pani?- zapytał zaskoczony signor Dira.

- Oczywiście! - rzuciła Vita stanowczo. Znowu nastąpiła długa wymiana zdań ze służącym, po czym przewodnik odezwał się:

- Mężczyzna sugeruje, że o miejscu pobytu pani czcigodnej kuzynki najprawdopodobniej mogą coś wiedzieć brytyjski konsul, kapitan Richard Burton oraz jego żona. Służący mówi, że są jej bliskimi przyjaciółmi i powinni pani pomóc.

- A więc musimy odszukać kapitana i panią Burton - powiedziała Vita. - Proszę podziękować służącemu.

Spojrzała nieco tęsknym wzrokiem na dom, żałując, że nie może obejrzeć jego wnętrza. Pomyślała jednak, że nie wypada o to prosić. Ruszyła więc z karawaną w powrotną drogę, opuszczając piękną posiadłość o angielskim wyglądzie w poszukiwaniu innego domu, gdzieś poza miastem, w kurdyjskiej wiosce Salahijjah. Na szczęście nie było to daleko.

Podczas jazdy Vita próbowała przypomnieć sobie wszystko, co słyszała o Richardzie Burtonie. Podobnie jak kuzynka Jane, był jednym z tych, o których mówiono w Anglii. We wszystkich gazetach można było znaleźć artykuły o nim. Poza tym i on także był postacią kontrowersyjną; Vita przypominała sobie, że często przerywano rozmowę o nim w jej obecności. Wiedziała, że był jednym z największych podróżników na świecie, znanym orientalista, mającym prawo do noszenia zielonego turbanu i posiadającym tytuł hadży, który oznaczał, że jako pielgrzym zgłębił tajemnicę

„najświętszej z najświętszych” - Mekki. Sławę przyniosło mu również odkrycie źródeł Nilu.

Przypomniała sobie, jak kiedyś podczas obiadu jej ojciec zwrócił się do kuzyna Bevila:

- Czy widziałeś się z Burtonem, kiedy byłeś w Syrii?

- Oczywiście! - odpowiedział Bevil. - Któż mógłby przyjechać do Damaszku i nie spotkać się z nim? Jest naprawdę wspaniały! Dziwny, niezwykle intrygujący człowiek, który już za życia stał się legendą.

- Lubisz go? - zapytał sir George. Bevil wzruszył ramionami.

- Czy można lubić zamkniętego w klatce lwa lub tygrysa czy też mężczyznę, o którym się mówi, że jest w połowie bogiem, a w połowie szatanem? - Roześmiał się i dodał: - Richard Burton jest fantastyczny, nie ma co do tego żadnych wątpliwości! Mówi co najmniej dwudziestoma ośmioma językami.

- Słyszałem - powiedział chłodno sir George. - W klubie zawsze się przy tym dodaje, że jednym z nich jest język pornograficzny. - Przypomniawszy sobie o obecności Vity, zakaszłał i szybko zmienił temat.

Vita cieszyła się ogromnie, że nie tylko spotka się z kuzynką Jane, ale zobaczy również mężczyznę, o którym tyle się mówi i którego książek nie pozwolono jej czytać pod żadnym pozorem.

Właściwie nie wiedziała, dlaczego jej tego zakazano. Zauważyła tylko, że o zachowaniu Richarda Burtona tak samo szeptano, jak o zachowaniu kuzynki Jane. Słyszała, jak ktoś opowiadał, że Burton w przebraniu dostał się do haremu, i jakby tego było mało, wziął udział w dziwnych miejscowych rytuałach, po ujrzeniu których żaden biały człowiek nie ma

prawa zostać przy życiu.

Wioska kurdyjska była śliczna, i kiedy przejeżdżali uliczkami tak wąskimi, że pokonywać je trzeba było pojedynczo, Vita zauważyła maleńki meczet, a obok niego dom, którego właśnie szukała.

Ściany budowli oplecione były kaskadami róż i winorośli, a kiedy wjechali na arkadowy dziedziniec, ujrzeni fontannę, z której tryskała mieniąca się w słońcu woda. Znowu zadzwonili do drzwi, a dźwięk dzwonka rozszedł się po domu, który aczkolwiek nie tak okazały i wielki jak posiadłość kuzynki Jane, bez wątpienia również mógł się podobać.

Rozejrzawszy się dookoła, Vita zauważyła dziwną gromadkę zwierząt. Po ogrodzie chodziły małe i wychudzone jagnięta; wyglądało na to, że przyniesiono je tu, ponieważ były zbyt słabe, aby mogły sobie same poradzić w stadzie. Były tu również małe koziołki, jeleni, któremu obecność innych zwierząt zdawała się zupełnie nie przeszkadzać, dużo psów i kilkanaście tłustych kotów wylegających się na parapetach okiennych. Znacznie później Vita dowiedziała się, że wśród tych zwierząt znajdował się również lampart!

Służący otworzył drzwi i signor Dira wyjaśnił, w jakim celu Vita przyjechała do Damaszku. Mężczyzna zdawał się czekać, aż wejdą do środka. Vita zsiadła więc z konia i weszła do chłodnego, o łukowym sklepieniu hallu. Po chwili jakaś wysoka, dosyć pulchna, w średnim wieku kobieta wyszła im naprzeciw z wyciągniętymi rękami.

- Czy to prawda, że jest pani kuzynką Jane Digby al-Mazrab? - zapytała.

- Tak, to prawda! - odpowiedziała Vita. - Przyjechałam do Syrii specjalnie po to, aby się z nią zobaczyć. Niestety dowiedziałam się, że nie ma jej w domu i że podobno wyjechała na pustynię. Chciałabym ją odnaleźć i mam

nadzieję, że mi pani w tym pomoże.

- Ależ oczywiście. Nazywam się Isobel Burton. Każdy krewny drogiej Jane może liczyć na moją przyjaźń! Jaka pani jest piękna i jak bardzo podobna do swojej kuzynki!

Isobel Burton była nie tylko silnie zbudowana, ale miała również silną osobowość. Wciągnęła Vite do salonu, posłała po coś do picia i jedzenia, bez przerwy zadawała setki pytań, nie czekając na odpowiedź, i chociaż nie zamykały się jej usta, robiła to tak sympatycznie, że można było darować kobiecie nienasyconą wprost ciekawość.

- Byłam akurat w Neapolu i pomyślałam, że dobrze by było odwiedzić moją kuzynkę, o której tyle słyszałam - wyjaśniła ogólnikowo Vita. Nie miała zamiaru mówić zbyt wiele tej wciąż zalewającej ją potokiem słów kobiecie. Jednocześnie zdawała sobie doskonale sprawę, że jeśli ma znaleźć Jane, to jedyną osobą, która może jej w tym pomóc, jest Isobel Burton.

- Jane nie ma już od jakichś trzech tygodni - wyjaśniła pani Burton. - Przed wyjazdem wydała wspaniałą kolację! Siedzieliśmy na dachu pod niebem usianym gwiazdami, rozmawiając do późnej nocy.

- Byłabym ogromnie wdzięczna, gdyby pani pomogła mi możliwie najszybciej odnaleźć kuzynkę - powiedziała Vita. - Czy sądzi pani, że to możliwe?

Isobel Burton zrobiła wymowny ruch ręką.

- Niezwykle trudno jest przewidzieć, gdzie Mazrabowie mogą być o tej porze roku, lecz nie sądzę, aby byli daleko. W pobliżu miasta znajdują się doskonałe pastwiska i przypuszczam, że zatrzymają się tam jakiś czas, zanim ruszą dalej.

- Zależy mi na tym, aby szybko wyjechać - powiedziała Vita. - A jeśli to możliwe, to nawet dzisiaj. Pani Burton pokręciła przecząco głową.

- Jest już na to stanowczo za późno. Poza tym wątpię, aby ludzie, którzy przyjechali z panią z Bejrutu, zgodzili się jechać dalej.

- Czy chce pani powiedzieć, że będę musiała wynająć nowych?

- Tak - odpowiedziała pani Burton. - Ale z tym nie będzie problemu. - Spojrzała na Vite i uśmiechnęła się. - Jest pani bardzo młoda i bardzo ładna. Większość ludzi byłaby przerażona, słysząc, że chce pani sama jechać na pustynię.

- Dlaczego? - zapytała Vita.

- To przez te opowieści o podróżnych, którzy są napadani, ograbiani, a nawet zabijani.

- Czy te opowieści są prawdziwe? Isobel Burton zaśmiała się.

- Pani kuzynka Jane z pewnością powie pani prawdę o pustyni. Dodam tylko, że mój mąż i ja kochamy Beduinów tak samo jak ona.

- A więc pomoże mi pani ją odnaleźć?

- Skontaktuję się z kimś od szejka Madzuela, kto zorganizuje dla pani karawanę. Obawiam się jednak, że będzie to sporo kosztowało. - Pani Burton czekała chwilę niespokojnie, zanim Vita odpowiedziała.

- To nie ma znaczenia!

- A więc proszę wszystko pozostawić mnie - uśmiechnęła się pani Burton.

- Często załatwiam takie sprawy. Mój mąż całkowicie na mnie polega i obiecuję, że będzie pani pod znakomitą opieką.

- Wspaniale. Chciałabym wyruszyć jutro rano, i to możliwie najwcześniej

- powiedziała Vita - jeśli oczywiście nie sprawię zbyt wielkiego kłopotu,

zatrzymując się u pani na noc.

- To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność! - zapewniła pani Burton. - Musi mi pani opowiedzieć wszystko o Anglii! Och, Boże, jak bardzo mi brak tamtejszego życia towarzyskiego, tamtejszych przyjęć, balów i ploteczek dworskich!

Pod koniec dnia Vita nie miała już żadnych wątpliwości, że Isobel Burton to okropna snobka. Za wszelką cenę chciała udowodnić, że jest bardzo bliską przyjaciółką Jane. Vita odniosła wrażenie, że dla pani Burton kuzynka Jane zawsze będzie raczej „lady Ellenborough, żoną para”, niż żoną Mazraba.

Isobel Burton opowiadała fascynujące historie o Jane, o tym, jak poluje ze swoim szejkiem i perskimi ogarami, jak strzela do kuropatw i jeździ na dromaderach - co, trzeba przyznać, nie należy do rzeczy łatwych - że znakomicie mówi po arabsku i że w czasie walk między plemionami zawsze jedzie na czele swojego plemienia.

- Potrafi również doić wielbłądy - dodała pani Burton.

- Ależ tu u pani dużo zwierząt - zauważyła Vita po chwili i wtedy usłyszała kolejną ciekawostkę o swojej kuzynce.

- Nie tak dużo jak u Jane - odpowiedziała Isobel. - Oprócz koni, osłów, wielbłądów jednogarbnych, perskich ogarów, papug oraz znanego w całym Damaszku oswojonego pelikana ma jeszcze około stu kotów!

- Sto kotów! - wykrzyknęła Vita.

- I każdy ma własny talerz! - dodała pani Burton.

- Proszę mi powiedzieć, jak wygląda kuzynka Jane - poprosiła Vita.

- Jest piękna i majestatyczna - odpowiedziała Isobel. - Beduini nazywają ją „Umm-al-Lalam” - „Mleczną Matką” - z powodu jej białej skóry. Pani skóra



jest równie biała. Jane musiała wyglądać tak samo, kiedy miała tyle lat, co pani teraz.

Vita nie chciała rozmawiać o sobie, więc z nagłym zainteresowaniem zwróciła się do Richarda Burtona. Był to mężczyzna wyjątkowo intrygujący; takiego jeszcze nigdy nie spotkała. Miał bardzo ciemne włosy, czarne, mocno zarysowane brwi oraz brązową, ogorzałą od słońca skórę. Poniżej wydatnych kości policzkowych widoczne były duże wgłębienia, a twarz zdobiły okazałe czarne wąsy. Vita jednak pomyślała, że najbardziej w nim fascynowały oczy - czarne, o długich czarnych rzęsach. Tymi oczyma Burton wciąż przeszywał ją na wylot. I właśnie wtedy uświadomiła sobie, że myśli o innych oczach, tych, w które patrzyła wczoraj - o oczach szejka Szaalana al-Hasajna.

Przypomniała sobie wyraz lekceważenia na jego twarzy, kiedy lustrował ją spojrzeniem od stóp do głów. Było to bez wątpienia spojrzenie nieprzyjazne, które ją dziwnie poruszyło. Zastanawiała się, dlaczego akurat ona została nim obdarowana, i to przez jednego z Arabów, którzy, jak słyszała, zawsze podziwiali blondynki. Miała ochotę zapytać Richarda Burtona, co o tym sądzi, lecz zamiast tego opowiedziała mu, jak źle potraktowano konia szejka podczas podróży. Wydawał się tym ogromnie zaskoczony.

- Szejkowie zazwyczaj wyjątkowo dbają o swoje ogiery - powiedział. - Szczególnie o te pełnej krwi, lecz szejk Szaalan to dziwny człowiek. Jest zawziętym wrogiem Madzuela al-Mazraba, tak więc na pani miejscu nie mówiłbym zbyt wiele o nim, gdy przyłączy się pani do swojej kuzynki.

- To nie tak - zaproponowała pani Burton. - Madzuel, podobnie jak droga Jane, to najlepszy człowiek pod słońcem. Z pewnością brzydzi się zemstą.

- Nie sądzę, aby zgodził się z tym szejk Szaaian! - rzucił ze zniecierpliwieniem w głosie Richard Burton.

Vita pomyślała, że uznał opinię żony za głupią i irytującą.

Kiedy panie zostały same, Isobel wcale nie ukrywała, że ma ochotę na szczerą rozmowę o szejku Madzuelu.

- Jest uroczy, wykształcony i bardzo inteligentny, lecz jako mąż...

- Chodzi pani o to, że jest Arabem?

- Tak, moja droga, ta ciemna skóra... Lecz Jane go uwielbia i jest o niego bardzo zazdrosna.

- A ma do tego powody? - zapytała Vita. Wiedziała, że Beduini mogą mieć cztery żony, a także mogą rozwieść się z każdą bez najmniejszych trudności.

- Nnie... chyba nie - powiedziała Isobel Burton jakby z odrobiną wahania.

- Ale biedna, droga Jane jest obsesyjnie zazdrosna o Kwadijidę. To bardzo atrakcyjna wdowa po synu Madzuela, Szabibbie. - Po chwili dodała: - Gdy się jest tak bezgranicznie zakochaną, trudno nie być zazdrosną.

Vita wyczuła w jej głosie drżenie, które zdradzało, że Isobel mówi o sobie. Po chwili, jakby pod wpływem nagłego impulsu, dodała:

- Oczywiście Jane może być o panią zazdrosna. Kiedy się ma ponad sześćdziesiąt lat, wcale nie musi być miło ujrzeć siebie ponownie w wieku lat osiemnastu.

Vita zaskoczona spojrzała na panią Burton. Coś takiego nigdy by jej nie przyszło do głowy. Jednak szybko o tym zapomniała, uznając to za absurd.

Zbyt była podniecona wydarzeniami czekającymi ją następnego dnia, aby siedzieć do późna w nocy i rozmawiać, nawet jeśli ta rozmowa miałaby dotyczyć kuzynki Jane. Tak więc, z trudem uwolniwszy się od Isobel Burton,

rzuciła się na łóżko i niemal natychmiast zasnęła.

Obudziła się, kiedy już świtało. Słyszała, jak cały dom tętni życiem. Ku swemu zaskoczeniu dowiedziała się, że Richard Burton wyjechał już do Damaszku. Pani Burton zajęta była karmieniem zwierząt.

- To są moje dzieci, moje ukochane dzieci - powtarzała z dziwnym uśmiechem na twarzy.

Po szybkim śniadaniu poinformowano Vite, że przed domem czeka eskorta, która zaprowadzi ją na pustynię. Z rachunku, który jej wręczono, wynikało, że podjęta przez nią wyprawa wymagała kupna wielu rzeczy.

Signor Dira czekał przed domem, aby się z nią pożegnać.

- Czy jest pan absolutnie pewny, signor, że nie zmieni pan zdania i nie pojedzie ze mną? - zapytała Vita z uśmiechem.

- Chciałbym, aby to było możliwe - odpowiedział signor Dira. - Ale w Neapolu czeka na mnie rodzina. Poza tym mam możliwość przyłączenia się do karawany, która dziś rano odjeżdża do Damaszku. Bezpieczniej będzie, jeśli pojedę razem z nimi.

Wiedząc, jak bardzo jest strachliwy, Vita nie nalegała dłużej. Podziękowała mu tylko za opiekę i za arabski, którego jej trochę nauczył.

- Jest pani najlepszą uczennicą, jaką kiedykolwiek miałem, signorina - oświadczył. - Człowiek, który z panią pojedzie, będzie kontynuował lekcje. Już z nim na ten temat rozmawiałem.

Mężczyzna ten, najwyraźniej szef karawany, wyglądał na starszego niż signor Dira. Cieszył się też chyba większym od niego autorytetem. Ale pani Burton, która przyszła, aby zlustrować eskortę Vity, najwyraźniej nie była zadowolona.

- Nie jesteś tym, którego zatrudniłam wczoraj - powiedziała ostro. - Gdzie jest Jusuf?

- Jusuf zachorował, łaskawa pani - odpowiedział mężczyzna. - Bardzo przeprasza, ale nie czuje się na siłach poprowadzić karawany.

- To nieprawda i ty dobrze o tym wiesz! - ostrym tonem zaprzeczyła Isobel Burton. - Albo otrzymał korzystniejszą propozycję, albo ma jakieś osobiste powody, dla których zrezygnował z wyjazdu.

- Nazywam się Nazir, łaskawa pani, i to ja będę eskortował lady. Nie będzie żadnego problemu. Znam pustynię jak własną kieszeń.

- Mam nadzieję, że to prawda - rzuciła groźnie pani Burton. Po chwili odwróciła się do Vity i cicho powiedziała: - Bardzo mnie to zdenerwowało. Widziałam się z Jusufem wczoraj wieczorem, a on obiecał mi, że sam poprowadzi karawanę.

Vita spojrzała na konie. Prezentowały się znakomicie. Starszy Beduin również robił dobre wrażenie.

- Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku - zapewniła uspokajająco.

- Nie lubię, kiedy się zmienia ustalony przeze mnie plan - mówiła Isobel Burton. - Jusuf obiecał mi, że z tobą pojedzie. Nic nie jest w stanie go usprawiedliwić. Nie zmienia się zdania w ciągu dwunastu godzin.

- Może naprawdę jest chory - zasugerowała Vita.

- Nonsens! Ma po prostu jakiś powód, aby nie wyjechać z Damaszku, i zapewniam cię, moja droga, że dowiem się, o co chodzi!

Vita nie miała wątpliwości, że zapowiedź zostanie zrealizowana. Teraz jednak myślała tylko o tym, aby jak najszybciej wyruszyć w drogę. Pożegnała więc swoją opiekunkę, dziękując jej gorąco za wszystko. Kiedy

wskoczyła na konia, który już na nią czekał, z radością stwierdziła, że był to szczególnie piękny okaz araba.

Jestem pewna, że to wspaniałe zwierzę zawdzięczam temu, iż udaję się do kuzynki Jane - pomyślała. - Nie sądzę, aby autorytet pani Burton mógł być tak wielki jak szejka Madzuela!

Ruszyli i Vita pomachała ręką na pożegnanie.

Wkrótce opuścili małą wioskę i wjechali na teren pustyni. Poczują jakieś dziwne podniecenie, obserwując, jak przelewające się morze piasku usypuje po bokach niebotyczne, nagie wzniesienia, jednocześnie odsłaniając przed nią bezkresny horyzont. Gdzieś z tyłu, niemal tak przejrzyste jak perły w promieniach wschodzącego słońca, pozostały iglice i kopuły Damaszku.

## Rozdział czwarty

Karawana ruszyła w dość ostrym tempie i Vita przekonała się, jaka to przyjemność jechać na tak wspaniałym koniu. Czowała się znakomicie w chłodnym powietrzu poranka. Słońce wprawdzie już wzeszło, ale jego promienie nie grzały jeszcze zbyt mocno. Galopowali po miękkim podłożu, stopniowo oddalając się od otaczających Damaszek pastwisk i posuwając coraz bardziej w głąb pustyni.

Jest dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam - pomyślała Vita. - A może nawet bardziej romantycznie!

Wokół pojawiały się jakieś dziwne barwy, nadające horyzontowi mistyczną półprzezroczystość, której Vita nie potrafiła porównać z niczym, co do tej pory widziała. Sądziła dotąd, że pustynia jest płaska, lecz okazało się, że tak naprawdę jest falista, a gdzieś tam dostrzec można nawet jakieś dziwne skały, wyrastające nie wiadomo skąd, czasami otoczone kępami skarłowaciałej roślinności.

Nagle znowu pojawił się porośnięty trawą teren. Pasły się na nim owce, a w oddali Vita zauważyła grupę namiotów. Pomyślała, że muszą one należeć do plemienia Anaza. Najwidoczniej jednak Nazir, aby nie tracić czasu na rozmowę z Beduinami, których mogliby spotkać w czasie jazdy, wybrał drogę nie dającą Vicie okazji do bliższego z nimi kontaktu. Z początku, ponieważ konie jechały bardzo szybko, trudno było dziewczynie prowadzić rozmowę z przewodnikiem. Przekonała się, że araby ogromnie lubią galop, a kłus i cwał to coś, czego zupełnie nie akceptują. Wszyscy członkowie eskorty, poza Nazirem, zdawali się trzymać osobno, tak jakby obecność Vity

ich krępowala. Czasami tuż obok przemykały jakieś pustynne zwierzęta i Nazir informował wtedy Vite, jak nazywają się po arabsku. Od czasu do czasu widzieli strusie, jednak za każdym razem były zbyt daleko, aby Vita mogła się im dokładnie przyjrzeć. Nazir wyjaśnił, że samce mają czarne pióra z białym otokiem, z wyjątkiem piór na ogonie, które są zupełnie białe.

- A samice? - zapytała Vita.

- Pióra samic mają szare plamki - odpowiedział Nazir.

Opowiedział jej również mnóstwo ciekawostek o strusiach. Dowiedziała się na przykład, że u strusi okres lęgu przypada na środek zimy i że samica składa wtedy od dwunastu do dwudziestu jeden jaj.

- Beduini uważają strusie jaja za przysmak i sprzedają je po szylingu za sztukę.

- A pióra? Czy pióra też są cenne? - zapytała Vita.

- Najpiękniejsze sprzedawane są pojedynczo - odpowiedział Nazir - i na rynku osiągają cenę od jednego do dwóch szylingów.

Oprócz strusi Vita zauważyła bardzo dużo gazeli. Spotkali też dzikie osły, lecz na pierwszy rzut oka nie różniły się one zbyt od zwykłych osłów domowych. Widzieli również mnóstwo bocianów, dzikich gęsi, kuropatw i skowronków oraz chmary ptaków, które Arabowie nazywają kattah. Z oddali ptaki te wyglądały niby olbrzymia chmura. Vita dowiedziała się, że składają one jaja w skalistych okolicach.

- Jajka są u nas bardzo popularne - wyjaśnił Nazir. - Arabowie jadają je w olbrzymich ilościach.

Kiedy konie nie pędziły już tak szaleńczo, Vita zaczęła wypytywać Nazira o rośliny, starając się zapamiętać ich nazwy. Poznała wtedy przypominający

niecokoper szaumar oraz roślinę zwaną wasbę, dziwną, żółtą łodygę. Nazir powiedział jej, że to właśnie sok tych roślin barwi wargi wielbłądów na czarno.

Po jakimś czasie konie przyśpieszyły i rozmowa znowu stała się niemożliwa. Vita oddała się więc rozmyślaniu nad tym, co powie kuzynce Jane, kiedy ją w końcu odnajdzie.

Przez cały czas jednak nie mogła pozbyć się przykrej wątpliwości, którą zasiała w niej Isobel Burton: czy to możliwe, aby Jane kiedykolwiek mogła stać się o nią zazdrosna? Zastanowiwszy się nad tym, raz jeszcze uznała tę myśl za zupełnie absurdalną. To w końcu Jane posiadała wszystkie atuty. Cóż mogło się równać z jej wspaniałą rezydencją w Damaszku? Poza tym była przecież królową plemienia, któremu przewodził jej mąż, co dawało jej prawo towarzyszenia mu, gdy wyruszał na pustynię. Jak Vita, mając osiemnaście lat, mogłaby marzyć o współzawodnictwie z kimś, kto ma tak ogromną władzę i tak wspaniałą urodę?

Vita często spotykała się z opinią, że bardzo przypomina Jane, ale chociaż nie szczędzono jej komplementów, nigdy przecież nie została uznana za piękność znaną w całym świecie, tak jak Jane. Nie miała też przy sobie gromady wielbicieli pragnących ją poślubić czy też złożyć u jej stóp królewską koronę.

Mam jedynie lorda Banthama - pomyślała i zrozumiała, że dla tych wszystkich sławnych, dystyngowanych i interesujących mężczyzn, którzy kochali jej kuzynkę, mogłaby być tylko jej nędzną imitacją. Atutem Vity była jednak młodość, i chociaż Charles utrzymywał, że kuzynka Jane była już za stara na miłość, z tego, co Vita słyszała zarówno od Bevila, jak i od



pani Burton, wynikało jasno, że mając sześćdziesiąt dwa lata, kuzynka Jane wciąż jest romantyczna, namiętna, a nawet zaborcza. Myśl, że Jane mogłaby potraktować ją jak rywalkę, wciąż Vite prześladowała i dziewczyna w żaden sposób nie mogła się jej pozbyć.

W południe zatrzymali się wreszcie w małej oazie. Napoili konie, opuszczając wiadro na długiej linie w głąb studni i wyciągając je na powierzchnię po brzegi napełnione wodą. Wodę dla Vity wyciągnięto w dziwnego kształtu naczyniu z koziej skóry. Nie bardzo jej smakowała, wypła więc zaledwie parę łyków. Następnie zjadła posiłek identyczny jak poprzedniego dnia.

Rozłożyli się w cieniu palm, które skutecznie chroniły przed lejącym się z nieba żarem. Kiedy po dwóch godzinach zamierzali ruszyć w dalszą drogę, Vita pierwsza zauważyła na horyzoncie najpierw chmurę kurzu, a następnie grupę jeźdźców, zmierzających wyraźnie w ich kierunku.

Odwróciła się, chcąc zapytać Nazira, czy wie, kto to może być, gdy ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że nie ma go przy niej. Pomyślała, że jest pewnie gdzieś z tyłu karawany. Zawołała na niego, lecz chyba jej nie usłyszał, ponieważ nie podjechał do niej, podczas gdy pozostali jeźdźcy z eskorty zdawali się ją otaczać.

- Gdzie Nazir? - zapytała niecierpliwie. Po chwili uświadomiwszy sobie, że jej nie rozumieją, powtórzyła kilkakrotnie jego imię. Znowu nikt jej nie odpowiedział. Pomyślała, że zupełnie ich nie obchodzi, co ma im do powiedzenia, gdyż zajęci są wyłącznie obserwowaniem jeźdźców pędzących w ich stronę.

Kiedy ci nieco się zbliżyli, Vita przypomniała sobie wszystko, co Bevil

opowiadał jej kiedyś o bandach atakujących podróżnych. Połowa napastników kradła to, co podróżni mieli przy sobie, a pozostali, udając, że chcą obrabowanym pomóc, domagali się nagrody.

Zastanawiała się, czy taki właśnie był zamiar pędzącej w ich stronę grupy jeźdźców, i kolejny raz zawołała Nazira. Odwróciła się chcąc sprawdzić, dlaczego przewodnik karawany nie reaguje na jej wołania. I wtedy nie wierząc własnym oczom ujrzała, jak Nazir popędzając z całych sił konia zawraca. Była tym tak zdumiona, że wprost osłupiała. Dopiero odgłos strzelaniny wyrwał ją z odrętwienia. Zmierzający w jej stronę jeźdźcy strzelali z pistoletów, wyjąc przy tym straszliwie, zawieszeni na strzemionach, z cugłami w zębach. Wymachiwali pierzastymi lancami, rzucali je i ponownie łapali w pełnym galopie.

Vita była przerażona. Jej koń zachowywał się bardzo nerwowo, najwyraźniej podniecony hałasem. Kiedy usiłowała go uspokoić, przypomniała sobie, jak podczas jednej z wielu rozmów o kuzynce Jane usłyszała o czymś, co w języku tubylców nazywa się diaria, a oznacza po prostu dziką szarżę beduińskich jeźdźców, spotykaną od Maroka aż po Arabię.

Tymczasem część jeźdźców przerzuciła się pod brzuchy koni, strzelając przy tym w pełnym galopie, wyjąc i coś wrzeszcząc. Prawdopodobnie były to okrzyki wojenne. Vita odruchowo zatrzymała konia; mężczyźni z eskorty uczynili to samo. Właśnie w chwili, gdy już była pewna, że pędzące wprost na nich konie spowodują straszliwe zderzenie, Beduini ponownie znaleźli się w siodłach. To był fantastyczny popis umiejętności jeździeckich, miał jednak w sobie coś przerażającego. Vita czuła, że jej nerwy napięte są do granic

wytrzymałości. Ale kiedy spojrziała na jeźdźców z bliska, zrozumiała, że nie ma się czego obawiać.

Byli to młodzi, przystojni mężczyźni o błyszczących ciemnych oczach i roześmianych ustach, które odsłaniały olśniewająco białe zęby. Z daleka mogli wydawać się dzicy. Teraz jednak uznała, że wyglądają dosyć sympatycznie. Poza tym zauważyła, że mężczyźni, którzy stanowili jej eskortę, wcale nie zamierzali walczyć. Żaden nie wyciągnął nawet broni, którą miał przy pasie. Nie pozostawało jej nic innego, jak czekać na rozwój wypadków. Jednocześnie nerwowo poszukiwała jakiegoś sensownego wyjaśnienia całej historii.

W pewnej chwili jeden z jeźdźców, najwidoczniej ich przywódca, wydał jakieś polecenie, i pozostali otoczyli Vite i jej eskortę, podczas gdy on sam wysunął się do przodu, jednoznacznie określając tym swoją pozycję.

Było jasne, że mają za nim jechać, i Vita nie miała już żadnych wątpliwości, jakie było zadanie tych ludzi. Zrozumiała, że zostali wysłani przez szejka Madzuela z poleceniem sprowadzenia jej do obozu. To, że szejk wiedział o jej przybyciu, nawet jej specjalnie nie zdziwiło. Tu, na pustyni, wszystko było możliwe. Prawdopodobnie ktoś z Damaszku dotarł do obozu szejka i powiadomił go, że ona jest w drodze. A może Beduini mieli jakąś własną metodę porozumiewania się, na przykład pocztę gołębi-kurierów, z której korzystały całe pokolenia od czasu, gdy została wprowadzona za panowania dynastii Fatymidów - kalifów Kairu.

Bevil opowiadał Vicie, że ptaki przenosiły pocztę systemem sztafetowym, pokonując trasę Kair-Basra- Bejrut-Konstantynopol. Latały również nad terenami bezludnymi z Damaszku do Palmiry, gdzie co pięćdziesiąt mil

ustawiono dla nich specjalne wieże.

Vita pomyślała, iż bez względu na okoliczności, z pewnością nie są to jej wrogowie, lecz przyjaciele. Ich wspaniałe konie i niezwykle barwne stroje wprawiły ją w prawdziwy zachwyty. Cały czas jednak myślała o Nazirze. Nie mogła zrozumieć, dlaczego uciekł. Nie wyglądał na tchórze, a ponadto był Mazrabem. Czyż to nie dziwne, że nie rozpoznał swoich natychmiast, gdy tylko pojawili się na horyzoncie?

Stanowiło to dla niej zagadkę, ale jej arabski był zbyt słaby, aby mogła zwrócić się o wyjaśnienia do Beduinów z eskorty. Wierzyła, że po przybyciu do obozu otrzyma odpowiedź na wszystkie dręczące ją pytania. Zaskoczona była tylko, że ich podróż do obozu trwa aż tak długo. Isobel Burton była przecież pewna, że szejek Madzuel nie odjechał daleko od Damaszku, gdzie znajdowały się doskonałe pastwiska, a ponadto nie minęły jeszcze trzy tygodnie, odkąd wraz z małżonką opuścił dom, tym bardziej nie mógł więc znajdować się zbyt daleko.

Vita nie miała jednak pojęcia, jak wielkie są stada należące do Mazrabów oraz ile paszy potrzeba dla ich wykarmienia. Nie orientowała się również, jak liczne jest obecnie plemię Mazrabów. Wiedziała, że Anazowie byli najpotężniejszym ludem na terenie Syrii oraz że stanowili jedno największych skupisk Beduinów na Pustyni Arabskiej. Anazowie dzielili się na szereg różnych plemion i jednym z nich byli właśnie Mazrabowie. Bevil powiedział jej, że kiedy ostatnio był w Syrii, Anazowie liczyli trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi i zajmowali terytorium co najmniej czterystu tysięcy mil kwadratowych, lecz o liczebności plemienia Mazrabów nie miał najmniejszego pojęcia. Vita mogła więc na ten temat snuć jedynie

przypuszczenia.

Podróż zdawała się nie mieć końca i dziewczyna czuła, jak ogarnia ją znużenie. W pewnej chwili ujrzała przed sobą coś, co z daleka przypominało wielką czarną plamę. Kiedy podjechali nieco bliżej, przekonała się, że ta plama to po prostu skupisko czarnych namiotów.

Najwyraźniej zbliżali się do miejsca przeznaczenia, ponieważ jeźdźcy zaczęli ponaglać konie, wydawać okrzyki wojenne, wymachiwać włóczniami, rzucać je w powietrze i ponownie łapać. Niektórzy nawet zaczęli wywrzaskiwać jakąś zabawną piosenkę, budząc tym ogólną wesołość. Konie również zdawały się wyczuwać, że są już blisko domu, ponieważ pędziły jak szalone w kierunku widniejących w oddali namiotów.

Wygrałam! Osiągnęłam to, co zamierzałam! - powiedziała sobie w duchu podniecona Vita. - Za chwilę zobaczę się z kuzynką Jane! Nareszcie rozwiążę swoje problemy, tak samo jak ona potrafiła rozwiązać swoje!

Kiedy patrzyła przed siebie, zdawało się jej, że widzi całe miasto zbudowane z namiotów. Pomyślała, że musi ich być co najmniej dwieście, a może nawet trzysta.

W końcu znaleźli się na tyle blisko, aby dostrzec niezwykle okazały namiot, wysunięty ku zachodowi i nieco oddalony od innych. Vita była pewna, że należy do szejka.

Signor Dira mówił jej, że namiot wodza czy też szejka zawsze ustawia się na zachodniej linii obozu, ponieważ to właśnie z tej strony syryjscy Arabowie oczekują zarówno swych wrogów, jak i przyjaciół.

- Pokonanie pierwszych i powitanie drugich to najważniejsze zadanie szejka - wyjaśniał signor Dira. - Dla wodza dbającego o swoje dobre imię

rozbicie namiotu w innej części obozu byłoby hańbą.

Vite niespecjalnie to wówczas zainteresowało. Teraz jednak ogromnie się ucieszyła, że widzi ten wspaniały namiot i że jej podróż dobiegła wreszcie końca. To był długi i dosyć męczący dzień.

Kiedy jeźdźcy, wciąż wznosząc okrzyki wojenne, zatrzymali się przed namiotem, Vita zsiadła z konia, szybkim gestem dłoni poprawiła kapelusz i skierowała się do wejścia.

Drogę wskazywali jej pełniący najwyraźniej rolę służących Beduini, którzy stali po obu stronach uchylonej płachty namiotu. Kiedy weszła do środka, ujrzała jakąś osobę, która sprawiała wrażenie, jakby na nią właśnie czekała.

Vita spojrzała w tę stronę i uczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. To nie była ani kuzynka Jane, ani szejk Abdul Madzuel al-Mazrab. Rozpoznała szejka Szaalana al-Hasajna, z którym tak niedawno rozmawiała na nabrzeżu portu w Bejrucie.

Stali w milczeniu, patrząc na siebie. Vita była tym tak zaskoczona, że zupełnie bezwiednie odezwała się po angielsku:

- Dlaczego tu jestem? - zapytała.

- Jesteś pani moim więźniem. - odpowiedział w tym samym języku szejk.

- Pańskim... więźniem? - z trudem wykrztusiła Vita, i patrząc na niego z niedowierzaniem, dostrzegła ten sam wyraz zadowolenia, a jednocześnie wrogości, który widziała wtedy, stojąc na nabrzeżu portu.

- Pan mówi po angielsku! - zauważyła. To była pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy.

- Możemy wrócić do rozmowy po francusku, jeśli pani woli -

odpowiedział.

Vita wzięła głęboki oddech.

- Dlaczego... dlaczego mnie pan tu... przyprowadził i jak pan śmie przeszkadzać mi w dotarciu do mojej kuzynki?

- Pani kuzynka jest żoną Abdula Madzuela al-Mazraba, który jest moim wrogiem. Czy muszę więc tłumaczyć, że porwanie jego znakomitego gościa, a zarazem krewnej, znaczy więcej niż zabranie jego owiec lub koni?

Sposób, w jaki to powiedział, zdenerwował Vite bardziej niż słowa.

- Jak pan śmie wciągać mnie do swojej awanturniczej wojny! - wykrzyknęła. - Przybyłam do Syrii, aby zobaczyć się z moją kuzynką, a ponieważ jestem obywatelką brytyjską, żądam, aby mnie pan natychmiast do niej odwiózł! - Była przekonana, że jej głos zabrzmiał dostatecznie władczo.

Po chwili szejek odpowiedział:

- Oczywiście to, że jest pani obywatelką brytyjską, powinno pani bronić skuteczniej niż cała armia żołnierzy. Być może jest tak w innych częściach świata, ale nie tutaj!

- Nie miał pan absolutnie żadnego prawa mnie porwać, i to w tak podstępny sposób! - oświadczyła ze złością Vita.

- To nie było takie trudne - zauważył szejek. Jakaś irytująca nuta w jego głosie sprawiła, że Vita zawołała:

- Pan to wszystko zaplanował! Nazir był opłacony przez pana! To pan uniemożliwił Jusufowi Mazrabowi zawiezenie mnie do mojej kuzynki, tak jak to ustaliła z nim pani Burton!

Nareszcie zrozumiała, dlaczego człowiek, któremu zapłaciła za swoje bezpieczeństwo, odjechał, gdy tylko na horyzoncie ukazała się grupa

jeźdźców. Oni wszyscy musieli być ludźmi szejka Szaalana, a nie Mazrabami, tak jak początkowo sądziła. To był obrzydliwy spisek, który może opóźnić jej powrót do Neapolu, a w takim wypadku lady Crowen z pewnością zawiadomi o wszystkim ojca.

Widać było, jak Vita walczy ze sobą, aby w końcu powiedzieć:

- Czy nie moglibyśmy... porozmawiać o tym rozsądnie?

- Zależy, co pani uważa za rozsądne - odpowiedział szejk. - Ale gdzież moje dobre maniery? Proszę usiąść. Może filiżankę kawy?

Po tak długiej podróży bez choćby kropli wody Vita miała zupełnie wyschnięte gardło, i kiedy szejk wykonał zapraszający gest, usiadła na czymś, co Arabowie nazywają roffa, a co z wyglądu przypomina dużą, wygodną otomanę.

Tuż przed nią stał niski mosiężny stoliczek do kawy, a całą podłogę pokrywał wspaniały perski dywan. Namiot okazał się znacznie większy, niż Vita przypuszczała, i przedzielony był czymś, co wyglądało jak wiszący ogromny dywan z białej wełnianej tkaniny w kwieciste wzory.

Czuła się bardzo zmęczona, ale wiedziała, że musi zmobilizować cały swój spryt. Zdjęła z głowy kapelusz do jazdy konnej i położyła go obok siebie. Kiedy rano się ubierała, upięła włosy bardzo starannie, tak że po długim dniu jazdy wcale nie były w nieładzie i nie rozsypywały się. Jej różowy strój także wyglądał świeżo i nie był wcale wymięty pomimo wielu godzin spędzonych w siodle. A jednak z jakiegoś zupełnie nieznanego powodu wygląd Vity nie wzbudzał podziwu w stojącym tuż przed nią mężczyźnie.

Szejk również usiadł i wtedy do namiotu weszła czarna niewolnica, niosąc



dla nich kawę. Vita wiedziała, że wszyscy ważniejsi arabscy szejkowie trzymają niewolników, ale ona jeszcze nigdy niewolnika nie widziała. Przyglądała się więc obsługującej ich kobiecie z dużym zainteresowaniem. Niewolnica napełniła filiżanki kawą, po czym skłoniwszy się nisko szejkowi, opuściła namiot.

Kawa była gorąca i miała znakomity aromat. Pili w milczeniu, delektując się jej smakiem, dopóki Vita nie opróżniła filiżanki do połowy. Wtedy zwróciła się do szejka:

- Ile żąda pan za moje uwolnienie?

- Przypuszczałem, że będzie pani chciała zaproponować mi pieniądze - powiedział szejk. - Nie sądzę jednak, aby mogła mnie pani przekupić, nawet jeśli jest pani tak bogata jak jej kuzynka.

Było coś surowego i nieugiętego w tonie jego głosu, co pozbawiło Vite złudzeń, że mogłaby się z nim jakoś dogadać. Mimo to nie rezygnowała.

- A więc... co mogę panu... zaoferować? - zapytała.

- Nic! Napisze pani do kuzynki i poinformuje ją o swojej sytuacji, jak również o tym, że jest pani więźniem al-Hasajna. Potem będziemy czekać, dopóki jej mąż i jego ludzie nie przyjdą pani uwolnić.

- A więc zamierza pan wykorzystać mnie do rozpoczęcia wojny?

- Taki jest właśnie mój zamiar.

- Jak można być aż tak upartym! To przecież absurd dążyć do rozlewu krwi, nie mając ku temu żadnego powodu! - Vita spojrzała przez uchyloną płachtę namiotu na falującą pustynię, w stronę Damaszku, skąd niedawno przybyła. - Jest właśnie ta pora roku, kiedy plemiona wypasają stada - ciągnęła. - Dlaczego nie może pan zostawić ich w spokoju? Mężczyźni tacy

jak pan to bestie żądne krwi! To okrutne i zupełnie bezsensowne chcieć walczyć jedynie dlatego, że jesteście od pokoleń wrogami.

- Muszę przyznać, że jest pani bardzo elokwentna - zauważył szejk, a Vita nie miała wątpliwości, że z niej szydzi.

Mówił po angielsku z arabskim akcentem, lecz zauważyła, że posługiwał się tym językiem zupełnie swobodnie. A jednak to, co powiedział, właśnie z powodu tego akcentu, wydało się Vicie o wiele groźniejsze, niż gdyby to samo wyraził po francusku. Była pewna, że jego słowa zabrzmiałyby wówczas o wiele sympatyczniej. Pomyślała jednak, że buntując się niczego nie osiągnie. Spróbowała więc innej taktyki.

- Chciałabym prosić - powiedziała łagodnie - aby pozwolił mi pan pojechać do mojej kuzynki lub też wrócić do Damaszku. Jeśli nie zrobię tego szybko, wpadnę w poważne kłopoty. Bez względu na to, jak bardzo nie cierpi pan Mazrabów, nie widzę powodu, dla którego to właśnie ja mam być kozłem ofiarnym.

- O jakich kłopotach pani mówi? - zapytał szejk. Vita wahała się chwilę, zdecydowała się jednak powiedzieć prawdę.

- Uciekłam od mojej opiekunki i przewodnika wybranego przez ojca. Zostawiłam ich w Neapolu i przyjechałam tutaj, aby zobaczyć się z moją kuzynką, ponieważ mam problemy osobiste, o których chciałabym z nią porozmawiać. Proszę mnie wysłać do jej obozu... bardzo proszę... A kiedy już mnie tu nie będzie, może pan prowadzić tę swoją wojnę, jeśli pan tego naprawdę chce.

- Pani argumenty są bardzo przekonujące - powiedział szejk. - Lecz gdyby pani miała w ręku kartę atutową, jak ja w tej chwili, to czy tak łatwo

by się pani jej pozbyła? Musiałbym być głupcem!

- To nie jest wcale takie głupie. Zaproponowałam panu przecież pieniądze.

- Którymi nie jestem zainteresowany - wtrącił szejka. - Chociaż muszę przyznać, że dzięki nim kupiłbym trochę więcej broni, aby zniszczyć plemię pani kuzynki!

Chce mnie sprowokować - pomyślała Vita. Z ogromnym wysiłkiem opanowała się, aby nie odpowiedzieć mu zbyt ostro.

Wstała, przeszła przez namiot i stanęła tuż przy wyjściu. Słońce już zachodziło i czerń nocy zaczęła powlekać niebo. Na pustyni wciąż jeszcze był dzień. Trwało to jednak tylko chwilę, po czym zapanowała kompletna ciemność.

- Czyżby myślała pani o ucieczce? - usłyszała tuż za sobą głos szejka.

- Dlaczego nie? - zapytała. - To chyba lepsze niż pozostanie tutaj i odgrywanie roli karty przetargowej w tej niecznej grze.

- Nie zaszłaby pani zbyt daleko.

Coś w jego głosie sprawiło, że odwróciła się, aby spojrzeć na niego na wpół z obawą, na wpół ze złością.

- Czy grozi mi pan użyciem siły?

- Dlaczego nie?

- Ponieważ to gwałt! Mówiłam już panu, że jestem obywatelką brytyjską. Może pan uważać, że jest poza prawem, ale przyrzekam, jeśli będzie mnie pan więził, pożałuje pan tego do końca życia!

- To prawdziwe wyzwanie! - zadrwił szejka. Wyciągnął przed siebie ręce i Vita była pewna, że zamierza ją objąć. Z jej ust wyrwał się okrzyk wściekłości. Sama nie wiedziała, jak to się stało, ale walczyła i szarpała się z

nim, próbując się uwolnić. Cały czas jednak zdawała sobie sprawę z jego niezwykłej wprost siły. Teraz już nie krzyczała, całkowicie pochłonięta walką. Próbowwała uwolnić się z jego ramion, które krępowały ją tak, że trudno jej było oddychać. Biła pięściami w jego pierś, czując się jednocześnie bezbronna jak ptak bijący skrzydłami o pręty klatki. Powoli, lecz nieubłagalnie wciągał ją z powrotem do namiotu. Kiedy byli już wewnątrz, w najmniej oczekiwanym momencie pchnął dziewczynę na roffę i rzucił się na nią. Vita wciąż z nim walczyła, aż w końcu poczuła, że słabnie, że jest zbyt wyczerpana, aby się dłużej bronić. Raz jeszcze ostatkiem sił próbowała zrzucić go z siebie, jednak ciężar przytłaczającego ciała zupełnie pozbawił ją tchu.

Czarne płatki zaczęły jej wirować przed oczyma i poczuła, że traci przytomność. I wtedy właśnie usłyszała jego głos. Był zawzięty, a słowa jakby z trudem wydobywały się przez zaciśnięte zęby.

- Czy i teraz, Elaine, zaprzeczysz, że jestem twoim panem?

Słowa zdawały się dobiegać z oddali i wtedy Vita przestała nagle walczyć. Poczowała, jak się poddaje, jak leci gdzieś w ciemność, która ją zaczęła otaczać. Jednak nagła świadomość tego, co może się wydarzyć, spowodowała, iż wyszeptała niemal bez tchu:

- Proszę... proszę!... - Gdy go błagała, jej oczy zamknęły się i znieruchomiła.

Szejk spojrział na jej bladą, wyczerpaną twarz i wstał, zostawiając ją rozciągniętą na roffie.

- Jeśli tego się właśnie pani obawiała, to zapewniam, że z mojej strony nic pani nie grozi - powiedział ostrym tonem. - Jako dziewica jest pani

cenniejszym zakładnikiem. Mężczyźni zawzięciej walczą o kobietę, która jest niewinna.

Niewyraźnie, jakby z oddali, dotarły do niej jego słowa. Po chwili dodał jeszcze:

- Jednocześnie zapewniam panią, że nie jestem zainteresowany niebieskookimi blondynkami. Zostawiam je dla Madzuela al-Mazraba! - Mówiąc to, wyszedł z namiotu, pozostawiając Vite samą.

Minęło trochę czasu, zanim Vita przyszła wreszcie do siebie, a otaczająca ją ciemność rozrzedziła się trochę. Uniosła się nieco, usiłując wstać. Czuła dotkliwy ból we wszystkich mięśniach. Wiedziała, że następnego dnia zobaczy na ramionach sińce. Kiedy wreszcie udało się jej usiąść, czuła się tak, jakby całe jej ciało było posiniaczone. Nigdy nie przypuszczała, że kiedyś będzie walczyła z mężczyzną, i to w taki sposób. Nie mogła zrozumieć, dlaczego wszystko tak się nagłe poplątało i dlaczego ich spór nie ograniczył się tylko do słów.

Czuła, że kręci jej się w głowie. Ponownie zamknęła oczy, aby na dobre się ocknąć. Kiedy znowu je otworzyła, ujrzała wchodzącą do namiotu Beduinę. Kobieta miała na sobie niebieski luźny strój, a ciemne włosy, splecione po obu stronach głowy w długie warkocze, sięgały niemal do ziemi. Skłoniła się przed Vita, czyniąc przy tym gest, jakby ją gdzieś zapraszała. Odchyliła białą wełnianą zasłonę i Vita znalazła się w części namiotu, która najprawdopodobniej pełniła rolę pokoju gościnnego.

Znajdowała się tam wyłożona poduszkami otomana, przykryta jedwabną narzutą, tuż przy niej niski stolik, a w kącie przybory do mycia. Vita zauważyła również swoją walizę stojącą na podłodze.

Kiedy ją otworzyła, aby wyjąć mydło i potrzebne do mycia gąbki, była już tak zmęczona, że z wdzięcznością przyjęła pomoc służącej przy zdejmowaniu stroju jeździeckiego. Jeden z rękawów był na ramieniu rozdarty; stało się to prawdopodobnie podczas walki z szejkiem, ale kobieta wyjaśniła na migi, że zaraz go naprawi.

Kiedy Vita się umyła, myślała jedynie o tym, aby jak najszybciej znów się położyć. Ze znaków, jakie dawała jej kobieta, zrozumiała jednak, że ma się przebrać w inną suknię, co - jak przypuszczała - oznaczało, że jest zaproszona na kolację z szejkiem. I wtedy nagle poczuła okropny głód. Aby się nieco pokrzepić, postanowiła poprosić o filiżankę kawy. Na szczęście wiedziała od signora Diry, jak jest po arabsku „kawa”, i kobieta uśmiechając się pośpieszyła, aby ją przynieść.

Gorący napój rzeczywiście postawił Vite na nogi, ale obolałe po zmaganiach z szejkiem ramiona wciąż jeszcze jej dokuczały. Spojrzała w lustro, które miała w swoim bagażu, i z przerażeniem, ujrzała, jak bardzo jest blada i jak mocno ma podkrążone oczy. Powiedziała jednak sobie, że to, jak wygląda, nie ma właściwie znaczenia. Dobrze wiedziała, co o niej sądzi szejek. Nie mogła jednak powstrzymać się, aby nie zadać sobie pytania: kim właściwie jest Elaine?

Przypuszczała, że szejek wymówił to imię zupełnie bezwiednie, że w rzeczywistości to nie z nią walczył tak zawzięcie, lecz właśnie z Elaine, i to, kim była ona sama, nie miało właściwie żadnego znaczenia. A może to tylko moja nazbyt wybujała wyobraźnia - powiedziała sobie Vita. Jednak w sytuacji, w jakiej się znalazła, trudno było myśleć rozsądnie.

Kiedy w końcu włożyła piękną suknię, którą przywiozła ze sobą, sądząc,

że kuzynce Jane również się spodoba, była już tak zmęczona, iż zaczęła mieć wątpliwości, czy zamiast na kolację z szejkiem nie powinna raczej pójść do łóżka. Wtedy zdała sobie sprawę, że jeśli szejek zechce się z nią spotkać, nic mu w tym nie przeszkodzi. A więc może lepiej będzie, jeśli postąpi zgodnie z jego życzeniem.

Suknia Vity miała odcień bladego różu i skrojona była według najnowszej mody, zgodnie z którą materiał z tyłu udrapowany był w turniurę. Nie była to suknia wieczorowa, miała jednak krótkie rękawki i dekolot wycięty w karo. Góra sukni - bardzo dopasowana - podkreślała smukłą, niezwykle kształtną figurę Vity.

Świadomość, że Beduinka patrzy na nią z podziwem, podtrzymała nieco Vite na duchu, kiedy sama dodawała sobie odwagi, aby przejść przez białą zasłonę, odgradzącą część namiotu szejka. Tak jak się spodziewała, szejek czekał już na nią.

W pierwszej chwili Vita znowu wpadła w panikę. Chciała uciekać, ukryć się gdzieś na pustyni. Ale wrodzona duma kazała dziewczynie unieść wysoko głowę i spojrzeć na szejka wyniośle. Przyglądał się jej badawczo i Vita odniosła wrażenie, że wrogość ponownie pojawiła się w jego oczach.

Szejk nic nie mówił i poczuła się nieswojo. Chcąc przerwać przedłużające się milczenie, rzekła:

- Mam nadzieję, że czas już na kolację. Od bardzo dawna nie miałam nic w ustach.

- Kolacja gotowa - powiedział szejk. - Jest pani jednak w obozie beduińskim, musi się więc pani zachowywać jak przystało na Beduinę.

Spojrzała na niego, nie bardzo wiedząc, co miał na myśli. Po chwili

usłyszała:

- Umyje mi pani ręce i stopy, zgodnie z naszym obyczajem!

Vita zamarła. Była pewna, że chciał ją upokorzyć. Wiedziała, że kobieta beduińska nie tylko myje ręce i nogi swego małżonka lub pana, ale również zawsze na niego czeka. Signor Dira opowiadał jej, że Beduinka z reguły nie je tego, co najlepsze, ponieważ najsmaczniejsze kąski przeznaczone są wyłącznie dla mężczyzn. Kiedy mężczyźni zostaną obsłużeni, kobiety jedzą to, co zostało. Nigdy nie mają okazji skosztować mięsa, z wyjątkiem głowy, nóg i wątroby jagnięcia.

„Kiedy Beduini przyjmują gości - mówił signor - tylko mężczyźni uczestniczą w kolacji, kobiety muszą usilnie prosić o każdy, najmniejszy nawet kawałek mięsa z zabitego na tę okazję zwierzęcia”.

Vita gorączkowo zastanawiała się, co powinna zrobić. Jeśli odmówi, szejek ponownie może użyć siły, z którą tak niedawno miała okazję się zapoznać. Nagle przyszło jej do głowy, że jeśli postąpi tak, jak on sobie życzy, wyjdzie z twarzą z tej sytuacji, a być może pokrzyżuje mu nawet plany.

- Oczywiście! - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. - Obawiam się niestety, że będzie pan jednak musiał mnie poinstruować, jak to uczynić. Nie jest to zwyczaj znany kobietom w Anglii.

Szejek dał znak ręką i czarna niewolnica, która ich obsługiwała, przyniosła miednicę i ręcznik. Następnie wydał polecenie po arabsku i niewolnica w lekkim wyrazem zdziwienia na twarzy podała miskę Vicie.

Vita zbliżyła się z nią do szejka, a on zanurzył palce w wodzie. Następnie postawiła miskę na ziemi i zaczęła wycierać jego dłonie ręcznikiem, podziwiając jednocześnie ich wyjątkowo piękny kształt. Potem uklękła przed



nim i przysunęła naczynie z wodą do jego nóg. Zauważyła, że chociaż chodził po namiocie boso, jego stopy były zupełnie czyste. Poza tym, podobnie jak dłonie, były niezwykle kształtne i bardzo szczupłe.

Wytarła stopy szejka, i spojrzawszy na niego po raz pierwszy, powiedziała:

- Zastanawiam się, ile razy musiałabym to zrobić, aby zrównoważyć wartość jednej owcy.

Szejk nie odpowiedział, lecz Vita nie zrażona jego milczeniem ciągnęła:

- Dobrze wiem, że płacę za obrazę. Zastanawiam się tylko, jak wysoka będzie jej cena.

W kącikach ust szejka pojawił się uśmiech, i po chwili Vita usłyszała:

- Uwalniam panią od tego długu.

- Bardzo się cieszę. A więc jestem już gościem czy jeszcze więźniem?

- A zna pani różnicę? - zapytał szejk.

- Oczywiście - odpowiedziała Vita. - Jako gość będę jadła z panem. Jako więzień będę musiała poczekać, aż pan skończy, a ja jestem bardzo głodna!

Szejk roześmiał się i Vita poczuła, że zdobyła punkt. Przełamała jego opór, przynajmniej na razie. Teraz zastanawiała się, jaki będzie jego następny ruch.

Przyniesiono kolację i Vita usiadła razem z szejkiem na roffie. Na szczęście dowiedziała się od BeVita, jak jedzą Beduini. Nie była więc zaskoczona brakiem sztucców na stole.

Głównym daniem było jagnię, przyrządzone w burgulu i mleku wielbłądzim. Burgul to zboże gotowane z masłem lub oliwą i suszone potem na słońcu. Tak spreparowane ziarno przechowuje się następnie przez rok.

Teraz podano je na dużym drewnianym półmisku, a wokół ułożono cienkie plastry jagnięcego mięsa.

Formowanie z mięsa i burgulu maleńkich kuleczek i podnoszenie ich do ust nie sprawiało Vicie specjalnych kłopotów, musiała tylko uważać, aby nie poparzyć palców. Była tak głodna, iż wydawało się jej, że nigdy nie jadła czegoś równie wspaniałego. Smakował jej również świeżo upieczony chleb, zwany dżisra, oraz kilka jeszcze innych potraw, przyrządzonych z jakichś dziwnych, zupełnie jej nie znanych składników. Na koniec podano hanajna - wspaniały, słodki przysmak z chleba, masła i daktyli. Jedynym napojem był labban, czyli zsiadłe mleko. Vita słyszała o nim, lecz nie sądziła, aby mogło jej smakować. Kiedy jednak wypła pół kubka, przekonała się, że jest zupełnie niezłe.

Beduini, jak opowiadał signor Dira, uważają labban za napój o działaniu nieco pobudzającym, choć zarazem picie alkoholu w jakiegokolwiek postaci uznają za niedopuszczalne, a nawet hańbiące. Kawę natomiast podaje się u nich zaraz po skończonym posiłku.

Przez cały czas obsługiwały ich dwie niewolnice, i kiedy kolacja dobiegała końca, Vita z zadowoleniem ujrzała, jak jedna z nich wnosi miseczkę z wodą do umycia rąk po posiłku. Szejk nie mówił zbyt wiele, podczas gdy niewolnice podawały do stołu, wnosząc wciąż nowe potrawy. W końcu, kiedy Vita była pewna, że nie jest w stanie już nic więcej przełknąć, wypła kawę i z uśmiechem spojrzała na szejka.

- Byłam straszliwie głodna - powiedziała, tak jakby chciała usprawiedliwić swój imponujący apetyt.

- Jest pani bardziej wytrzymała, niż można by sądzić po pani wyglądzie -

zauważył szejka. - Odbyła pani przecież długą podróż. Wielu mężczyzn uznałoby ją za męczącą.

- Jestem zmęczona. Ale nie tylko z powodu podróży. - Zaczerwieniła się, żałując tego, co przed chwilą powiedziała. Nieopatrznie przyznała, że to niedawna walka tak ją zmęczyła.

- Zanim jednak pani się położy - dodał szejka - proszę koniecznie napisać ten list. Chyba nie chce pani zostać tu dłużej, niż to będzie absolutnie konieczne. Im szybciej dotrze on do szejka Madzuela, tym lepiej!

- Czy naprawdę musi go pan wysłać? - nieśmiało zapytała Vita.

- Czyżby obawiała się pani, że szejka Madzuel zdecyduje, iż nie jest pani warta wybawienia? - zdziwił się szejka.

- Nie, nie boję się o to - odpowiedziała Vita. - Pomyślałam tylko, że wojna oznaczać będzie rannych i zabitych nie tylko wśród pańskich ludzi, ale również wśród koni.

- Wciąż pani uważa, że nie najlepiej opiekuję się moimi końmi?

- Tak bardzo je wszystkie podziwiam - przyznała Vita. - Zarówno te, które przywiozły nas tutaj, jak i te należące do pańskich ludzi, którzy mnie porwali. Każdy z tych koni wystawiony na aukcji w Tattersall w Londynie przyniósłby właścicielowi prawdziwą fortunę. Czy muszą cierpieć w tej nikomu niepotrzebnej wojnie?

- Wojna jest sensem życia dla Beduinów. Jeśli nie będziemy walczyć, moje plemię utyje i stanie się leniwe. Jednocześnie utraci twarz.

- Pańscy ludzie mogliby przecież zająć się czymś zupełnie innym - powiedziała ostro Vita.

- Ale dla nich bez walki życie nie miałoby sensu.

- Mimo że pan uważa inaczej?

Nastąpiła chwila ciszy. Po czym szejek odezwał się:

- Dlaczego pani tak mówi? Dlaczego pani uważa, że jestem inny niż moi ludzie?

- Ponieważ jest pan wykształcony, a oni nie. Poza tym jest pan zbyt inteligentny, aby twierdzić, że to właśnie jest przeznaczenie. Inszallah, czyli Bóg tak chce!

Vicie zdawało się, że w oczach szejka dostrzegła zdziwienie. Przez chwilę patrzył na nią i wrogość jakby zniknęła z jego twarzy. Odezwał się jednak szorstko:

- Nie ma pani innego wyjścia. Musi pani napisać list, tak jak powiedziałem.

Dał znak i niewolnica, która najwyraźniej czekała na wezwanie, wniosła tacę, na której był papier listowy, kałamarz oraz gęsie pióro, i postawiła to wszystko przed Vita. Vita z rezygnacją wzięła do ręki pióro. Chciała jak najlepiej, ale nic z tego nie wyszło! Tusz był trochę wodnisty, mimo to rezultat okazał się zupełnie dobry. Kiedy skończyła, wręczyła list szejkowi, aby przeczytał to, co napisała.

Droga kuzynko Jane,

z pewnością mnie nie pamiętasz, ale mój ojciec, generał sir George Ashford i moja matka tak często o Tobie mówili, że kiedy znalazłam się w Neapolu, postanowiłam się z Tobą spotkać. Niestety, po przybyciu do Damaszku dowiedziałam się, że wyruszyłaś na pustynię.

Przemiła pani Burton zorganizowała dla mnie karawanę, abym mogła się do Ciebie przyłączyć, lecz przewodnikowi, którego zatrudniła i który był

Mazrabem. przeszkodzone w realizacji tego zamiaru. A stało się to za sprawą szejka Szaalana al-Hasajna, który zastawił na mnie pułapkę, i teraz jestem jego więźniem.

Kazał mi napisać do Ciebie ten list z prośbą o ratunek. Jest mi niezmiernie przykro, że moja osoba może się stać przyczyną nieporozumień między waszymi plemionami. Niestety, mogę jedynie prosić o wybaczenie.

Proszę, uwierz mi, że nigdy, za żadne skarby świata nie chciałabym, aby tak się stało.

Twoja zrozpaczona Vita Ashford

Szejk błyskawicznie przebiegi wzrokiem po zapisanej kartce papieru, co niezmiernie Vite zaskoczyło. Pomyślała, że musi znakomicie znać angielski, skoro uczynił to tak szybko. Przeczytawszy list, złożył go, wstał i powiedział:

- Zostanie wysłany natychmiast. O świcie znajdzie się już w rękach pani kuzynki.

- A więc nie są zbyt daleko? - zapytała Vita.

- Nie - odparł - ale z pewnością za daleko, aby dotrzeć tam pieszo.

Vita nie odezwała się, a on mówił dalej:

- Teraz proszę pójść spać. Mam nadzieję, że dobrze pani wypocznie, a rano, jeśli to pani odpowiada, pokażę pani moje konie, zanim wojna poczyni wśród nich spustoszenie.

- Z przyjemnością je obejrzę - zapewniła Vita. Wstała, przez chwilę jeszcze zatrzymując wzrok na gospodarzu. W namiocie o dosyć niskim sklepieniu wydał jej się ogromny.

- Dobranoc - powiedział. - Czy zechce pani przyjąć ode mnie wyrazy

uznania za okazaną odwagę? Nie wierzyłem, aby jakakolwiek kobieta w takich okolicznościach mogła zachować poczucie humoru.

- Być może nie daje pan okazji tym biednym istotom, aby udowodniły, iż rzeczywiście go posiadają - wypaliła Vita.

Szejk roześmiał się, tak jakby to, co usłyszał, niezmiernie go ubawiło. Ale już po chwili ton jego głosu zupełnie się zmienił.

- Na dzisiaj dosyć walki. Proszę iść spać, panno Ashford, i mimo wszystko pamiętać, że to Inszallah!

## Rozdział piąty

Wczesnym rankiem odgłosy budzącego się obozu wyrwały Vite ze snu. Chwilę jeszcze leżała, słuchając gwaru rozmów, beczenia kozłów i jagniąt wypędzanych, na pastwisko oraz wesołego śmiechu dzieci. Po chwili jednak podniosła się i sięgnęła po strój do jazdy konnej, i pamiętając, że szejk obiecał pokazać jej konie. Nie była pewna, czy pozwoli jej dosiąść któregoś z nich. Bardzo tego pragnęła, ale zdawała sobie sprawę, jak wiele musi się jeszcze nauczyć o koniach czystej krwi arabskiej.

Przeszła do drugiej części namiotu i w tej samej chwili zjawiła się niewolnica. Pomimo tak wczesnej pory przyniosła kawę, świeżo upieczony chleb oraz duży krążek masła z koziego czy też owczego mleka.

Vita wiedziała, że nigdy nie używano do tego celu mleka wielbłądziego i że ubijanie masła było jednym z wielu zadań Beduinek. Do ich obowiązków należało również wypędzanie owiec i bydła na pastwisko, ponieważ mężczyźni uważali, że uczestniczenie w tych zajęciach byłoby dla nich poniżające. Kobiety musiały również przynosić wodę ze studni, bez względu na to, jak daleko od namiotów się ona znajdowała.

Vita delektując się wyborną kawą pomyślała, że to jeszcze jedna ekstrawagancja szejka. Większość Beduinów tak drogi gatunek kawy pije jedynie przy wyjątkowych okazjach.

Wstała z roffy zamierzając wyjść z namiotu, ale właśnie zjawił się szejk. Skonstatowała, że musiał już jeździć konno, ponieważ w ręku trzymał szpicrutę, a na nogach miał skórzane żółte buty, które widziała po raz pierwszy, kiedy spotkała go na nabrzeżu portu.

- Wypoczęła pani? - zapytał.

- Tak, dziękuję. I nie mogę się wprost doczekać, aby zobaczyć pańskie konie.

Uśmiechnął się, widząc jak bardzo jest podniecona, i powiedział:

- Proszę za mną. Nie będzie pani musiała iść daleko.

Kiedy Vita wyszła z namiotu, widok, który ujrzała, wprost zaparł jej dech w piersiach. Żałowała, że nie ma tu jej ojca, ponieważ na dworze zgromadzono ponad trzysta koni. Każdy angielski hodowca wiele by dał, aby być tu w tej chwili.

- Sądząc po tym, jak nakrzyczała pani na mnie, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy - powiedział szejk - wnioskuję, iż zna się pani na koniach.

- Mój ojciec posiada dużą stajnię. Ale wątpię, aby miał choć jednego tak wspaniałego wierzchowca.

Zbliżyła się do koni i stwierdziła, że rację miał signor Dira, kiedy mówił, jak łagodne i pełne przywiązania są araby. Klacze zdawały się rozpoznawać szejka i szły za nim, ocierając się o niego pyskami. Musiał odsuwać zwierzęta od siebie, aby pokazać Vicie te, które zasługiwały na szczególną uwagę.

- Dopiero gdy zobaczyłam dierid - powiedziała Vita - zrozumiałam, jak szybkie mogą być araby.

- Nie mamy tu koni innych ras - zauważył szejk. - A więc trudno nam ocenić szybkość araba, dopóki nie zostanie sprzedany Europejczykowi. Poza tym dla nas najważniejsza jest wojna i dlatego konia oceniamy raczej według wytrzymałości niż szybkości.

Kiedy wspomniał o wojnie, Vita odruchowo spojrzała za siebie, w



kierunku horyzontu. Z pewnością było za wcześnie, aby Mazrabowie mogli podjąć już jakieś kroki, ale sama myśl o tym, że obydwaj plemiona będą o nią walczyć, mężczyźni niepotrzebnie umierać, a konie cierpieć z powodu zadanych ran, napełniała ją przerażeniem. Ażeby rozproszyć te straszne obrazy, próbowała skupić całą uwagę na koniach, które pokazywał jej szejk.

- To jest Kahilan - powiedział. - Myślę, że nazwa pochodzi od czarnych znaków, które te konie mają wokół oczu. Do złudzenia przypominają one obwódki wokół oczu, malowane henną przez kobiety arabskie.

Koń wyglądał imponująco i Vita poklepała go pieszczotliwie po szyi, zanim szejk pokazał jej następnego wierzchowca.

- To jest Kucnlani - rzeki. - Konie te hodowane są wyłącznie pod wierzch. Mówi się, że pochodzą bezpośrednio ze stajni króla Salomona. Bez względu na to, czy to prawda, czy też tylko legenda, nie ulega wątpliwości, że odznaczają się wyjątkową cierpliwością oraz wytrzymałością na wszelkie trudy.

Przechodzili kolejno od konia do konia. Szejk zwrócił Vicie uwagę na coś, o czym właściwie już wcześniej ; wiedziała. Otóż Beduini nie wkładają koniowi do pyska i ani wędzidła, ani munsztuka. Zamiast tego używają czegoś w rodzaju kantara, ozdobionego cienkim łańcuszkiem.

- Zauważyłam, że większość mężczyzn uczestniczących w dżeridzie jeździ w ten właśnie sposób - powiedziała Vita. - Jestem zaskoczona, że cały czas z taką łatwością i tak skutecznie potrafią powodować koniem.

- Myślę, że to dlatego, iż nasze konie są delikatne i nienarowiste - odpowiedział szejk. - A poza tym całkowicie pozbawione złośliwości, tak typowej dla koni europejskich. - Zrobił pauzę, po czym z dziwnym

grymasem na twarzy dodał: - Oprócz tego potrafią przywiązywać się do ludzi. - Odwrócił się, zanim Vita zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Pomyślała, że ktoś musiał bardzo go zranić i dlatego stał się taki zgorzkniały. Wtem przypomniała sobie, jak wyrzucił z siebie imię Elaine, gdy szamotał się z nią na roffie. I pytanie, kim jest czy była ta Elaine, znów poczęło ją nurtować. Szejk mówił po angielsku, a więc można by przypuszczać, że Elaine to Angielka. Co usprawiedliwiłoby - pomyślała Vita - wrogość w oczach szejka, gdy po raz pierwszy mnie zobaczył. Lecz zaraz znów powiedziała sobie, że widocznie zanadto popuściła wodze fantazji i komplikuje coś, co prawdopodobnie ma bardzo proste rozwiązanie.

- Jak to się stało, że tutaj, w Syrii, wyhodowano tak wspaniałą rasę koni? - zapytała Vita.

- Według legendy nasze konie wywodzą się od pięciu klaczy należących do Salomona - odpowiedział szejk. - Niewielu jednak Arabów w to wierzy. Jednego tylko jesteśmy całkowicie pewni: nasze konie rzeczywiście nie mają sobie równych na całym świecie!

- My w Anglii również tak uważamy. Vita urwała, po czym rzuciła od niechcenia: - Chciałabym kupić jednego z pańskich koni.

- Nie są na sprzedaż - wyniośle odpowiedział szejk i przeszedł dalej, jakby uważał ten temat za zamknięty i nie miał zamiaru już do niego wracać.

Ale Vita była pewna, że nie powiedział prawdy. Mówiono jej, że wszystkie plemiona sprzedają konie dla pieniędzy. Poza tym słowom szejka przeczyła obecność ogiera Szajfi na pokładzie parowca, którym podróżowała. Szejk sprzedał przecież konia do królewskich stajni we Włoszech. Prawdą było jedynie, że jej nie chciał sprzedać zwierzęcia, i Vita zastanawiała się,

dłaczego jest w stosunku do niej tak bardzo agresywny. Kiedy opowiadał o koniach, zachowywał się zupełnie inaczej. Wtedy Vicie się zdawało, że wcale nie traktuje jej jak więźnia, lecz jak przyjmowanego z honorami gościa. Teraz czymś go widocznie uraziła. Pomyślała, że jest to typ człowieka, którego zachowania nikt nie jest w stanie przewidzieć.

Szejk, jakby żałując swej nieuprzejmości, dał znak jednemu z mężczyzn, aby przyprowadził piękną białą klacz.

Vita stwierdziła w duchu, że z całą pewnością tak wspaniałego konia nigdy jeszcze nie widziała. Klacz była śnieżnobiałej maści, z czarnymi plamkami wokół oczu. Miała wyraziste nozdrza o czarnym zabarwieniu, czujne jak u łani uszy oraz wilgotne i wypukłe oczy.

- Jaka piękna! - wykrzyknęła Vita.

- To Hamdani - wyjaśnił szejk. - Bardzo rzadko spotykana odmiana, zarówno u nas, jak i w ogóle u Anazów. - Zauważył podziw na twarzy Vity i zapytał: - Czy chciałaby się pani na niej przejechać?

- Przecież zna pan odpowiedź!

Na polecenie szejka przygotowano dla niej damskie siodło. Vita sądziła, że szejk poczeka, aż któryś ze służących ułoży ręce w charakterystyczny sposób, aby mogła dosiąść konia. Nagle jednak poczuła, że dzieje się z nią coś bardzo dziwnego; silne dłonie szejka objęły ją w talii i uniosły do góry.

Klacz imieniem Szarifa od razu zareagowała na jej dotyk i Vita ruszyła przed siebie, po raz pierwszy czując, co to znaczy jechać na tak doskonałym koniu.

Szarifa z miejsca ruszyła galopem i przez chwilę Vicie zdawało się, że jest zupełnie sama, dopóki nie usłyszała głuchego odgłosu końskich kopyt; zaraz

też ujrzała obok siebie szejka na wspaniałym czarnym ogierze. Zwróciła się w jego stronę, a on odezwał się z kpiącym uśmiechem:

- Stąd nie ucieka się tak łatwo, proszę więc tego nie próbować!

- Ależ ja nawet o tym nie pomyślałam - zaprotestowała zgodnie z prawdą Vita.

Teraz jednak, gdy o tym napomknął, zaczęła się zastanawiać. Gdyby dostała się do Szarify, tak aby nikt tego nie widział, mogłaby uciec z obozu i być może spotkać się z Mazrabami, zanim ci zdążą zaatakować.

Konie galopowały, a ona wciąż myślała, jak ten plan zrealizować. Nagle szejek wyciągnął rękę i, ciągle w pełnym galopie, zabrał cugle Szarify, po czym zmienił kierunek, zawróciwszy do obozu.

- Czy obawia się pan, że możemy spotkać pańskich wrogów jadących mi na pomoc? - drwiąco rzuciła Vita.

- Zbyt mało czasu minęło, aby mogli być już do tego gotowi - zauważył szejek. W tej samej chwili niemal instynktownie spojrział na wschód, i Vita doskonale już wiedziała, skąd przybędą Mazrabowie.

Wrócili do obozu i tam, zatrzymując konia, powiedziała do szejka:

- Dziękuję! Nigdy przejażdżka nie sprawiła mi większej przyjemności! Szarifa jest wspaniała!

- Cieszę się, że pani tak uważa - odpowiedział szejek.

- Chciałabym ją nakarmić.

Szejek wydał polecenie i jeden z jego ludzi pobiegł, aby przynieść wiadro wypełnione jakąś dziwnie wyglądającą paszą, która dla Szarify okazało się prawdziwym przysmakiem. Szybko opróżniła wiadro, ale widocznie nie chcąc się rozstawać z ludźmi, podążyła za nimi do namiotu, co bardzo się

Vicie podobało. Kiedy głaskała i przemawiała do kłaczy, ona ocierała się o nią i najpewniej weszłaby do namiotu, gdyby szejek jej nie odgonił.

Ranek minął tak szybko i tak radośnie, iż Vita zaskoczona odkryła, że to już południe i że czeka na nich posiłek. Tym razem jedli rodzaj trufli - kam-maja - rosnących na pustyni, które, jak powiedział szejek, są wielkim przysmakiem Arabów.

- Do złudzenia przypominają prawdziwe trufle, które tak bardzo cenią Francuzi - powiedział. - Tutaj mamy ich trzy rodzaje: trufle czerwone, czarne i białe.

Kam-maję gotuje się w mleku tak długo, aż powstanie papka, po czym polewa się ją stopionym masłem. Vita spróbowała odrobinę przyniesionej potrawy i stwierdziła, że jest bardzo smaczna. Pomyślała, jaka to ogromna wygoda dla Beduinów, że te trufle rosną prawie w każdym miejscu na pustyni. Podano również przepiórcze jajka oraz świeżo upieczone flsra z masłem.

Gdy skończyli jeść, szejek powiedział:

- Teraz proponuję odpocząć. O tej porze dnia jest bardzo gorąco.

- Przekonałam się już o tym wczoraj - zauważyła Vita. - Byłam szczęśliwa, gdy dotarliśmy wreszcie do oazy.

- A więc proszę pójść się położyć. Jeśli do zapadnięcia zmroku nie zaczniemy walczyć, będę zabawiał panią arabską muzyką. .

- Chętnie jej posłucham - powiedziała Vita z uśmiechem, kierując się do swojej części namiotu.

Jednak już w czasie porannej przejażdżki zaczęła obmyślać pewien plan, i kiedy teraz zerknęła przez szparę w namiocie, ku swojej wielkiej radości

zobaczyła Szarifę, która jakby na coś czekała.

Usługująca Vicie poprzedniego wieczoru Beduinka przysłała, aby pomóc jej zdjąć strój jeździecki. Kiedy już to zrobiła, Vita wyjaśniła kobiecie trochę na migi, a trochę za pomocą znanych już arabskich słów, że chciałyby przymierzyć beduińską szatę oraz burnus. Kobieta początkowo okazała zaskoczenie, ale po chwili zachichotała, i podobnie jak większość kobiet na całym świecie, była zachwycona, że weźmie udział w odwiecznej kobiecej zabawie polegającej na przebieraniu się. Pospiesznie wyszła i po chwili wróciła z kilkoma innymi kobietami. Zrozumiały, że Vita chce obejrzeć ich stroje. Przyniosły więc długie bawełniane suknie w kolorze błękitu, brązu i czerni. Nie zapomniały również o klejnotach oraz białych burnusach, którymi wszyscy Arabowie bez względu na płeć okrywają się podczas podróży. Pokazały Vicie chusty zwane po arabsku szaubar. czerwone dla młodych kobiet oraz czarne dla starszych.

Vita podziwiała srebrne koła, które Arabki nosiły w uszach i w nosie oraz zakładane na ręce i kostki nóg bransolety, które przy najmniejszym ruchu wydawały melodyjne dźwięki. Oglądała wszystko z zainteresowaniem, ale w pewnej chwili zauważyła, że podczas gdy wszystkie kobiety próbowały przyciągnąć jej uwagę, jedna z nich wyraźnie stała na uboczu, obrzucając ją ponurym, a chwilami niemal zuchwałym spojrzeniem. Vita widziała ją po raz pierwszy, ale musiała przyznać, że była to bardzo piękna, młoda dziewczyna o rysach prawie idealnych, głowie dumnie osadzonej na długiej szyi i skórze wyraźnie jaśniejszej niż u pozostałych kobiet. Najprawdopodobniej pochodzi z plemienia Hadadzain, którego kobiety słyną z jasnej cery - pomyślała Vita. Zauważyła również, że piękna Beduinka ma

na sobie więcej klejnotów niż inne kobiety i że niektóre z nich są wyjątkowo cenne. Zagadnęła dziewczynę, ale ta nie odpowiedziała. Rzuciła tylko w jej kierunku ponure spojrzenie, odwróciła się i wyszła z namiotu. Zaskoczona Vita podążyła za nią wzrokiem i wtedy zdała sobie sprawę, że inne dziewczyny chichoczą, spoglądając na siebie znacząco.

- Zabla jest zazdrosna - wyjaśniła po arabsku jedna z kobiet.

Dopiero wtedy Vita zrozumiała. Ta dziewczyna należała do szejka i była najwyraźniej zaniepokojona nagłym pojawieniem się Vity w obozie. Była zresztą niezwykle piękna, tak że zainteresowanie szejka wydawało się zupełnie usprawiedliwione. Jednak jej zachowanie trochę Vite zaniepokoiło. Dała znak kobietom, że chciałyby odpocząć, prosząc jednocześnie o pozostawienie sukni i burnusa, aby mogła je później przymierzyć. Arabki położyły ubranie na podłodze, nalegając przy tym, aby zatrzymała również trochę biżuterii, zwłaszcza bransolety ze szkiełek, które - jak Vita zdążyła zauważyć - były wśród Beduinek szczególnie popularne.

Kiedy kobiety wyszły, wstała z łóżka, na którym spoczywała w ich obecności, i zaczęła się ponownie ubierać. Uświadomiła sobie, że obóz jest bardzo cichy i że wszyscy, może z wyjątkiem kilku mężczyzn na warcie, dawno już śpią. Włożyła spódnicę od stroju do jazdy konnej, białą bluzkę i marynarkę. Następnie otuliła się białym burnusem, nasuwając kaptur nisko na twarz. Wiedziała, że z daleka trudno będzie rozpoznać, czy jest kobietą, czy mężczyzną. Następnie bardzo ostrożnie podniosła płachtę namiotu opuszczoną dla ochrony przed popołudniowym żarem i wysunęła się na zewnątrz.

Szarifa stała o jakieś dwadzieścia jardów dalej. Vita wcale nie musiała jej

wołać, ponieważ klacz zdawała się instynktownie wyczuwać jej obecność i sama do niej podeszła. Wciąż miała wędzidło i siodło, które założono jej rano. Vita wiedziała, że Arabowie zupełnie nie dbają o rozsiodłanie koni. A prawdę powiedziawszy, jak mówił signor Dira, właściwie nigdy siodła z konia nie zdejmują.

- Zimą na siodło zarzuca się jedynie workowe płótno - opowiadał. - Natomiast latem konie przebywają cały czas na silnym słońcu.

- Ale to z pewnością im szkodzi! - zareagowała gwałtownie Vita.

- Arabskie konie są wytrzymałe - odpowiedział - a ich siodła zupełnie nie przypominają europejskich. Są wykonane z miękkiej owczej skóry i nie posiadają strzemion.

Jednak dla Vity szejek polecił przygotować skórzane damskie siodło, a Szarifa miała założoną uzdę. Była ona co prawda bardzo lekka, ale mimo to Vita uważała, że tylko bardzo łagodny koń pozwoliłby ją sobie założyć, gdyby nie był do niej przyzwyczajony. Dla realizacji planu Vity było to jednak wyjątkowo korzystne.

Odczekała chwilę, a Szarifa zbliżyła się do niej, pieszczotliwie się o nią ocierając, tak jak to robiła już wcześniej. Wówczas zwinnie wskoczyła na klacz i skierowała ją w stronę pustyni. Znajdowała się jeszcze w cieniu namiotu, który stojąc w zachodniej części obozu, w dodatku na jego uboczu, z pewnością znajdował się poza zasięgiem wzroku stojących na warcie mężczyzn.

Ale teraz, kiedy miała ruszyć pełnym galopem, wiedziała, że będzie ją widać, i zastanawiała się tylko, kiedy ruszą za nią w pościg. Była oczywiście pewna, że Szarifa wyprzedzi każdego konia i że upłynie trochę czasu, zanim



ci, co ją zobaczą, zdecydują się podnieść alarm i uzyskają pozwolenie szejka na ściganie zbiega. Wierzyła wreszcie, że jej przebranie trochę ich na początku zmyli. Być może pomyślała, że to wyruszył posłaniec z wiadomością od szejka. Różne myśli krążyły Vicie po głowie. Obawiała się nawet, że ktoś może ją zastrzelić. Ale w końcu nic złego się nie wydarzyło, a kiedy już odjechała na odległość dobrej mili, spojrzawszy za siebie przekonała się, że nikt za nią nie jedzie. Serce zabiło jej z radości na myśl, że może naprawdę udało się uciec. Teraz skierowała Szarifę na wschód i pozwoliła jej pędzić tak szybko, jak tylko to było możliwe.

Po prawie godzinnym galopie klacz zwolniła nieco i dopiero wtedy Vita uświadomiła sobie, jak bardzo jest gorąco. Zsunęła nakrycie głowy, lecz palące promienie słońca sprawiły, iż poczuła jeszcze większy żar, i obawiając się porażenia, z powrotem naciągnęła kaptur. Pomyślała, że tak długi galop, i to podczas najgorętszej pory dnia, kosztował zarówno ją, jak i Szarifę utratę wielu sił. Teraz klacz jechała już znacznie wolniej i Vita miała nadzieję, że w końcu zobaczy oazę lub przynajmniej jakiś cień. Obawiając się pogoni, nie mogła sobie pozwolić na zbyt długi wypoczynek, ale jakaś najmniejsza choćby chwila wytchnienia była absolutnie niezbędna.

Nie miała złudzeń, że szejek pozwoli jej tak łatwo odjechać. Tak jak powiedział, była jego „kartą atutową”, i jeśli naprawdę chciał walczyć z Mazrabami, to ona stanowiła doskonały pretekst. Zadawała sobie pytanie: dlaczego szejek nie może cieszyć się piękną Zablą, zamiast tak uparcie dążyć do wojny? Zastanawiała się, czy rzeczywiście kochał Zablę. Uznała jednak, że wcale nie wyglądał na mężczyznę, który potrafił kochać.

Większość Arabów to roześmiani, radośni młodzi mężczyźni, którzy

cieszą się życiem. Vita nie miała wątpliwości, że wystarczyłoby jedno spojrzenie ich przenikliwych, błyszczących oczu, aby podbić wiele niewieścich serc. Szejk jednak był inny. Wyczuwało się w nim nie tylko dziwną rezerwę, ale również głęboko skrywaną wrogość. To z powodu Elaine tak mnie nie cierpi! - powiedziała sobie w duchu Vita. Po chwili pomyślała, iż Zabla - smukła i piękna - powinna być wystarczającą rekompensatą za jakąś tam Elaine, bez względu na to, co ona dla niego znaczyła.

Rozmyślania o miłości przypomniały Vicie o jej własnych problemach. Musi się jakoś dostać do kuzynki Jane i zapytać ją, jak postąpić z lordem Banthamem. Bez względu na to, co teraz przeżywa, wcześniej czy później będzie musiała podjąć decyzję poślubienia mężczyzny, którego nie kocha, lub też narazi się na gniew ojca oraz surową karę. Z lękiem myślała o tym, jak ojciec zareaguje na jej samowolną eskapadę, lecz z niemal dziecinną wiarą powtarzała sobie, że kuzynka Jane znajdzie jakieś rozwiązanie. Ale jakie to rozwiązanie będzie, nie miała najmniejszego pojęcia!

Jechała dalej bez odpoczynku. Chwilami upał stawał się wprost nie do zniesienia. Wiedziała, że tylko tak wspaniały koń jak Szarifa może znieść tę straszliwą jazdę. Raz po raz oglądała się za siebie, lecz nadal nie dostrzegała żadnych oznak pogoni. W końcu doszła do wniosku, że szejk najwidoczniej był zadowolony, iż się jej pozbył. Być może uznał, że jestem dla niego jedynie ciężarem - pomyślała. - Jeśli nie czyni żadnych wysiłków, aby mnie ścigać, to ja mogę uniemożliwić Mazrabom rozpoczęcie wojny z mojego powodu, i szejk po prostu zapomni o mnie.

To dziwne, lecz w głębi duszy żałowała, iż nie miała okazji poznać go

lepiej. Kiedy pokazywał jej swoje konie, było w nim wiele ludzkiego ciepła. Nie miała wątpliwości, iż bardzo je kochał i świetnie się znał na ich hodowli. Ale tyle było jeszcze spraw, o które chciała go zapytać!

Już nigdy nie będę miała takiej szansy - pomyślała ze smutkiem. - Gdy wrócę do Anglii, będę musiała zadowolić się rozmową o Godolphin Arabian i Darby Arabian, i nikt nie uwierzy, że w Syrii widziałam, dotykałam i jeździłam na jeszcze wspanialszych wierzchowcach.

Bardzo żałowała, że szejek nie sprzedał jej konia i że nie będzie mogła zabrać go ze sobą do Anglii. Była pewna, że z łatwością udobruchałaby ojca, gdyby przyjechała z klaczą taką jak Szarifa czy ogierem odmiany Kahilan. Może Anazowie, gdy już do nich dotrze, będą bardziej ulegli.

Żar dnia nieco osłabł, lecz wielogodzinna jazda wyczerpała Vite. Pomyślała, że powinna już natknąć się na Mazrabów, jeśli mieli nadejść z tej strony, w którą patrzył szejek. Lecz jak okiem sięgnąć, wciąż widać było tylko pustynię. Jedyne widoczne oznaki życia - to zwierzęta i ptaki, które spotykała już w drodze z Damaszku. Widziała bociany, które z szeroko rozpostartymi skrzydłami wznosiły się w powietrze, ogromne chmury kattah, stada kuropatw oraz od czasu do czasu krążącego po niebie orła.

Jazda zdawała się nie mieć końca. Vita czuła się coraz bardziej znużona. Usta miała spieczone, a gardło wyschnięte do tego stopnia, iż zdawało się jej, że kiedy dotrze do obozu kuzynki, nie będzie mogła powiedzieć ani słowa. Widziała, że Szarifie zmęczenie również dawało się we znaki. Nagle w oddali dostrzegła jakąś ciemną plamę. Była pewna, że to oaza. Szarifa musiała również ją zauważyć, ponieważ wyraźnie przyśpieszyła kroku.

Rzeczywiście, była to oaza. Kiedy do niej dotarły i Szarifa skryła się w

cieniu palm, Vita zsunęła się z jej grzbietu. Była jednak tak osłabiona, że nogi się pod nią ugięły i omal nie upadła. Spojrzała na Szarifę. Klacz była apatyczna, stała bez ruchu, z wysuniętym z pragnienia językiem.

Vita z trudem wzięła się w garść i podeszła do studni.

Kiedy się nad nią nachyliła, zauważyła, że woda była bardzo głęboko. Tuż obok dostrzegła wiadro przywiązane do długiego sznura. Wiedziała, że musi opuścić je w dół, napełnić wodą i wyciągnąć na powierzchnię, jeśli obie z Szarifa mają ugasić pragnienie. Była oczywiście świadoma, że to zadanie może się okazać dla niej za trudne. Jeśli do wiadra naleje się zbyt dużo wody, to nie będzie w stanie go wyciągnąć. Spojrzała na szorstki sznur i pomyślała, że z pewnością porani jej dłonie. Ale straszliwe pragnienie nie pozostawiało żadnego wyboru. Klacz, zbliżywszy się do Vity, zaczęła trącać ją wymownie pyskiem, jakby chciała w ten sposób ponaglić dziewczynę do działania. Vita zdjęta burnus i rzuciła go na ziemię. Zatrzymywał wprawdzie promienie słoneczne, ale jednocześnie grzał niemiłosiernie.

Marzyła, jakby to było cudownie zanurzyć się w chłodnej studziennej wodzie.

- Dlaczego to nie oaza ze zbiornikiem wody, tylko studnia? - zapytała Szarify, ale jej głos był tak ochrypły, iż sama nie mogła uwierzyć, że należy do niej.

Wzięła wiadro i zaczęła je wolno opuszczać w dół.

Sznur co kilka stóp miał węzły, uniemożliwiające wyślizgnięcie się z rąk. Mimo to, tak jak Vita przewidywała, dla jej dłoni była to prawdziwa tortura. Opuszczała wiadro coraz niżej i niżej, i wydawało się jej, iż nigdy nie dotrze do celu. W końcu poczuła, że wiadro zatrzymuje się na powierzchni wody, a

potem wolno się w nią zanurza.

Zaczęła je szybko wyciągać, ale niestety za późno! Wiadro byto pełne, i pomimo iż walczyła ze wszystkich sił, wiedziała, że jest za ciężkie, aby je mogła wydostać na powierzchnię. Ciągnęła, jak długo starczyło jej sił.

Potem w panice próbowała potrząsać liną, aby wylać nadmiar wody. Było to jednak bezcelowe, ponieważ wiadro znajdowało się jeszcze zbyt daleko od powierzchni. Poruszając wiadrem, jeszcze bardziej je tylko napełniała. Teraz - pomyślała zrozpaczona - w ogóle nie będę już stanie go wyciągnąć. Wciąż się jednak nie poddawała, a zniecierpliwiona Szarifa coraz gwałtowniej trącała pyskiem jej ramiona i plecy.

W końcu ręce miała już tak obolałe, że bezwiednie puściła sznur, który spadając w dół, rozwinął się na całą długość od miejsca, gdzie był przytwierdzony żelaznym pierścieniem do kamiennego obramowania studni.

Wiadro musiało zanurzyć się na kolejne trzy lub cztery stopy i Vita z rozpaczą uświadomiła sobie, że nie da rady podnieść go z dna. Ponownie spojrzała z głąb studni. Była ciemna, chłodna i podejrzanie cicha. Pomyślała, że gdyby tam wpadła, nikt nigdy by się o tym nie dowiedział. Nigdy by jej nie odnaleziono.

Z nagłym wybuchem energii zrodzonej z rozpaczyci chwyciła linę i ponownie spróbowała podnieść wiadro. Było jednak za ciężkie.

- Nie mogę... Szarifa! - krzyknęła z rozpaczą. - Nie... mogę... go ruszyć! - Jej głos łamał się i łzy rozpaczyci płynęły po policzkach.

- To... to niemożliwe! - płakała. - Och, Szarifa... przepraszam!...

- Myślę, że potrzebuje pani pomocy - usłyszała. Vita wzdrygnęła się gwałtownie i odwróciła od studni.

Pod drzewami nieco w oddali stał szejk! Patrzyła na niego z niedowierzaniem, po czym nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, szczęśliwa, że tu był, pobięła w jego stronę.

Nie bardzo wiedziała, jak to się stało, lecz nagle znalazła się tuż przy nim, a on wziął ją w ramiona. Patrzyła na niego, czując jak jego uścisk coraz bardziej ją zniewala, aż w końcu jego usta dotknęły jej warg. Nawet przez chwilę nie była zaskoczona. To było po prostu nieuniknione... przeznaczenie... coś, co musiało się stać.

Gdy jego usta trzymały ją w uwięzi, coś dzikiego, a zarazem cudownego, czego jeszcze nigdy nie doznała, opanowało jej ciało. Nigdy nie przypuszczała, nie śniła, że pocałunek może być taki cudowny, tak oszałamiający, że cały świat wiruje przed oczami. Nareszcie wiedziała, za czym tak naprawdę tęskniła i czego tak rozpaczliwie poszukiwała.

Szejk tulił ją coraz mocniej i mocniej. Zdawało jej się, że drzewa pochylają gałęzie, aby dać im schronienie, i że znaleźli się w chłodnym zielonym ustroniu, które nie było częścią otaczającego ich świata, lecz ukrytym przed ludźmi rajem.

Kiedy całe ciało Vity pulsowało rozkoszą pocałunku i zdawało jej się, że nie należy już do siebie, lecz jest częścią mężczyzny, szejk uniósł głowę. Spojrzał na nią, w jej oczy ogromne i błyszczące, na jej usta, rozchylone do pocałunku, i jakby z ponadludzkim wysiłkiem wypuścił ją z objęć i ruszył w stronę studni. Nie odwrócił się, lecz chwytając linę zaczął wyciągać wypełnione wodą wiadro.

Vita patrzyła na niego w milczeniu, niezdolna do wykonania najmniejszego ruchu. Przez chwilę nawet oddychać nie była w stanie. Od

chwili kiedy ją pocałował, przestała być panią swego serca. A sprawił to cud jego ust. Czowała, że wciąż jeszcze drży pod wpływem tego cudu.

Szejk wyciągnął wiadro i postawił je na otaczających studnię kamieniach. Teraz dopiero, odepchnawszy Szarifę na bok, spojrzął na Vite. Wolno, jakby pokonując jakiś straszliwy opór, ruszyła w jego stronę, przez cały czas patrząc na niego. Wreszcie stanęła przy nim, bezwolna, nie pamiętając o tym, że jeszcze tak niedawno prawie umierała z pragnienia i że on był ostatnim człowiekiem, którego chciała ujrzeć.

- Pij! - powiedział;

Z wysiłkiem spojrzała w stronę, gdzie stało wiadro, i zobaczyła, że nadmiar wody przelewa się przez jego brzegi. Nachyliła się, zanurzając w nim twarz. Piła spragniona, następnie przemyła twarz chłodną, przejrzystą wodą i zdawało się jej, że zmywa z siebie o wiele więcej niż tylko kurz pustynny. Kiedy podniosła głowę, szejk podał jej białą płócienną chustkę, aby otarła twarz. Następnie postawił wiadro przed Szarifa, która również łapczywie poczęła pić.

Vita spojrzała na szejka. Przez chwilę miała wrażenie, że chce się od niej odwrócić, ale on nagle brutalnie przyciągnął ją do siebie i mocno objął. Znowu ją całował, lecz tym razem jego pocałunki były żarliwsze, bardziej zniewalające i namiętne. A mimo to wcale się go nie bała. Czowała, że każda cząstka jej duszy i ciała wyrywa się do niego, że pragnie, aby jej serce biło tylko dla niego. Od tej chwili nie była już panią siebie. Całkowicie poddała się jego władzy.

Całował jej usta, oczy, policzki i znowu usta. Czowała, jak ogień jego pocałunków rozpala jej ciało. Wtem, tak samo nagle jak ją do siebie

przyciągnął, tak uniósł teraz do góry i posadził na grzbiecie Szarify. Burnus Vity leżał na ziemi, tam gdzie go rzuciła. Szejk położył go na siodle swego konia, który zbliżył się do studni, aby napić się pozostałej jeszcze w wiadrze wody.

- Jak... mnie... znalazłeś? - zapytała Vita. Były to pierwsze słowa, które była w stanie wymówić od chwili, gdy go ujrzała w oazie.

- Jechałem za tobą całe popołudnie - odpowiedział.

- Dlaczego nie dogoniłeś mnie wcześniej? Uśmiechnął się.

- Nie jesteśmy daleko od domu. Nie wiedziałaś, że na pustyni zwierzęta i ludzie zawsze krążą w kółko. Szarifa wiozła cię z powrotem!

- Bardzo... się cieszę! - miękko powiedziała Vita, patrząc mu w oczy.

Przez moment stał bez ruchu, jakby rozważał, czy nie zacząć jej ponownie całować. Po chwili jednak zdecydował się dosiąść konia.

- Jesteś zmęczona - rzekł. - Wracajmy. Konie napojone w oazie jakby odzyskały siły, i teraz czując, że dom był tuż-tuż, ruszyły galopem. Pędzili tak szybko jak wtedy, gdy Vita uciekała z obozu. Była zadowolona, że szybka jazda uniemożliwia rozmowę, chociaż jednocześnie tyle chciała powiedzieć i tak wiele usłyszeć.

Myślała o dopiero co przeżytej cudownej chwili, kiedy była tak blisko szejka. Wciąż jeszcze czuła smak jego pocałunków.

To właśnie jest miłość - pomyślała. - Kuzynka Jane znalazła ją na pustyni, a teraz ja również ją tu odnalazłam. Wiedziała, że tym uczuciem, które w niej wzbudził szejk, nigdy nie obdarzyłaby Anglika, a już z całą pewnością nie lorda Banthama. Było to coś dzikiego i prymitywnego, a jednocześnie wzniosłego i cudownego. Gdy całował, wiedziała, że wreszcie znalazła



rozwiązanie swoich problemów i że kuzynka Jane nie jest jej już potrzebna. Pragnęła miłości i znalazła ją wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewała. To było przeznaczenie - Inszallah, które towarzyszyło im obojgu od chwili, gdy przyszli na świat.

Odnależliśmy się dzięki odwiecznym prawom miłości! - powiedziała sobie Vita i poczuła dziwną radość. Pokonała konwenanse i wszystko, co mogłoby oddalić ją od mężczyzny, który by! jej przeznaczony. Nawet przez chwilę nie chciała myśleć o tym, co się będzie działo, kiedy oświadczy rodzicom, że zamierza pozostać na pustyni z mężczyzną, który był Beduinem i który nawet jej jeszcze nie powiedział, że ją kocha i że pragnie ją poślubić. To wszystko musi się jakoś samo rozwiązać. W tej chwili najważniejsza jest ich miłość.

Kocham go! Kocham go! - powtarzała sobie Vita, podczas gdy konie wciąż galopowały przez pustynny piach, i Vita, szybciej niż się tego spodziewała, ujrzała obóz Beduinów, z którego tak niedawno uciekła.

Zsiedli z koni i Vita weszła do namiotu. Kiedy szejik udał się za nią, znowu miała ochotę rzucić mu się w ramiona i poczuć dotyk jego ust. Onieśmieliła ją jednak obecność służących. Przeszła więc do swojej części namiotu, gdzie już czekały na nią usługujące jej kobiety.

Bardzo się ucieszyła, kiedy wniosły dla niej dużą cynową wannę i napełniły ją dzbankami chłodnej wody, dodając dla zapachu kwiaty jaśminu.

Kiedy się wykąpała, służące otuliły ją białymi ręcznikami i pomogły się wytrzeć. Vita umyła również włosy, ponieważ było w nich mnóstwo piasku. Teraz kobiety suszyły je, zachwycając się ich jedwabistą miękkością, która tak bardzo różniła włosy Vity od twardych, szorstkich włosów Arabek. Po

kąpieli przyniesiono Vicie kawę i parę kawałków hanayna, ale ona na nic już nie miała ochoty. Promieniowała dziwną, niewiarygodną wprost radością, a jedyne, czego w tej chwili naprawdę pragnęła, to być z szejkiem.

Wybrała najładniejszą ze swoich sukni i uporządkowawszy nieco wijące się niesfornie wokół głowy włosy, weszła do zajmowanej przez niego części namiotu. Serce biło jej jak oszalałe na myśl, że za chwilę ujrzy szejka. Zadrżała na jego widok i kiedy miała rzucić się w jego stronę, stwierdziła z rozczarowaniem, że nie jest sam.

Obok niego siedział młody mężczyzna ubrany w haftowaną złotem abbati, a w jego oczach widać było nie skrywany podziw.

- Panno Ashford, czy mogę pani przestawić Hadżaza al-Hasajna? - zapytał szejk. - Hadżaz, to jest panna Vita Ashford, o której ci już mówiłem.

Vita złożyła głęboki, dworski ukłon; Hadżaz al-Hasajn uczynił to samo.

- Hadżaz właśnie przybył z Paryża, gdzie studiował na Sorbonie - odezwał się szejk po francusku. - Niestety po angielsku mówi dość słabo, ale za to jego francuski jest bez zarzutu. - Zrobił pauzę i po chwili dodał żartobliwie: - Powinien być taki po czterech latach nauki!

- Jestem szczęśliwy, mademoiselle, że mogę panią poznać - powiedział Hadżaz al-Hasajn. - Słyszałem, jaka była pani dzielna w tych niezwykłych okolicznościach.

- Merci, monsieur - odpowiedziała Vita. Spojrzała na szejka, po czym zajęła miejsce obok niego. Poczowała głęboki zawód, że ten młody człowiek musiał przyjechać właśnie teraz, kiedy ona tak bardzo pragnęła być sam na sam z ukochanym mężczyzną.

Lecz Hadżaz najwyraźniej należał do plemienia, ponieważ zadawał bardzo

wiele pytań dotyczących ludzi i spraw, o których ona nie miała zielonego pojęcia. Musiała więc siedzieć cicho i słuchać, jak ze sobą rozmawiają.

Niemal natychmiast podano kolację, i chociaż Vita nie czuła głodu, to jednak zadowolona była, że będzie miała się czym zająć. Zmęczenie jakby ustąpiło, ale Vita wiedziała, że wkrótce znowu da o sobie znać. To był długi dzień, a ona - oprócz wyczerpania podróżą - miała za sobą przeżycia, które kosztowały ją wiele sił.

Dzisiaj zamiast jagnięcia podano mięso gazeli. Było tak delikatne i miękkie, że smakowało bardziej niż wszystkie inne potrawy.

Gdy wniesiono ogromny półmisek z mięsem, Hadżaz roześmiał się.

- Już prawie zapomniałem, jak się je palcami - powiedział. - Będę chyba musiał wprowadzić w obozie noże i widelce. Myślę, że to bardziej cywilizowany sposób jedzenia.

- To oczywiście zależy od ciebie - odpowiedział szejk.

- Brak mi będzie również francuskich win, którymi tak bardzo się delectowałem - ciągnął Hadżaz.

- Takich innowacji nie radziłbym ci wprowadzać - zauważył szejk. - W każdym razie ci z naszych zwolenników, którzy są muzułmanami, na pewno tego nie poprą!

- Myślę, że cała reszta również - powiedział Hadżaz. - A więc wygląda na to, że będę musiał cierpieć!

- Nic nie jest idealne na tym świecie! - zauważył szejk. - Może tak wielkie poświęcenie jak rezygnacja z wina zrekompensują ci inne przyjemności!

Mówił to ironicznym tonem, lecz Hadżaz roześmiał się.

- Wiesz doskonale, jak bardzo się cieszę, że nareszcie tu wróciłem -

powiedział. - Tyle jest rzeczy, które chcę zrobić, i tylu ludzi, których chcę poznać. - Spojrzał na Vite. - Pani kuzynka, mademoiselle, czcigodna Jane Digby, budzi w Syrii ogromny podziw.

- Spotkał ją pan? - zapytała Vita.

- Widziałem ją w Damaszku, gdzie uważana jest za la grande dame. Lecz na pustyni to amazonka i Beduini odnoszą się do niej z prawdziwą czcią. - Hadżaz zwrócił się do szejka: - Czy Faras al-Mazjad wciąż prześladowuje piękną Sitt? - zapytał.

- Tak sędzę - odparł chłodno szejk.

- Któż to jest? - zapytała zaciekawiona Vita.

- Szejk Faras to możny książę, który posiada olbrzymie terytoria - odrzekł Hadżaz. - Nieprzypadkiem pożąda fascynującej żony szejka Madzuela od czasu, gdy szejk i ona się pobrali. Od tej pory bezustannie ją tropi.

- Stał się pośmiewiskiem wszystkich Beduinów! - wtrącił szejk.

- Czy można się temu dziwić, skoro czcigodna Jane jest aż tak piękna? - zapytał Hadżaz i dodał: - Tak zresztą jak jej kuzynka! - Spojrzał wymownie na Vite.

- Merci, monsieur - podziękowała skromnie Vita. Szejk wykonał gest zdradzający niecierpliwienie.

Vita zauważyła, że był wściekły i że w jego ciemnych oczach pokazał się niebezpieczny błysk. Był zazdrosny! Vita zadrżała na myśl, że wzbudza jego zazdrość. Hadżaz wstał ze słowami:

- Czas już na mnie. Muszę odwiedzić matkę.

- Jestem pewien, że czeka na twój powrót z niecierpliwością - zauważył szejk.

- Spodziewam się, że ma już dla mnie gotową całą listę żon - powiedział Hadżaz. - Niestety, nigdy nie pojmie, że akurat w tej sprawie kieruję się zupełnie innymi kryteriami. - Znowu spojrzął na Vite, a ona bez trudu zrozumiała, że to właśnie kobiety, które spotkał we Francji, uważał za atrakcyjne i godne pożądania.

Przypomniała sobie o Zabli; była pewna, że gdzieś w labiryncie namiotów ta dziewczyna czeka na szejka. Po raz pierwszy w życiu Vita poczuła bolesne ukłucie zazdrości. Zablą była przecież tak nieprawdopodobnie piękna, miała tak idealną figurę. Poza tym odznaczała się jakimś subtelnym, zupełnie nieeuropejskim wdziękiem.

Nagle Vita przestała być pewna, że ona i szejek są dla siebie nawzajem kimś wyjątkowym, chociaż tak niedawno, kiedy wracali z oazy, była o tym głęboko przeświadczona. Przez cały czas, kiedy się myła i ubierała, to przekonanie jej nie opuszczało. Teraz się bała!

Patrzyła na niego niepewnie, ale gdy Hadżaz pożegnał się, uznała, że nadeszła chwila, kiedy powinna wyznać szejkowi swoją miłość.

Młody człowiek skłonił się przed szejkiem, a następnie - tak jak to czynią Francuzi - przed Vita, i unosząc jej dłoń do ust, powiedział:

- Bonsoir, mademoiselle. Spotkamy się jutro.

- Bonsoir, monsieur.

Obrzucił ją raz jeszcze spojrzeniem wyrażającym bezgraniczny podziw i wyszedł z namiotu.

Przez moment zapanowała dziwna, nienaturalna cisza. Wtem Vita pochyliła się, chcąc oprzeć głowę na ramieniu szejka.

- Kocham... cię! - szepnęła. Szejk milczał chwilę. Nagle wstał.

- Wyjeżdżasz o świcie! - powiedział szorstko. - Wysyłam cię do szejka Madzuela al-Mazraba!

## Rozdział szósty

Szejk, stojąc u wejścia do namiotu, w milczeniu patrzył w zapadający nad pustynią mrok, gdzie niebo szybko zapełniało się połyskującymi srebrzyście gwiazdami. Nagle tuż za sobą usłyszał cichy, zagubiony głos:

- Czy... czy to znaczy... że mnie... nie chcesz? Szejk wciąż milczał. Raptem odwrócił się.

Vita stała pośrodku namiotu, zwracając ku niemu twarz, na której malowała się wzruszająca bezradność. Było to spojrzenie dziecka, które zostało zranione wtedy, gdy się tego najmniej spodziewało.

Szejk patrzył na nią przez chwilę, po czym odezwał się szorstko:

- Ty wiesz, jak bardzo cię pragnę. Ale musisz o wszystkim zapomnieć.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - zapytała Vita.

- Ponieważ nie mogę ci nic zaofiarować. - I jakby patrzenie na nią było dla niego zbyt bolesne, odwrócił się w stronę ciemności.

Przesunęła się nieco w jego stronę.

- Dlaczego... dlaczego nie mogę z tobą... zostać? - zapytała niemal szeptem.

- Ponieważ mnie tu nie będzie. - Jego głos brzmiał nienaturalnie.

- Ale dlaczego... wyjeżdżasz? Nic z tego nie rozumiem.

Nie patrząc na nią, przeszedł przez namiot w stronę roffy.

- Chodź tu i usiądź przy mnie - powiedział. - Wszystko ci wyjaśnię.

Wolno zbliżyła się do niego. Wyczuwając jednak, o co mu chodzi, nie usiadła tuż przy nim, lecz nieco dalej, zwracając się jednocześnie w jego stronę, tak aby móc patrzeć mu w twarz.

- Młody mężczyzna, którego dopiero co poznałaś - rzekł po chwili - jest szejkiem Hasajnów.

- Myślałam, że to ty jesteś szejkiem i że Beduini nie mogą... usuwać swoich szejków - powiedziała Vita z wahaniem.

- Ja jedynie działałem w imieniu Hadżaza, dopóki nie stał się pełnoletni - wyjaśnił szejek. - Teraz on przejmuje przywództwo nad plemieniem.

- Lecz chyba możesz z nimi zostać, prawda? - zapytała Vita.

- Niestety, muszę odejść. Nie jestem tu już dłużej potrzebny.

- A więc jeśli musisz odejść - ciągnęła Vita - to dlaczego... dlaczego nie mogę odejść z... z tobą? - W jej głosie słychać było błaganie; zupełnie bezwiednie przysunęła się nieco bliżej do mężczyzny.

- Czy sądzisz, że nie chciałbym, aby to było możliwe? - zapytał szorstko. Zwrócił głowę w jej stronę, poi czym gwałtownie wstał. - Na miłość boską, nie patrz tak na mnie! Inaczej przekonasz się, że przy tobie mogę zapomnieć, iż jestem dżentelmenem.

Vita zwróciła w jego stronę promienną twarz.

- Kocham... cię! - powtórzyła.

Nie wypowiedziane jeszcze słowa zdawały się unosić między nimi. W końcu szejek, jakby już dłużej nie mógł nad sobą panować, pochylił się i przytulił ją mocno do siebie, po czym zaczął namiętnie całować. Jego usta boleśnie wpijały się w delikatną skórę, wzniecając we wnętrzu ciała ogień. Vita czuła, jak dziki, cudowny płomień niesie ich oboje w stronę oświetlonego gwiazdami nieba. I kiedy zdawało się jej, że już nie może oddychać, wciąż drżąc w jego ramionach od cudownych doznań, które w niej wzbudzał, poczuła, jak uwolnił ją wreszcie z uścisku. Zachwiała się, i



gdyby nie roffa, upadłaby na ziemię.

- Mówiłem, żebyś mnie nie prowokowała - powiedział szejk. - Odejdź i zapomnij, że kiedykolwiek się spotkaliśmy.

- Wiesz dobrze, że... że to niemożliwe - wyszeptała Vita. Zaczepnęła głębiej powietrza i dodała: - Chcę... chcę z tobą zostać. Ja... ja cię kocham! Nie mogłabym... żyć bez ciebie!

- Jesteś bardzo młoda - powiedział szejk jakby do siebie - Zapomnisz... oczywiście, że zapomnisz.

- Nie sędzę, aby miłość... miała coś wspólnego wiekiem... Przyjechałam do Syrii w poszukiwaniu rozwiązania pewnego bardzo ważnego dla mnie problemu... Ale teraz już je znalazłam! Tym rozwiązaniem jesteś ty.

- To nieprawda! - zaprzeczył gwałtownie.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ponieważ jestem człowiekiem bez przeszłości, bez korzeni i nic nie mogę ci zaoferować oprócz siebie, a to stanowczo za mało.

- Pustynia jest olbrzymia. Gdzieś w końcu znajdziemy dla siebie miejsce.

- Nie jestem Beduinem! - Zauważył zdziwienie w oczach Vity. - Jeśli chcesz znać prawdę, jestem Hiszpanem!

- Hiszpanem? - wyszeptała Vita. Nigdy nie brała pod uwagę, że mógłby nie być tym, za kogo go uważała.

- Opowiem ci całą historię - rzekł zmęczonym głosem. - Ale proszę, trzymaj się ode mnie z daleka. Mogę się zapomnieć, jeśli mnie będziesz wciąż prowokowała.

Mówił tonem tak poważnym, że Vita nawet nie próbowała zbliżyć się do niego, kiedy usiadł w przeciwległym końcu roffy.

- Do dziewiętnastego roku życia mieszkałem w Hiszpanii - zaczął. - Później ojciec wysłał mnie na studia do Paryża. Właśnie tam poznałem Otmana al-Hasajna, najstarszego syna szejka, który został moim najlepszym przyjacielem. - Zrobił pauzę, jakby chciał przywołać wspomnienia, po czym mówił dalej: - Byliśmy absolutnie nierozłączni i bardzo do siebie podobni. Otman zupełnie mnie oczarował swymi opowieściami o Beduinach i o Syrii.

- Mogę to... zrozumieć - wyszeptała Vita. Ją również pustynia urzekła.

- Na ostatnim roku studiów na Sorbonie, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat - mówił dalej szejk zakochałem się w pewnej Angielce.

- W Elaine! - zawołała Vita.

Szejk spojrzał na nią zaskoczony.

- Skąd znasz jej imię?

- Nazwałeś mnie... Elaine, kiedy walczyliśmy ze sobą - wyjaśniła Vita nieco zmieszana i poczuła, jak się rumieni.

- Tak jak ty miała blond włosy - ciągnął szejk. - I właśnie dlatego zniechęciłem wszystkie Angielki, gdy tylko się na niej poznałem.

- Cóż takiego zrobiła, że ją... tak zniechęciłeś?

- Obiecała wyjść za mnie. Wróciłem do Hiszpanii, aby uzyskać pozwolenie ojca na małżeństwo, a kiedy odmówił, doszło między nami do ostrej wymiany zdań. Przekonywał mnie, że Elaine, która była aktorką, interesuje się wyłącznie moimi pieniędzmi. Nie zgadzałem się z ojcem. Przysięgałem, że Elaine mnie kocha.

- Czy... czy powiedziała ci to? - zapytała Vita. Poczowała ból na myśl, że szejk i Elaine naprawdę się kochali.

- Oczywiście, i to w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości -

odpowiedział szejek. - Lecz okazało się, że jestem durniem, ponieważ uwierzyłem kobiecie. - Mówiąc to spojrzał na Vite, i kiedy zauważył ból w jej oczach, szybko dodał: - Ależ nie, moja droga. Nie mówię o tobie, lecz o innych kobietach, o tych, które do tej pory znałem.

Vita odetchnęła głęboko i zapytała:

- Co było dalej z... Elaine?

- Wróciłem do Paryża - ciągnął szejek - przekonany, że chociaż ojciec zostawił mnie bez grosza, dla Elaine nie będzie to miało żadnego znaczenia. Postanowiłem, że znajdę jakąkolwiek pracę, żebyśmy tylko mogli się pobrać i być razem. - Zamilkł.

Po chwili Vita zapytała nieśmiało:

- Co się stało później?

- Elaine wyśmiała mnie. Ojciec miał rację! Mężczyzna bez pieniędzy nie był jej potrzebny. Chciała bogacza!

- Jakie to okrutne! Musiała być bez serca! - wykrzyknęła Vita. - Co uczyniłeś?

- Widząc, jak bardzo byłem przygnębiony, Otman namówił mnie, abym pojechał z nim do jego domu w Syrii.

- A więc przyjąłeś zaproszenie!

- Wyruszyliśmy razem. Zdążyłem się już nauczyć arabskiego, a Otman tyle mi opowiadał o swojej rodzinie, iż zdawało mi się, że ja również wracam do domu. - Szejek przerwał na chwilę, po czym z bólem w głosie dodał: - Otman złapał złośliwą gorączkę w Marsylii i zmarł w drodze.

- Straszne! Musiałeś to bardzo przeżyć!

- Przybyłem do Syrii, gdzie na powrót Otmana czekało całe jego plemię -

ciągnął szejka. - Ale nieszczęścia zawsze chodzą parami.

- Co się stało?

- Zmarł ojciec Otmana. Plemię nie miało żadnego przywódcy oprócz Hadżaza: czternastoletniego chłopca.

- A więc zostałeś szejkiem! - wykrzyknęła Vita.

- Przypominałem im Otmana. Znałem ich historię, znałem ich język i już ich kochałem. Zgodziłem się więc zostać regentem na osiem lat, aż Hadżaz dorośnie na tyle, aby stanąć na czele plemienia.

- I teraz... wrócił - powiedziała Vita ledwie dosłyszalnym szeptem.

- Jest wykształcony tak jak jego brat, ma więc wystarczające kwalifikacje, aby stać się jednym z najbardziej cywilizowanych przywódców Beduinów. - Na jego ustach pojawił się gorzki uśmiech.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że nie jesteś Beduinem - powiedziała Vita.

- Rozumiem, dlaczego plemię cię zaakceptowało.

- Jestem Hiszpanem z krwi i kości, chociaż w moich żyłach znalazła się również niewielka domieszka angielskiej krwi po babce. Nie wydaje mi się jednak, aby miało to w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie. Teraz jestem tylko biednym, bezdomnym człowiekiem. - Mówiąc to wstał i ponownie przeszedł przez namiot, jakby jakiś drzemiący w nim niepokój uniemożliwiał mu spokojne siedzenie.

Kiedy tak stał odwrócony do niej tyłem, Vita odezwała się cichutko:

- Ja mam... pieniądze, całkiem... sporo pieniędzy.

- Chyba nie sądzisz, że mógłbym je choćby tknąć! - wykrzyknął z oburzeniem szejka. - Jeszcze tak nisko nie upadłem, aby brać pieniądze od kobiety. Jeśli nawet nic już więcej mi nie pozostało, to mam leszcze dumę.

Vita westchnęła głęboko. Doskonale wiedziała, jak dumni są Hiszpanie, i jeszcze zanim szejk się odezwał, czuła, że zdecydowanie odrzuci jakąkolwiek jej pomoc. Mimo to myślała z rozpaczą, że jeśli nie znajdzie jakiegoś sensownego rozwiązania, szejk odjedzie, a ona już nigdy go nie zobaczy.

Wstała, podeszła do wyjścia z namiotu i stanęła obok szejka.

- Proszę... wysłuchaj mnie - błagała.

- Nie! Już podjąłem decyzję i nic nie jest w stanie jej zmienić! Odeśle cię do twojej kuzynki Jane. To, że przeszkodziłem ci w spotkaniu z nią, było szaleństwem.

- Dlaczego więc to... uczyniłeś?

- Ponieważ byłeś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem, i ponieważ powiedziałem sobie, że cię nienawidzę! - Zaśmiał się ponuro. - Byłem przekonany, że dzięki swemu sprytowi rozegram kilka spraw jednocześnie. Przede wszystkim ukarzę cię, ponieważ jesteś Angielką; zmuszę szejka Madzuela do wyruszenia ci na ratunek, no i doprowadzę w ten sposób do małej wojny, która usatysfakcjonuje członów plemienia.

- A gdy mnie... spotkałeś? - zapyła Vita.

- W chwili kiedy weszłaś do tego namiotu - rzekł szejk przytłumionym głosem - wiedziałem, że cię pragnę. Wiedziałem, że jesteś moim przeznaczeniem, i że tego, co do ciebie czuję, z pewnością nie można nazwać nienawiścią. Ale nie przyznałbym się do tego nawet przed samym sobą.

- Wobec tego czy nie możesz... zrozumieć, że... musimy być razem! - zawołała Vita.

- To niemożliwe! - powiedział gorzko. - Czy sądzisz, że mógłbym ciągnąć cię ze sobą po świecie, przyglądając się, jak cierpisz dlatego, że nie masz pieniędzy i odpowiedniej pozycji?

- To wszystko nie ma dla mnie żadnego znaczenia - zapewniła pośpiesznie Vita.

- Ponieważ nigdy nie znalazłaś się w takiej sytuacji - zauważył szejk. - Czy nie rozumiesz, że to byłoby dla mnie prawdziwe piekło widzieć, jak się do mnie rozczarowujesz, jak musisz wykonywać powszednie obowiązki, wszystkiego sobie odmawiając, a jednocześnie zdawać sobie sprawę, że nic nie mogę na to poradzić?

- Moglibyśmy... wrócić do... Anglii - podsunęła nieśmiało Vita.

- Już sobie wyobrażam, jak gorąco by mnie powitał twój ojciec! Konkurent bez grosza, łowca posagu. Człowiek znikąd, poznany na pustyni! Mówił o sobie tak pogardliwie, że Vita się rozplakała.

- Wszystko... malujesz w czarnych barwach - zaprotestowała. - A przecież moja miłość do ciebie jest taka... piękna... i taka czysta, jakby pochodziła od Boga.

Odwrócił się, aby spojrzeć na nią, i w tej samej chwili surowość zniknęła z jego twarzy.

- Och, moja ukochana! - wykrzyknął. - Jesteś taka doskonała i taka inna niż wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek spotkałem. Podziwiam twoją odwagę, poczucie humoru, twoją czystość, a przede wszystkim jakąś niezmierną aurę wokół ciebie, dzięki której wiem, że to prawda, gdy mówisz, iż nasza miłość jest darem Boga.

Niezwykła czułość w jego głosie sprawiła, że serce Vity zadrżało. Kiedy

po chwili wyciągnęła do niego ręce, ujął je i zaczął obsypywać żarliwymi pocałunkami.

- Uwielbiam cię - powiedział. - I właśnie dlatego nie skażę cię na trudy życia ze mną. Wracaj do Anglii, moja najdroższa, i pomyśl czasem o mężczyźnie, który będzie cię wielbił przez całe życie.

Palce Vity zacisnęły się na jego dłoniach.

- Nie potrafię... żyć bez ciebie! - wyznała przez łzy.

- Nie mamy niestety wyboru, moja najdroższa. - Smutek w jego głosie sprawiał, że to, co mówił, zdawało się brzmieć jeszcze bardziej zdecydowanie niż wtedy, gdy był gwałtowny i surowy.

Wciąż trzymając ręce Vity, spojrzał jej w oczy.

- Nie ośmielę się znowu cię pocałować - powiedział z wysiłkiem. - Jeśli to uczynię, mogę się zapomnieć i wtedy nie będzie już dla nas odwrotu.

- Tego właśnie... pragnę - wyszeptała niemal bezgłośnie Vita.

- To dlatego, że jesteś aż tak doskonała. Dlatego, że jesteś kobietą, o której śniłem, lecz nigdy nie myślałem, że istnieje, nie wolno mi cię skrzywdzić. Dlatego też, moja najdroższa, musisz zapomnieć.

- A ty będziesz mógł... zapomnieć?

- Spróbuję - rzekł cicho. - Bóg mi świadkiem, że spróbuję!

Znowu obsypał jej dłonie gorącymi, płomiennymi, pełnymi pożądania pocałunkami, które wznieciły w niej żar namiętności. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła teraz dotyku jego ust.

Po chwili puścił jej dłonie i wyszedł z namiotu w ciemność. Wiedziała, że gdyby poszła za nim, nie miałyby to żadnego sensu. Długo stała, patrząc na roziskrzone gwiazdami niebo, czując się tak, jakby miało jej pęknąć serce.

Wreszcie niby zwierzę, które musi się ukryć, ponieważ zostało zranione, weszła do swojej części namiotu, rozebrała się i położyła na łóżku. Twarz ukryła w poduszce, czując się straszliwie opuszczona. Nie płakała. Zdawało się jej, że łzy ma już za sobą. Wiedziała jedynie, że świat to wielkie, puste, przerażające miejsce, i nie mogła znieść nawet myśli o przyszłości.

- Gdybym tylko mogła umrzeć - wyszeptała w końcu. Po czym po jej twarzy znowu wolno spłynęły gorzkie łzy.

Trzy godziny drogi od obozu szejka Szaalana al-Hasajna inna kobieta leżała, nie mogąc zasnąć, i w zamyśleniu spoglądała w mrok namiotu.

Jane Digby al-Mazrab otrzymała list Vity tuż po wschodzie słońca. Powiadomiono ją, iż samotny jeździec przygalopował do obozu, wręczył list pierwszemu napotkanemu mężczyźnie, po czym natychmiast odjechał, kierując się na zachód.

Kiedy wręczano jej list, Jane zdążyła właśnie pożegnać swego małżonka - szejka Madzuela, który z dwoma nizinami członków swego plemienia odjechał na polowanie. Wyprawa przede wszystkim miała służyć uzupełnieniu zapasów. Kuropatwy, przepiórki, gazy, a nawet czasami dzik - to było mięso potrzebne do wyżywienia ludzi. Poza tym, ponieważ orły porywały nowo narodzone jagnięta, prawdopodobnie aby nakarmić swoje młode, trzeba było znaleźć ich gniazdo i zniszczyć je.

Zazwyczaj gdy Madzuel udawał się na polowanie, Jane jechała razem z nim. Tym razem jednak nie czuła się najlepiej i postanowiła pozostać w obozie. List Vity wprowadził ją w osłupienie, i kiedy czytała go kolejny raz, nie mogąc uwierzyć, że to, co zawierał, jest prawdą, nadszedł inny list z Damaszku.



Przyniósł go jeden z Mazrabów, który pozostał w obozie, podczas gdy plemię wyruszyło w poszukiwaniu pastwiska. List przysłała Isobel Burton. W tonie niezwykle histerycznym opisywała, jak to Vita przybyła do niej z prośbą o pomoc i jak to ona wynajęła Jusufa, aby eskortował dziewczynę do obozu Jane. Kiedy Vita odjechała, Jusuf przybył do domu pani Burton i poinformował ją, że był więziony przez ludzi szejka Szaalana al-Hasajna, i że Nazir - Mazrab, o którym mówiono, że za pieniądze zrobi wszystko, podstępem zawiózł Vite do ludzi szejka Szaalana al-Hasajna. Isobel Burton pisała:

Nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, moja droga, jak bardzo ta cała historia mną wstrząsnęła i jak wciąż nie daje mi spokoju myśl, że Twojej kuzynce zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Jest przecież tak młoda i piękna.

Powiedziała mi, że wasza rodzina uważa, że jest do Ciebie bardzo podobna. I to prawda, droga Jane. Ona jest naprawdę bardzo piękna. To wierna kopia Ciebie, kiedy miałaś osiemnaście lat.

Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że Ty i Twój mąż jakoś ją wyratujecie. Jednocześnie zapewniam Cię, iż gorąco się modlę, aby nic złego jej nie spotkało.

- Wierna kopia ciebie, kiedy miałaś osiemnaście lat! - Jane bezwiednie powtórzyła słowa Isobel Burton. Była zdenerwowana, ale bała się nie o Vite, lecz o siebie.

Po dwunastu latach szczęśliwego małżeństwa z Madzuelem wciąż była chorobliwie zazdrosna. Nie miała właściwie powodu, aby wątpić w jego miłość, a jednak nieustannie się zadrezczała różnymi przypuszczeniami.

Stawała się jednocześnie coraz bardziej podejrzliwa w stosunku do swojej pasierbicy Kwadijidy.

Sytuację komplikował fakt, iż szejek Faras al-Mazjad, który od lat się jej naprzykrzał, cały czas utrzymywał, że gdzieś daleko na pustyni Madzuel ma zupełnie inne „zajęcia”. Jane starała nie słuchać ani szejka Farasa, ani innych ludzi, którzy powtarzali podobne plotki. Zdarzały się jednak takie chwile, kiedy nie mogła być z Madzuelem, a wtedy bez problemu mógł mieć inne kobiety, a nawet inne żony, co w końcu u Beduina było zupełnie normalne.

Teraz wyglądało na to, że będzie miała do czynienia z groźniejszą rywalką, niż mogłaby nią być jakakolwiek najpiękniejsza nawet arabska dziewczyna.

- Kopia mojej młodości!

Jane wiedziała, że pomimo swoich sześćdziesięciu dwóch lat nadal jest piękna. Zbyt wielu mężczyzn się w niej kochało, aby nie rozpoznała podziwu czy błysku pożądania w męskich oczach. Jednocześnie Madzuel - młodszy niż ona - wciąż był męski, przystojny i bardzo atrakcyjny.

Przypuśćmy, tylko przypuśćmy - zastanawiała się Jane - że Madzuel zakocha się w Vicie, a ona w nim?

Na samą myśl o tym już umierała z rozpacz. Jak to możliwe, aby miała teraz stracić Madzuela - ukochanego mężczyznę, dla którego zerwała z całą swoją przeszłością? Gdzieś w Europie pozostawiła dzieci, przyjaciół, dawnych kochanków, powinowatych oraz cały splendor majątku Holkham, który należał do jej dziadka - pierwszego hrabiego Leicester. Nie miało to jednak dla niej żadnego znaczenia; liczyła się tylko miłość do Madzuela.

Przez cały dzień Jane wielokrotnie czytała list od Vity, a następnie od Isobel, i ciągle nie wiedziała, co powinna zrobić. Jednego tylko była pewna:

nie mogła pozwolić, aby Madzuel rozpoczął wojnę z szejkiem Szaalanem al-Hasajnem. Za każdym razem, gdy był zaangażowany w którąś z pustynnych potyczek, przechodziła prawdziwe katusze. I wcale nie zmieniał tego fakt, że Mazrabowie od dawna nie przegrali żadnej bitwy. Mimo to ludzie odnosili rany, część z nich ginęła i zawsze były jakieś straty w koniach. Łzy same cisnęły się jej do oczu na myśl o wspaniałych arabach kłutych ostrymi dzidami, których Beduini używali przy takich okazjach.

- Co robić? Co robić? - Wciąż dręczyło ją to pytanie, aż w końcu zdawało się jej, że oszaleje.

Tuż przed zachodem słońca przybył wysłannik od Madzuela, aby powiadomić, że szejek nie wróci tej nocy. Wysłał gońca, jako że zdawał sobie sprawę, iż jego małżonka będzie się martwiła. Musieli pojechać dalej, ponieważ nie znaleźli jeszcze gniazda orła. Rozbiją na noc obóz, a następnego dnia podejmą na nowo poszukiwania.

Chociaż na chwilę - pomyślała z ulgą Jane - można będzie odsunąć na bok problem Vity. Wtem nieoczekiwanie przyszło jej do głowy, że Madzuel być może spędza tę noc z inną kobietą, jeśli nie z Kwadijidą, to z jakąś piękną młodą Arabką, którą potajemnie poślubił. Ta straszna myśl spowodowała, że Jane, tak jak Vita, gorzko rozplakała się w poduszkę.

Vita długo nie mogła zasnąć. Już świtało, kiedy kompletnie wyczerpana zapadła w niespokojną drzemkę. Nie trwało to jednak zbyt długo. Do namiotu weszła Beduinka i obudziła ją.

- Konie czekają, proszę pani - powiedziała po arabsku.

Kiedy Vita nie zareagowała, służąca uchyliła nieco płachtę namiotu, aby pokazać oczekujących na zewnątrz mężczyzn na koniach, wśród których

była Szarifa.

Vita z wysiłkiem wstała z łóżka, umyła się i pozwoliła, aby kobieta pomogła jej się ubrać. Wypiła trochę kawy, ale gdy próbowała przełknąć kawałek świeżego chleba, poczuła, jak rośnie jej w ustach. Kiedy skończyła się ubierać, służąca spakowała wszystkie jej rzeczy do walizy i wyniosła bagaż na zewnątrz. Vita poprawiła kapelusz do jazdy konnej i weszła do drugiej części namiotu, w nadziei że spotka tam szejka.

Namiot był jednak pusty. Stała niezdecydowana, zastanawiając się, co zrobić, kiedy wszedł jeden z oczekujących na zewnątrz Beduinów i kłaniając się jej, oznajmił łamaną francuszczyzną:

- Ja... eskortować m'mselle. Moje imię Nokta.

- Dziękuję - powiedziała Vita. - Ale najpierw chciałabym pożegnać się z szejkiem.

- Nie ma. Pojechać - odezwał się Nokta, wskazując jednocześnie ręką na południe.

I wtedy Vita zrozumiała, dlaczego szejk odjechał bez pożegnania. Rozstanie z nią zbyt wiele go kosztowało.

Wiedząc, że nic nie może na to poradzić, wyszła za Noktą z namiotu i pozwoliła, aby pomógł jej wsiąść na konia. Szarifa zdawała się bardzo zadowolona ze spotkania z nią, lecz nawet to nie było w stanie pocieszyć Vity. Wiedziała, że po raz ostatni dosiada wspaniałej białej klaczy i po raz ostatni widzi namioty al-Hasajna.

Nokta wskoczył na siodło i kawalkada natychmiast ruszyła. Vita wiedziała, że śpieszą się, aby przekazać ją Mazrabom, zanim lejący się z nieba żar stanie się nie do zniesienia, chociaż już teraz było gorąco, zwłaszcza że

konie tak szaleńczo pędziły.

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Po mniej więcej półtoragodzinnej jeździe Vita zauważyła oazę i poprosiła, aby się zatrzymali. Wiedziała, że Nokta wolałby jechać dalej, ale ona myślała tylko o tym, że każda następna mila coraz bardziej oddalają od szejka. Tak więc postój nawet kilkuminutowy mógłby nieco złagodzić narastający w jej piersiach ból.

Kocham go! Kocham go! - szeptała, wiedząc, że jedynym jej pragnieniem jest być tylko z nim, nawet gdyby to miało oznaczać zaledwie maleńki namiot w środku pustyni.

Przez cały czas zastanawiała się, jakby to było, gdyby rozbili obóz w oazie i po prostu się tam zatrzymali. Po czym z rozpaczą pomyślała, że jeśli dla niej takie życie byłoby w pełni satysfakcjonujące, to dla niego z pewnością by takie nie było. Instynktownie wiedziała, że jej ukochany jest urodzonym przywódcą, stworzonym do rządzenia ludźmi, człowiekiem czynu, który nie może nic nie robić, choćby nie wiem jak bardzo ją kochał. Ceniła go za to. Jednocześnie świadomość, iż nie może mu zapewnić tego, czego on potrzebuje, i właśnie dlatego nie ma dla niej miejsca w jego życiu, była dla niej prawdziwą torturą.

Jak możesz... mi to robić? - szeptała w duchu. - Jak możesz być aż tak okrutny... tak nieczuły... kiedy ja kocham cię tak rozpaczliwie.

Dojechali do oazy i Vita mogła wreszcie ugasić pragnienie. Mężczyźni z jej eskorty uczynili to samo, po czym zajęli się końmi. Vita usiadła w cieniu palm, a mężczyźni rozłożyli się tuż obok studni, śmiejąc się i rozmawiając między sobą. Wtem, zupełnie nieoczekiwanie, oaza zapełniła się tłumem jeźdźców.

Nikt nie słyszał, jak nadjechali. Nie było żadnych okrzyków wojennych tak typowych dla jazdy dierid. Po prostu nagle się zjawili!

Vita patrzyła na nich kompletnie zaskoczona; z jej ust wyrwał się okrzyk przerażenia, kiedy jeden z jeźdźców zmusił ją, aby wstała, a następnie uniósł i posadził na grzbiecie klaczy, osiodłanej damskim siodłem. Napastnik ujął wodze i poprowadził klacz między drzewami palmowymi do miejsca, w którym czekał jego koń.

Tymczasem gdzieś w głębi oazy rozległy się okrzyki, jakieś nawoływania oraz odgłosy wystrzałów, prawdopodobnie z broni tych, którzy atakowali siedzących przy studni Hasajnow.

Kiedy Vita usiłowała się obejrzeć, aby zobaczyć, co się dzieje, konie galopowały już przez pustynię i tylko po odgłosie kopyt mogła się zorientować, że pędzi za nimi duża grupa jeźdźców. Przez chwilę łudziła się, że to atak Mazrabów, którzy po otrzymaniu listu przybyli jej na ratunek. Kiedy jednak spojrzała na jadącego obok mężczyznę oraz na tych, którzy trzymali się z tyłu, odniosła wrażenie, że ich twarze wcale nie były przyjazne. Nie dostrzegła na nich nawet cienia uśmiechu. Były jakieś zacięte, wręcz ponure, i Vita poczuła, jak ogarnia ją przerażenie.

Pędzili jakiś czas, zanim z trudem wymawiając arabskie słowa, zdecydowała się zapytać:

- Kim jesteście? Gdzie mnie... wieziecie?

Wiedziała, że mężczyzna, do którego się zwróciła, zrozumiał jej słowa, ale zamiast odpowiedzieć, obrzucił ją tylko nieprzeniknionym spojrzeniem ciemnych oczu i konie popędziły dalej.

Chociaż jazda nie trwała dłużej niż dwie godziny, Vicie zdawało się, że

minęły wieki. Teraz już wiedziała, że nie wiozą jej do obozu Mazrabów. Przypomniała sobie, że dojeżdżając do oazy Nokta zauważył, iż połowę drogi mają za sobą. Tak więc powinni już być na miejscu. Przypuszczała, że z jakichś nie znanych jej powodów została przechwycona przez zupełnie inne plemię, ale kim byli porywacze i do czego zmierzali, nie miała zielonego pojęcia. Może chodziło tylko o sprowokowanie Hasajnow i całe to zdarzenie było po prostu normalnym przejawem wrogości między Anazami i Szammarami.

Bez względu na to, jaka była prawda, nie ulegało wątpliwości, że porywacze wcale nie mieli zamiaru odpowiadać na jej pytania. Nie pozostawało więc Vicie nic innego, jak milczeć i jechać dalej, dziękując Bogu, że przynajmniej dano jej damskie siodło.

Klaczy, na której jechała, nie można było nawet porównać z Szarifa. A jednak Vita musiała przyznać, że ruchy arabki były tak pewne i płynne, iż czuła się nieomal, jakby jechała powozem. Była przekonana, że klacz należała do jednej z pięciu najlepszych ras, o których opowiadał jej szejk. Być może była to nawet Aban, ale tego Vita nie była pewna. Zgodnie z tym, co mówił szejk, Aban to najpiękniejsza rasa koni arabskich. Teraz, kiedy Vita dokładniej przyjrzała się gniadej klaczy, gotowa była przyznać mu rację.

Ponownie pomyślała, że gdyby przywiozła ojcu jednego z tych wspaniałych koni, z pewnością wszystko by jej wybaczył. Ale czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy dom i swoich bliskich? Gdzie ją zabierają? O co tym ludziom chodzi? I chociaż szejk uważał ją za odważną, czuła, jak strach powoli paraliżuje jej ciało.

Po kolejnych dwudziestu minutach jazdy znaleźli się w końcu na piaszczystym wzgórzu, skąd widać było jakiś obóz. U stóp nagiej skały rozbito około trzydziestu namiotów, i kiedy zjeżdżali w dół, kierując się w ich stronę, Vita zwróciła uwagę, że w pobliżu nie ma ani bydła, ani owiec. Pomyślała, że plemię z pewnością tu nie obozuje, a jedynie zatrzymało się na odpoczynek. Jednak lęk przed tym, co ją czeka, nie pozwolił jej dłużej się nad tym zastanawiać.

Miała nadzieję, że wkrótce wszystkiego się dowie. Teraz modliła się tylko, aby przywódca plemienia, które ją porwało, mówił którymś ze znanych jej języków.

Tymczasem eskortujący Vite jeźdźcy raptownie się zatrzymali i ten, który ją pojmał, zeskoczył z konia i pomógł jej zsiąść. Vita odruchowo obciągnęła spódnicę jeździeckiego stroju i poprawiła kapelusz. Wiedziała, że mężczyzna z eskorty czeka na nią. Kiedy była już gotowa, dumnie uniosła głowę i nie śpiesząc się ruszyła w stronę, gdzie - jak przypuszczała - znajdował się namiot wodza.

Ten, do którego ją wprowadzono, był imponujący. Wchodząc do środka, poczuła pod stopami wspaniałą, miękką perski dywan. Musiało minąć trochę czasu, zanim Vita, oślepiona blaskiem światła słonecznego, przyzwyczaiła się do panującego wewnątrz mroku. Po chwili zauważyła, że w głębi, na czerwonej roffie, przypominającej nieco tron, siedział szejk. Uderzał przepych jego stroju oraz bijąca od niego ogromna pewność siebie. Czekał, aż Vita się do niego zbliży.

Był to mężczyzna w średnim wieku, z krótką brodą, o czarnych, przenikliwych oczach oraz orlim nosie. Vita pomyślała, że wygląda jak



drapieżny ptak. Miała jednak nadzieję, że strach, który nagle ją ogarnął, nie jest zbyt widoczny.

Kiedy się zbliżyła, odezwał się do niej:

- Salam alajkum, panno Ashford.

Przemówił do niej po angielsku, nie licząc kilku arabskich słów powitania, a wtedy Vita, złożony przed nim lekki ukłon, zapytała:

- Pan zna moje imię?

- Jesteś pani nawet piękniejsza, niż mi mówiono - odpowiedział szejek.

Było coś w sposobie, w jaki to powiedział, co sprawiło, że Vita uznała jego słowa za impertynencję.

- Zadałam panu pytanie.

- Wydaje mi się, że już na nie odpowiedziałem. Jeśli jednak wolisz, abym powiedział to jaśniej, to dowiedz się, że przywiozłem cię po to, abyś została moją żoną.

Przez chwilę Vita sądziła, że się przesłyszała. Po czym głosem jakby nie swoim powtórzyła:

- Abym została... pańską żoną?

- Może najpierw powinienem się przedstawić - odezwał się szejek. - Faras al-Mazjad, do usług.

Oczy Vity rozszerzyły się ze zdumienia. Pamiętała, jak Hadżaz mówiąc o szejku Farasie al-Mazjadzie, zapytał, Czy wciąż prześladowuje on kuzynkę Jane. Vita dowiedziała się wtedy, że szejek Faras al-Mazjad z zazdrością patrzy na żonę szejka Madzuela od czasu, gdy ci dwoje się pobrali, i bez przerwy ją ściga.

Podnosząc dumnie głowę, Vita odparła chłodno:

- Odkąd jestem w Syrii, wciąż dochodzą mnie plotki, że interesuje się pan moją kuzynką, czcigodną Jane Digby al-Mazrab!

- To prawda - odpowiedział szejek. - Ale proszę usiąść, panno Ashford. Jestem pewien, że ma pani ochotę na kawę.

Vita zrozumiała, że odmawiając i tak niczego nie osiągnie. Usiadła więc na roffie, którą szejek jej wskazał. Roffa stała obok tej, na której siedział szejek, a naprzeciwko znajdował się niski stół. Niemal natychmiast czarne służące wniosły kawę i słodycze. Vita gorączkowo zastanawiała się, co robić. Rozmyślnie wolno piła kawę, aby mieć czas na zebranie myśli.

Szejek Faras ruchem dłoni odprawił służące i powiedział:

- Czy możemy kontynuować rozmowę?

- Bardzo proszę - rzekła Vita. - Zastanawiam się tylko, czy czasem się nie przesłyszałam. Chodzi mi o to dziwaczne oświadczenie, które przed chwilą od pana usłyszałam.

- Nie sądzę, aby było dziwaczne - zauważył szejek. - Uważam nawet, że jest całkiem rozsądne. Jak pani zapewne wie, zakochałem się w pięknej Jane Digby, kiedy tylko zjawiała się w Syrii.

Vita nagle znieruchomiała. Przypomniała sobie, jak signor Dira kiedyś jej opowiadał, że wszystko, co pan młody musi wtedy zrobić, to poderżnąć gardło jagnięciu na oczach świadków. Kiedy tylko krew tryśnie na ziemię, ceremonia ślubna uważana jest za zakończoną.

Poczuła, że drży, lecz odrzekła bez wahania.

- Nie jestem Beduinką, a więc małżeństwo beduińskie mnie nie dotyczy.

- Dla mnie nie ma to żadnego znaczenia - odpowiedział szejek. - Zostaniesz pani moją żoną i jako moja żona nie będziesz mogła mnie porzucić, chyba że

ja sam tego zechcę. Zostaniemy małżonkami, panno Ashford, jak tylko się pani umyje i przebierze. Sądzę, że jest to zgodne z pani życzeniem.

W pierwszej chwili Vita chciała zaprotestować. Natychmiast jednak pomyślała, że gra na czas to jedyny jej ratunek. Nie wierzyła, aby ludzie szejka Farasa wymordowali wszystkich Hasajnow, którzy ją eskortowali. Mogli zranić kilku, ale ktoś z pewnością się uratował i dotarł do obozu, aby powiadomić szejka o tym, co się wydarzyło.

Przyjedzie po mnie... Jestem tego pewna! - pomyślała Vita.

Wolno skończyła pić kawę, po czym zmusiła się do zjedzenia odrobiny słodczy. Czuła, jak wszystko rośnie jej w ustach, ale za wszelką cenę musiała opóźnić bieg wydarzeń. Nie powinno to budzić podejrzeń. Beduini jako typowi mieszkańcy Wschodu nigdy się przecież nie śpieszą.

Przez cały czas, kiedy siedziała przy stole, szejk nieustannie ją obserwował. Było coś w jego oczach, co ją przerażało. Vita, tak jak wszystkie dziewczyny w jej wieku, była dosyć naiwna. Jednak trudno byłoby uwierzyć, aby znając burzliwe koleje życia kuzynki, nie zdawała sobie sprawy, że miłość między kobietą a mężczyzną to coś więcej niż tylko pocałunki. Nie bardzo wiedziała, co to było, ale czuła, że gdyby szejk Faras ośmielił się jej dotknąć, nie zniosłaby tego. Rozpaczliwie pragnęła tylko jednego - znaleźć się w ramionach mężczyzny, którego kochała.

W końcu, gdy nie mogła dłużej udawać, że pije, i ponieważ filiżanka była już dawno pusta, podniosła oczy na szejka Farasa, a wtedy on klasnął w dłonie i natychmiast zjawiły się czarne niewolnice. Szejk powiedział coś do nich po arabsku i Vita domyśliła się, że kazał im zabrać ją do namiotu, który - jak przypuszczała - znajdował się tuż obok.

Był prawie tak duży jak ten, który zaoferowali jej Hasajnowie, lecz znacznie od niego okazalszy. Była tam toaletka oraz ogromne łoże przypominające otomanę, na którego widok Vita zadrżała, wspominając to, co jej się tak niedawno przydarzyło. Ściany namiotu zawieszane były jedwabnymi tkaninami, a w powietrzu unosił się zapach kadzidła. Kobiety, które jej towarzyszyły, nieustannie paplały między sobą, i kiedy Vita usłyszała słowo „małżeństwo”, nie miała już wątpliwości, że powiedziano im, iż ma zostać żoną szejka Farasa.

Zdesperowana zastanawiała się, czy nie lepiej by było, gdyby uciekła na pustynię. Zaraz jednak pomyślała, że po miękkim piachu nie zajdzie zbyt daleko. Byłoby to dla niej zbyt poniżające. Przestała więc o tym myśleć. Potulnie pozwoliła służącym zdjąć z siebie strój jeździecki i weszła do kąpieli mocno nasyconej olejkiem różanym.

Ponieważ szejk Faras powiedział jej, że może zmienić strój, Vita zastanawiała się teraz, jak to możliwe, skoro cały należący do niej bagaż pozostał w oazie. Po chwili jednak kobiety przyniosły jej luźną szatę, podobną do tych, które same nosiły, ale uszytą z jakiegoś cienkiego białego materiału, bogato haftowanego srebrem, oraz ozdobioną wokół szyi szlachetnymi kamieniami. Vita uświadomiła sobie, że to jest właśnie przygotowana dla niej ślubna suknia!

Zastanawiała się, co się stanie, jeśli zamiast tej sukni ponownie włoży swój strój jeździecki. Po chwili jednak odrzuciła tę myśl uważając, że taka demonstracja nie ma sensu, a poza tym służące, jakby odgadując jej myśli, zabrały ubranie z namiotu.

Bez protestu więc pozwoliła się ubrać w suknię ślubną, i kiedy spojrzała w

lustro, musiała przyznać, że wygląda bardzo pięknie. Żałowała, że nie może zmienić swojego wyglądu na tyle, aby szejk nie zechciał jej poślubić. Niestety, w lustrze widziała jedynie doskonały owal twarzy, ogromne oczy oraz piękne blond włosy, które otaczały jej głowę jak aureola i lśniły w promieniach słońca przebijających się przez płachtę namiotu.

Vita starała się, aby przebieranie trwało jak najdłużej. Jednak pomimo jej rozpaczliwych wysiłków, aby odwlec moment ceremonii, w końcu nadeszła chwila, kiedy musiała przyznać, że jest gotowa i może się udać do czekającego na nią szejka Farasa.

Kobiety znowu poprowadziły ją do dużego namiotu i Vita nie miała wątpliwości, że nie czyniły tego z uprzejmości wobec niej, ale dlatego, że takie otrzymały polecenie.

Szejk Faras nie był w namiocie sam. Wokół, na czerwonych roffach z jedwabnymi poduszkami na oparciach, siedzieli mężczyźni w ozdobnych abbah i palili nargile. Powietrze przesycone było słodkim zapachem tytoniu i aromatem świeżo parzonej kawy.

Kiedy Vita weszła do namiotu, żaden z mężczyzn nie ruszył się nawet z miejsca. Patrzyli na nią z podziwem i dziewczynie się zdawało, że minęły wieki, zanim szejk Faras raczył się odezwać:

- Podejdź i usiądź przy mnie. Jak tylko będziemy gotowi, rozpocznie się ceremonia ślubna.

- Wydaje mi się, że panna młoda, grając rolę „trudnej do zdobycia”, powinna bronić się i uciekać przed panem młodym - oświadczyła Vita z lodowatą miną.

W ciemnych oczach szejka pokazały się iskierki rozbawienia i po chwili

rzekł:

- Bardzo cenimy sobie okazywanie panińskiej skromności, ale po ceremonii, a nie przed nią.

Oboje mówili po angielsku, a ponieważ Vita była absolutnie pewna, że pozostali mężczyźni nie znają tego języka, odezwała się do szejka;

- Czy nadal zamierza pan zachowywać się w tak prymitywny i niecywilizowany sposób?

- Uważałbym raczej, że zachowuję się jak człowiek wyjątkowo cywilizowany - odpowiedział szejk Faras. - W końcu mógłbym cię wziąć bez ślubu!

- Ślubu, który dla mnie jest tylko farsą - powiedziała Vita.

- Dla nas to okazja do ucztowania - zauważył szejk. - I muszę przyznać, że dla mnie to bardzo szczęśliwa okazja. Tak jak już wcześniej powiedziałem, jesteś bardzo piękna!

- W pańskich ustach to nie jest komplement! - odparła wyniośle Vita.

Znów się uśmiechnął, i wtedy zdała sobie sprawę, że nic, cokolwiek mu powie, nie jest w stanie go dotknąć ani tym bardziej zmienić jego postępowanie. Był ogromnie pewny: zarówno siebie, jak i tego, że mają całkowicie w ręku. Nie mogła się zwrócić do nikogo, kto by mógł ją ocalić lub powstrzymać szejka od realizacji zamierzeń.

Wolno ruszyła w jego kierunku, a kiedy była już przy nim, powiedziała cicho:

- Proszę pozwolić mi odejść. Wie pan równie dobrze jak ja, że to, co pan zamierza, będzie źródłem kłopotów nie tylko dla mnie, ale również i dla pana!

- Jeśli o mnie chodzi, nie będzie żadnych kłopotów - odpowiedział szejek Faras. - Jesteś tym, czego zawsze pragnąłem, a czego pozbawiła mnie twoja kuzynka. Teraz będę najszczęśliwszym człowiekiem w całej Syrii.

W jego głosie nie było ironii, a kiedy patrzył na ciało Vity, przeświecające przez cienki materiał sukni, jego oczy pociemniały z żądy. To spojrzenie było jednak zupełnie inne niż szejka Szaalana, który nie tylko jej pożądał, ale również ją kochał.

Cicho wyrzuciła z siebie rozpaczliwe wołanie o pomoc - wołanie, które pochodziło z głębi duszy.

- Pomocy! Pomocy! - wzywała, mając nadzieję, że w jakiś sposób, ponieważ kochał ją tak jak ona jego, musi się dowiedzieć, jak bardzo go teraz potrzebuje.

Szejek Faras wyciągnął rękę i wskazał Vicie miejsce obok siebie. Usiadła czując, iż nic już więcej nie da się zrobić. Jej nerwy jednak były napięte do granic wytrzymałości. Wiedziała, że drży, ale głowę trzymała dumnie uniesioną. Za żadną cenę nie chciała dopuścić do tego, aby ktokolwiek zorientował się, jak bardzo jest przerażona.

Szejek Faras powiedział do siedzących w namiocie mężczyzn coś, czego Vita nie rozumiała, a co sprawiło, że się roześmieli. Następnie dał znak ręką.

Przez szeroko otwartą płachtę namiotu, ukazującą bezkresną pustynię, wszedł mężczyzna, niosąc małe jagnię. Chociaż nie minęło jeszcze południe, słońce zdążyło już nagrzać piasek i zrobiło się straszliwie gorąco.

Kiedy szejek Faras podniósł się, Vita nareszcie wiedziała, co ma zrobić. Zupełnie jakby ktoś podsunął jej pomysł, podpowiadając każdy ruch, każde

słowo, które musi wypowiedzieć i wskazując jej ratunek.

Szejk Faras odwrócił się i spojrzał na Vite z uśmiechem.

- Za chwilę przetnę gardło jagnięcia - rzekł. - I wtedy będziesz moją żoną!

- To bardzo osobliwy zwyczaj - wolno powiedziała Vita, podnosząc się z roffy. - Czy ja mam stanąć obok ciebie?

- Jeśli tylko sprawi ci to przyjemność.

- Nie chciałabym zrobić czegoś, co byłoby niewłaściwe.

Podeszła do szejka, przemierzając podłogę namiotu wysłanego grubą warstwą dywanów aż do miejsca, gdzie stał mężczyzna z jagnięciem. Było to tuż przy wejściu do namiotu. Gdy szejk Faras dochodził do niego, naprzeciw wyszedł jeden z niewolników, niosąc na tacy długi, cienki nóż z rękojeścią wysadzaną drogimi kamieniami. Szejk Faras wyciągnął rękę po nóż, ale Vita była szybsza. Chwyła go, jednocześnie cofając się do ściany namiotu, aby nikt nie mógł z tyłu zbliżyć się do niej, i krzyknęła:

- To ja jestem ofiarą, a nie jagnię! A więc to ja muszę umrzeć!

Trzymając nóż za rękojeść, skierowała ostrze w stronę lewej piersi. Widziała, że szejk Faras z trudem chwyta powietrze, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Mężczyźni na roffie przerwali palenie i wytrzeszczyli oczy ze zdumienia. Nastąpiła cisza, zakłócana jedynie żalnym beczaniem jagnięcia.

- Naprawdę zrobię to - uprzedziła Vita. - Jeśli nie dasz mi słowa honoru, że skończysz z tą farsą małżeńską i że mnie uwolnisz, zabiję się.

- Nie mówisz chyba serio - odpowiedział szejk Faras. - Żadna kobieta, zwłaszcza tak piękna jak ty, nie chciałaby umrzeć w ten sposób.

- Nie boję się śmierci. Boję się tylko tego, że możesz mnie dotknąć.



Szejk Faras zrobił krok w jej stronę, ale Vita uniosła rękę, w której trzymała nóż, jakby gotując się do zadania sobie śmiertelnego ciosu. Doskonale wiedziała, że szejk Faras, ogromnie zakłopotany powstałą sytuacją, będzie próbował jakiegoś podstępu, aby ją przechytrzyć.

Nikt nie mógł zbliżyć się do niej z tyłu, a towarzyszący szejkowi mężczyźni nawet nie próbowali wstać.

- Czy zgadzasz się mnie uwolnić? - zapytała Vita. - Czy też muszę umrzeć?

Szejk Faras wciąż się wahał i wtedy nagle rozszalało się istne piekło. Z oddali dobiegały dzikie okrzyki wojenne, które Vita słyszała już wcześniej, podczas jazdy dierid. Teraz zdawały się przybliżać, w końcu były tuż-tuż. Nagle, gdy tak stała z nożem wciąż skierowanym w swą pierś, do namiotu w pełnym galopie wpadł koń z jeźdźcem, który zdawał się wprost zrosnięty z jego grzbietem.

W tym samym momencie Vita zauważyła, jak szejk Faras runął do tyłu, lecz nie miała pojęcia, czy było to spowodowane uderzeniem konia, czy broni jeźdźca. Usłyszała hałas przewracanych stołów i brzęk tłuczonego szkła. Wtem ktoś porwał ją z ziemi, lecz kiedy poczuła dotyk obejmujących ją rąk, nie miała już wątpliwości, do kogo te ręce należą. Wypuściła nóż z ręki i ukryła twarz w burnusie, a okrzyk radości, który wyrwał się z jej ust, zdawał się pochodzić z samej głębi duszy. Była prawie nieprzytomna ze szczęścia, że nie musi już ani umierać, ani wychodzić za szejka Farasa.

Strzały, krzyki i nawoływania oddalały się coraz bardziej. Czowała silny uścisk ramion, które obejmowały i tuliły ją do siebie, a unoszący ich oboje koń galopował tak posuwicie i płynnie, że prawie nie dotykał kopytami

ziemi. Jak cudownie było w tych ramionach, jak bezpiecznie! Obejmowały ją tak mocno, że z trudem tylko mogła się poruszać. Kiedy z wysiłkiem uniosła do góry twarz, usta szejka spoczęły na jej wargach. Pocałunek zdawał się trwać bez końca. Wiedziała doskonale, że nic oprócz niego się nie liczy. Nic na całym świecie.

## Rozdział siódmy

Pocałunek był cudowniejszy i doskonalszy niż cokolwiek, co Vita do tej pory знаła. Czowała się tak, jakby całą siebie oddała na własność szejkowi, a on wziął ją w niepodzielne władanie. Kiedy w końcu uniósł głowę, zamruczała ze szczęścia i ukryła twarz w jego ramionach. Szejk po pewnym czasie zatrzymał konia.

- Moja najdroższa! Moja kochana! Czy nic ci się nie stało?

- Właśnie miałam się... zabić... ponieważ on... chciał mnie poślubić, a ja nie mogłam pozwolić, aby mnie... dotknął.

- Domyśliłem się tego, kiedy zobaczyłem jagnię. - Jego głos drżał z wściekłości, a ramiona zacisnęły się mocno wokół niej, jakby nie mógł znieść nawet myśli o tym, przez co przeszła.

- Jak mnie tu znalazłeś? - zapytała.

Z trudem formułowała myśli, nie mogąc opanować rozsadzającej piersi radości, że jest tak blisko niego. Odpowiedź w tej chwili nie była nawet istotna. Liczyło się tylko to, że był obok niej.

- Gdy odjechałaś - mówił szejk - czułem się okropnie. Bałem się, że napotkacie Mazrabów, którzy będą jechali ci na ratunek, i że zaczną strzelać do moich ludzi, nie zdając sobie nawet sprawy, że jesteś z nimi. Tak więc zabrałem ze sobą kilku jeźdźców i pojechałem za wami, postanawiając trzymać się poza zasięgiem wzroku, ale jednocześnie zapewniając ci bezpieczeństwo.

- Jestem taka szczęśliwa... tak bardzo szczęśliwa! - wyszeptała Vita. - Wołałam z rozpaczą, byś mnie ocalił. Czulałam, że jakoś dowiesz się, iż

jestem w niebezpieczeństwie.

- Wiedziałem o tym, lecz nie zdawałem sobie sprawy, że ludzie szejka znaleźli cię w oazie i że spowodowali takie straty wśród członków mojego plemienia, dopóki nie zobaczyłem w oddali uciekających z tobą Mazrabów.

- A więc pojechałeś do oazy? Usta szejka zacisnęły się.

- Dwóch moich ludzi nie żyło, a dwa konie zostały ciężko ugodzone dzidami. Szejk Faras gorzko za to zapłaci!

- I wtedy pojechałeś... za mną.

- Gdy dotarłem do moich ludzi, ciebie już dawno nie było i zacząłem się martwić, że nie uda mi się odnaleźć obozu Farasa.

- A jednak odnalazłeś mnie! - powiedziała miękko.

Nachylił głowę i ponownie zaczął ją całować. Pomyślała, iż tak jak nie obawiała się śmierci, kiedy trzymała nóż przy swej piersi, tak samo łatwo mogłaby umrzeć z powodu zwykłej radości.

Szejk oderwał usta od jej warg dopiero wtedy, gdy zobaczył zbliżających się do nich jeźdźców. Wiedział, że to jego ludzie powracający z obozu Mazjadów. Pędzili jak szaleni, a kiedy podjechali bliżej, Vita ujrzała radość w błyszczących oczach i roześmianych twarzach. Ich siodła były obładowane łupami: adamaszkiem, brokatem, bronią i klejnotami. Jadąc tuż przy szejku, z ożywieniem opowiadali mu o tym, co się wydarzyło. Ich arabski był jednak tak szybki, iż Vita nie mogła za nimi nadążyć. W pełni natomiast rozumiała ich podniecenie. Przeprowadzili atak na obóz w momencie, kiedy szejk Faras zupełnie się ich nie spodziewał, i zrobili to absolutnie po mistrzowsku.

Szejk wydał rozkaz i ponownie ruszyli galopem.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Vita.

- Do Damaszku!

- Do Damaszku? - powtórzyła, kompletnie zaskoczona.

- Sam przekażę cię brytyjskiemu konsulowi. Nie ufam już nikomu na pustyni.

Spojrzała na niego, a on dodał z uśmiechem:

- Czy obawiasz się, że nie będzie ci zbyt wygodnie w moich ramionach?

Uspokoję cię zatem, jeśli dodam, że do Damaszku jest około dziesięciu mil. Podróż nie będzie więc trwała zbyt długo.

- Wiesz dobrze, że chcę być... blisko... ciebie - odpowiedziała Vita. W tej samej chwili poczuła ból w sercu. Zrozumiała, że szejik zamierza ją w Damaszku zostawić. Kiedy zapewni jej bezpieczeństwo, znowu zniknie na pustyni, a ona ponownie będzie cierpiała przy rozstaniu. Natychmiast jednak powiedziała sobie, iż to, że jest teraz przy nim, to przecież wspaniały dar, którego się zupełnie nie spodziewała. Postanowiła, że nie może tego zniszczyć rozmyślaniami o rozstaniu.

Charles powiedział kiedyś, że miłość to ból, który przeszywa całe ciało i umysł, aż w końcu nie jest się w stanie dłużej tego znieść. „Nagle - ciągnął - ból zamienia się w uniesienie, które wzbija cię w niebiosa, i wtedy już wiesz, że warto było cierpieć”.

To właśnie będzie warte tego uniesienia - pocieszała się w duchu Vita. Jednocześnie ponownie zadrzała na myśl o rozstaniu z ukochanym, tak jakby w sercu miała wciąż krwawiącą ranę.

- Moja ukochana - szepnął i na te słowa dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Szejik poczuł go i przytulił ją mocniej do siebie. - Moja najdroższa, gdyby

ten nikczemnik cię skrzywdził, zabiłbym go bez wahania.

Vita znowu zadrzała, słysząc, z jaką żarliwością mówi do niej.

- Jestem z tobą bezpieczna - wyszeptała. I rzeczywiście tak się czuła.

Szejk jechał na czymś w rodzaju miękkiej poduszki, która Beduinom służyła za siodło. Nie używał również strzemion, a koń założony miał jedynie kantar, co nie przeszkadzało, aby jeździec sprawował całkowitą kontrolę nad wspaniałym czarnym ogierem. Vita wiedziała, iż szejk bardzo lubił jazdę na ogierze. Beduini natomiast do jazdy konnej używali jedynie klaczy.

Podczas drogi Vita wciąż modliła się, aby nigdy nie dotarli do Damaszku. Czuła, że jest kochana i że nic jej nie grozi. Chciała, aby ta podróż w ramionach szejka trwała bez końca. Wydawało się jej, że świat bez niego byłby przerażający, a ona cierpiałaby nie tylko fizycznie, tak jak to było przy szejku Farasie, ale również psychicznie, tak jak w obecności lorda Banthama, którego się bała i do którego czuła prawdziwą odrazę.

Jakby odgadując jej myśli, szejk spojrział na nią i powiedział:

- Nie rozpaczaj, najdroższa. Musisz powiedzieć sobie, że to Inszallah i być może pewnego dnia znowu się spotkamy.

- Ten dzień może być bardzo odległy - odpowiedziała Vita. - Chcę cię teraz... zawsze. Chcę, abyśmy byli razem, tak jak jesteśmy teraz. - Słyszała, jak głęboko westchnął, i wiedziała, że czuje to samo co ona.

Kiedy później ujrzała wynurzające się przed nimi kopuły i minarety Damaszku, uświadomiła sobie z rozpaczą, że nic już więcej nie może zrobić. Teraz Damaszek nie był już „Szaum Szaraf” - „Święty czy Błogosławiony”. Dla niej był „Miastem Przeklętym”, ponieważ tam musiała rozstać się z

mężczyzną, którego kochała.

Gdy podjechali bliżej, usłyszeli beczenie jagniąt i ryk bydła pasącego się wokół miasta. Ujrzeni zieleń ogrodów, otaczających je jak wody jeziora. Lecz szybko, tak szybko jak nieubłagane biegnie czas, minęli bramy miasta. Jechali wąskimi, malowniczymi uliczkami w stronę wielkiego placu o marmurowej nawierzchni z fontannami w cieniu pomarańczowych, cytrynowych i granatowych drzew.

Szejk jechał pełen wyniosłości, dumnie trzymając Vite w ramionach. Jego ludzie podążali za nim, aż wreszcie zatrzymali się przed dużym budynkiem z flagą Zjednoczonego Królestwa, pośniewającą łagodnie w gorących promieniach słońca. Wartownicy ubrani w czerwone uniformy zdawali się potwierdzać, że to budynek konsulatu brytyjskiego.

Szejk zatrzymał konia. Vita podniosła na niego wzrok i spostrzegła ból w jego ciemnych oczach.

- Dlaczego musimy to... zrobić? - wyszeptała. - Pozwól mi... zostać z tobą... przynajmniej... jeszcze trochę.

Widziała, jak bardzo go wzruszył jej błagalny ton. Jednak nic jej nie odpowiedział, tylko delikatnie postawił ją na ziemi, po czym sam również zsiadł z konia.

Jeden z jego ludzi natychmiast pośpieszył, aby zająć się ogierem, a szejk poprowadził Vite przez bramę z kutego żelaza i razem ruszyli w kierunku frontowych drzwi.

Vita nie mogła przestać myśleć o tym, jak dziwnie muszą wyglądać: szejk w swych szatach Beduina i ona w błyszczącej haftowanej sukni, w którą ubrały ją kobiety z plemienia Mazjadów. Ale nie wygląd był teraz

najważniejszy. Czowała się tak, jakby życie z niej uchodziło. Myślała tylko o tym, że już wkrótce szejk opuści ją na zawsze. Czytała w jego myślach. Wiedziała więc, że zamierza oddać ją kapitanowi Richardowi Burtonowi, po czym zniknie wraz ze swymi przyjaciółmi na pustyni, a ona nigdy więcej już go nie zobaczy. Błagała, aby jej nie opuszczał, ale nic nie wskórała, i teraz pozostawało jedynie zachować się dzielnie, chociaż tak bardzo pragnęła z płaczem rzucić mu się w ramiona.

Przy drzwiach wejściowych stał służący. Szejk zwrócił się do niego rozkazującym tonem:

- Proszę poinformować Jego Ekscelencję, że przybyła panna Vita Ashford!

Mężczyzna pośpiesznie przeszedł przez hall, otworzył drzwi i zniknął za nimi. Po krótkiej chwili zjawił się ponownie i otwierając szeroko drzwi zaprosił ich do środka.

Vita podniosła na szejka wzrok, ale on wyraźnie uciekał przed jej spojrzeniem. Widziała po zaciśniętych ustach i ostro zarysowanej linii szczeki, że cierpi tak samo jak ona. Bez słowa, wyprzedzając go nieco, przeszła przez hall, a następnie przez drzwi, które otworzył przed nimi służący.

Znalazła się w dużym pokoju, którego okna wychodziły na tonący w kwiatach ogród. Poruszający się w górze ogromny wachlarz z liści palmowych sprawiał, że było tu dosyć chłodno. W pokoju oprócz kapitana Richarda Burtona Vita spostrzegła jeszcze dwóch nie znanych jej mężczyzn.

Kiedy tylko stanęła w drzwiach, kapitan Burton obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu i Vita pomyślała, że jeszcze bardziej, niż kiedy go widziała ostatnio, przypomina jej tygrysa.



Po chwili z ust kapitana wyrwał się okrzyk wyrażający najwyższe zdumienie:

- To naprawdę Vita Ashford! Na Allaha, skąd się tu wzięłaś?

- Zwracam zgubę, Wasza Ekscelencjo - odezwał się szejka.

Richard Burton zbliżył się do Vity, aby ją powitać.

- Ogromnie się o ciebie martwiliśmy - rzekł. Vita nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować. Po chwili kapitan Burton wyciągnął dłoń w stronę szejka.

- Słyszeliśmy, że jest z tobą, szejku Szaalanie. Czy nic jej się nie stało?

Wzrok mężczyzn spotkał się i w oczach Richarda Burtona pojawiło się pytanie, na które szejka odpowiedział cicho:

- Wszystko w porządku, Wasza Ekscelencjo! Kapitan Burton chciał coś powiedzieć, lecz w tej chwili jeden ze stojących przy oknie mężczyzn zawołał:

- Manuel! Manuel, nie mylę się chyba?

Szejka odwrócił głowę i Vita również spojrzała na wysokiego, bardzo przystojnego młodzieńca, ubranego według ostatniej mody, który stał obok starszego mężczyzny o siwych włosach.

Nastąpiła chwila ciszy i Vita nagle uświadomiła sobie, że mężczyzna, który zadał pytanie, mówił po hiszpańsku. Szejka odpowiedział w tym samym języku:

- Jaime! Co ty tu robisz?

- Szukam ciebie! Wiedziałem, że to diabelnie trudne zadanie! Don Ricardo i ja sądziliśmy, że trzeba będzie przeszukać cały świat, zanim cię odnajdziemy! - Przerwał na chwilę, wyciągając do szejka dłoń, aby go serdecznie powitać, i dodał z ożywieniem: - Dzięki Bogu, że tu jesteś i że nie

trzeba cię już dalej szukać! Och, Manuelu, tak się cieszę, że cię widzę!

Szejk był tak wzruszony, że z trudem przychodziło mu znalezienie właściwych słów. Młody człowiek spojrzał na stojącego tuż przy nim mężczyznę i ciągnął dalej:

- Czy pamiętasz don Ricarda Savedra?

- Oczywiście, że pamiętam! - powiedział szejk, wyciągając rękę. - Odkąd tylko sięgam pamięcią, zarządzał pan naszym majątkiem rodzinnym w Valdepenas.

- I dalej to robię - odrzekł don Ricardo. - Właśnie dlatego tak bardzo się cieszę, że spotkałem pana!

Vita widziała, że szejk nagle znieruchomiał.

- Niestety, to prawda! - potwierdził młody mężczyzna imieniem Jaime. - Twój ojciec nie żyje. Właśnie dlatego musieliśmy cię odnaleźć.

- Ale przecież Alfonso!... - wykrzyknął szejk.

- Pański starszy brat został zamordowany dwa lata temu - ciągnął don Ricardo. - Od tamtej pory próbujemy pana znaleźć.

- Nie mogę wprost w to uwierzyć - wyrzekł szejk niemal bezgłośnie.

- Czy chcecie panowie powiedzieć, że zaginiony Hiszpan, o którym mówiliśmy i o którego mnie wypytywaliście, to szejk Szaalan al-Hasajn? - wtrącił kapitan Burton.

- Musimy coś sprostować, Wasza Ekszelencjo - odparł don Ricardo. - Ten człowiek to don Manuel de Canasy Garia, książę Valdepenas.

Vita zamarła z wrażenia. W tej samej chwili szejk odwrócił się do niej i ujął jej dłoń.

- Ta wiadomość nie mogła przyjść w odpowiedniejszej chwili! -

powiedział. Spojrzał na Richarda Burtona. - Byłbym wdzięczny Waszej Ekscelencji, gdyby zechciał pan zorganizować mój ślub z panną Vita Ashford, zanim oboje wyruszymy do Hiszpanii!

Vita poczuła, jak jego palce mocno zaciskają się na jej dłoni. Kiedy podniosła na niego wzrok, cały pokój zdawał się tonąć w słonecznym blasku. Nagle usłyszała słowa kapitana Burtona:

- Czy chcesz... poślubić tego mężczyznę?

- Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie! - odpowiedziała.

Jakby na potwierdzenie tych słów, niezwykle blask, który opromienił jej twarz, uczynił ją tak niezwykle piękną, że wszyscy czterej mężczyźni patrzyli na nią jak na cudowne zjawisko, oślepieni wprost jej urodą.

- Ośmielę się twierdzić, że wpadnę w niezłe tarapaty, jeśli zezwolę na tak pośpieszny ślub - powiedział z uśmiechem kapitan Burton. - Ale myślę, że jeszcze jeden niezbyt rozważny krok dodany do poprzednich nie uczyni chyba zbyt wielkiej różnicy.

Szejk skłonił głowę.

- Dziękuję Waszej Ekscelencji!

Był późny wieczór. Vita stała przy oknie i patrzyła na plac zalany srebrnym światłem księżyca, który nadawał miastu dziwny, prawie nieziemski wygląd, jakby z jakiegoś snu. Z trudem mogła uwierzyć, że to wszystko, co się jej przydarzyło, to jednak nie sen, i że po obudzeniu nie stwierdzi, że wraca sama do Neapolu, gdzie oczekuje na nią przerażona lady Crowen. Myślała o swoim ukochanym, którego tak niedawno poślubiła. Dzięki niemu wszystko przebiegło pomyślnie, bez żadnych przeszkód; gotowa była uwierzyć, iż pomogło im przeznaczenie, w które zawsze tak

bardzo wierzył.

Od samego początku szejk bardzo nalegał, aby Vita odpoczęła, więc kapitan Burton zaofiarował im apartament w konsulacie, przeznaczony dla przybywających do Damaszku ważnych osobistości. Vita z ulgą przyjęła fakt, iż nie musi przenosić się do domu Burtonów, gdzie trzeba byłoby wysłuchiwać niezliczonych pytań, zadawanych przez panią Burton, i zastanawiać się, jak na nie odpowiedzieć.

Zaprowadzono ją do chłodnej i przestronnej sypialni. Z radością zauważyła tam stojącą na podłodze walizę, którą szejk znalazł w oazie, gdzie trafił na swych ludzi, pobitych w czasie napadu Mazjadów. Ponieważ ukochany kazał Vicie odpocząć, a ona nie chciała mu się sprzeciwić, zdjęła wspaniałą, bogato haftowaną suknię ślubną, w którą ubrały ją kobiety z plemienia szejka.

Farasa, włożyła cienką koszulkę nocną i położyła się na ogromnym, niskim jak otomana łożu, z licznymi draperiami z białego muślinu i obiciem ozdobionym motywami arabskimi.

Natychmiast zasnęła, a kiedy się zbudziła, słońce już zachodziło i chłód powietrza zwiastował nadchodzący wieczór. Okazało się, że gdy wypoczywała, wszystko zostało już zapięte na ostatni guzik. Kiedy ubierała się po kąpieli, pomyślała ze smutkiem, że nie ma niestety żadnej toalety, którą mogłaby włożyć na dzisiejszą uroczystość. Wyjeżdżając do Damaszku, zabrała ze sobą tylko jedną suknię wieczorową. Ponieważ występowała w towarzystwie jako *débutante*, suknia była biała i niezbyt strojna. Bała się więc, że nie spodoba się w niej szejkowi.

Wkrótce zjawiała się Isobel Burton, ogromnie podniecona czekającą ich

uroczystością. Przywiozła Vicie piękny welon z brukselskiej koronki, w którym kiedyś sama brała ślub.

O tej porze roku za późno już było na kwiaty pomarańczy, ale zręczne palce arabskich kobiet splotły wianek z maleńkich różyczek i innych białych kwiatów tak, aby pasował do bukietu, który Vita miała trzymać w ręku.

Kiedy zstępowała po schodach, kierując się do miejsca, gdzie stał konsul brytyjski oraz szejka i jego hiszpańscy przyjaciele, mężczyźni na jej widok zaniemówili z wrażenia. Wyglądała niby cudowna, tajemnicza istota z innego zupełnie świata. Wyraz uwielbienia malujący się na twarzy szejka spowodował, że serce Vity zaczęło bić jak szalone, a kiedy spotkały się ich oczy, przyciągnięte jakąś tajemną siłą, czuła się tak jak wtedy, gdy ją całował.

Wszyscy ruszyli do kościoła, gdzie miała się odbyć uroczystość zaślubin. Isobel Burton, sama będąc katoliczką, ogromnie się ucieszyła, że Vita weźmie ślub katolicki. Msza nie trwała zbyt długo, ale była bardzo piękna. Mały kościółek wprost tonął w kwiatach i Vita doskonale wiedziała, że to był również pomysł szejka.

W pierwszej chwili prawie go nie poznała, ponieważ nie miał na sobie stroju Beduina, w którym dotychczas zawsze go widziała. Teraz ubrany był jak hiszpański dżentelmen. Przypuszczała, że pożyczycie ubranie od swego kuzyna dona Jaime. Musiała przyznać, że prezentuje się jeszcze wspanialej niż wtedy, gdy występował w tradycyjnych szatach arabskich.

Vita poczuła nagle dziwne onieśmienie. Wiedziała, że to dlatego, iż ukochany stał się teraz częścią tego świata, który zostawiła za sobą, kiedy zdecydowała się tu przyjechać.

Na pustyni ona była częścią jego świata. Teraz, zupełnie nieoczekiwanie, stali się sobie równi: kobieta i mężczyzna, oboje Europejczycy i oboje mający za sobą podobną przeszłość.

Kiedy wygłaszali uroczyste słowa przysięgi po łacinie, niezmiennie od tylu wieków, Vita modliła się z całego serca, aby ukochany mężczyzna zapomniał przy niej o goryczy i nienawiści, które zżerały go od tylu lat.

Pomyślała, że być może trudno mu będzie wrócić do dawnego życia. Miała jednak nadzieję, że będzie mu w stanie pomóc. Wiedziała, że na swej drodze mogą spotkać wiele przeszkód, ale wierzyła, iż gorąca miłość, jaką żywili do siebie, wszystko pokona. Ich miłość nie miała w sobie nic przyziemnego, a takie uczucie może pochodzić tylko od Boga.

Nasze religie mogą być różne - powiedziała sobie w duchu Vita. - Ale Bóg, w którego wierzymy, jest ten sam, i jeśli mogę w ten sposób uszczęśliwić ukochanego mężczyznę, zostanę katoliczką.

Kiedy o tym myślała, była pewna, że wszyscy bogowie są tacy sami i że każdy człowiek wierzy w jakiegoś boga, a to, czy po śmierci idzie do nieba chrześcijan, do mahometańskiego raju czy nevady buddystów nie ma w końcu żadnego znaczenia. Ważne jest tylko to, że wszystkich łączy poszukiwanie miłości, która rodzaj ludzki zbliża do Boga.

„Kocham cię! Kocham cię!” - chciała krzyknąć, gdy don Manuel wkładał jej na palec obrączkę.

Boże, spraw, aby nasza miłość była doskonała! - modliła się żarliwie, kiedy ksiądz ich błogosławił.

Po ceremonii ślubnej wszyscy wrócili do konsulatu, gdzie wydano wspaniałe przyjęcie. Vita jednak przez cały czas myślała tylko o mężczyźnie,

który był u jej boku i do którego teraz należała.

Nie miała najmniejszego pojęcia, co jadła i piła. Miała wrażenie, że wszystko dookoła otacza jakaś złocista, cudowna mgiełka, a kiedy przyjęcie się skończyło i kapitan Burton odjechał wraz z żoną do swego domu pod Damaszkiem, Vita udała się na górę, do sypialni, czując, że nadeszła chwila, na którą od dawna czekała.

Nic więcej nie miało dla niej znaczenia.

Pozwoliła pokojówce, aby pomogła jej się rozebrać, po czym narzuciła na koszulę nocną biały negliż i stanęła przy oknie. Pokój pogrążony był w ciemnościach, rozjaśnionych nieco wkradającym się z zewnątrz bladym światłem.

Urzekający blask księżycy na roziskrzonym gwiazdami niebie zdawał się częścią blasku, którym przepelnione było jej serce, i kiedy usłyszała, że drzwi się otwierają, nie odwróciła się, tylko czekała.

Przeszedł przez pokój i stanął tuż obok niej przy oknie. Vita nie odwracając głowy wiedziała, że nie patrzy wcale na księżyc, lecz na nią.

- Czy to naprawdę ty? - zapytał po chwili głębokim głosem, który zawsze tak bardzo na nią działał.

Zwróciła w jego stronę twarz.

- Jestem twoją żoną!...

- Tak trudno mi w to uwierzyć! - odparł. - Wciąż boję się, że sen się skończy i będę cierpieć jak wtedy, gdy wiedziałem, że muszę cię odesłać i że mogę cię już nigdy nie zobaczyć.

- A... teraz?

- Teraz brak mi słów, aby wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwy -

odpowiedział. - Czy to rzeczywiście prawda, że coś tak wspaniałego i pięknego jak ty może być moje na wieki?

Nie odpowiedziała; po chwili dodał żarliwie:

- Naprawdę na wieki! Nigdy nie pozwolę ci odejść, moja najdroższa! Nigdy cię nie utracę! Jeśli kiedykolwiek spróbujesz postąpić tak jak twoja kuzynka, przysięgam, że cię zabiję!

Gwałtowność, która zabrzmiała w jego głosie, nie przeraziła Vity.

- Myślę, że wszystko, co wydarzyło się w życiu kuzynki Jane, spowodowane było tylko tym, iż bezustannie szukała... miłości - powiedziała.

- Gdyby pokochała i poślubiła mężczyznę, mając tyle lat co ja, wtedy z pewnością byłaby szczęśliwa wiedząc, że znalazła to, czego każda kobieta szuka... mężczyznę, do którego pragnie należeć.

- Nie interesuje mnie twoja kuzynka, lecz ty. Kochasz mnie?

- Wiesz, że tak.

- Powiedz to, powiedz mi, przekonaj mnie, że w twoim życiu nigdy nie będzie innego mężczyzny.

- Kocham cię i... jesteś jedynym mężczyzną na całym świecie.

- Jeśli choćby tylko zerkniesz na innego, przywiozę cię tu z powrotem, poślubię jak Beduinę i zmuszę do posłuszeństwa.

Posłuszeństwa! Vita uśmiechnęła się, ale gwałtowna zazdrość, która zabrzmiała w jego głosie, nieco ją przestraszyła.

- Nigdy... nigdy nie będzie nikogo prócz ciebie.

- Będę zazdrosny do szaleństwa, despotyczny, niecierpliwy, nietolerancyjny, a może nawet czasami okrutny.

- Mimo to wciąż cię będę kochała.



- Jesteś tego pewna?

- Jeslem twoja. Jestem twoja od chwili, kiedy mnie po raz pierwszy pocałowałaś. To wtedy zrozumiałam, że... nie należę już do siebie.

Wciąż nie miał odwagi jej dotknąć. Powtarzał tylko bez końca, wpatrując się w jej twarz:

- Jesteś taka piękna! Tak niewiarygodnie, nieopisanie piękna!

Nagle jego głos stał się ostry.

- Wiele przemawia za małżeństwem beduińskim, w którym kobieta jest tak niewolniczo podporządkowana swemu małżonkowi, że nie tylko jej ciało, ale nawet myśli należą wyłącznie do niego.

- Gotowa jestem być taka, jaką chcesz, abym była - zapewniła Vita. - Co po beduińsku brzmiałoby: leżę u twych... stóp!

- Gdyby to była prawda - odpowiedział - nie bałbym się aż tak bardzo, że cię utracę. Jednak, moja droga, ty nie leżysz u mych stóp. Jesteś dla mnie święta i zawsze będę cię wielbił, ale jednocześnie potrzebuję cię i pragnę jako kobiety!

W jego głosie było coś zmysłowego, co spowodowało, że Vita miała ochotę rzucić mu się w ramiona, lecz instynktownie wyczuła, że są jeszcze sprawy, które muszą sobie wyjaśnić, zanim będzie do niego należała.

Znów, jakby odgadując jej myśli, szejk odezwał się niecierpliwie:

- Zrobiłem wszystko, abyśmy mogli już jutro wyjechać. Zatrzymamy się w Neapolu po drodze do Hiszpanii, abyś mogła odebrać swój bagaż oraz uspokoić swoją opiekunkę. - Zauważył, iż Vita nie przywiązuje do tego szczególnej wagi, lecz ciągnął dalej: - Gdy znajdziemy się już w Hiszpanii, otrzymasz ode mnie wiele wspaniałych podarunków, które będą

świadectwem tego, jak bardzo cię kocham. Ale teraz również mam ci coś do ofiarowania - podarunek ślubny, który - jak sądzę - sprawi ci radość.

- Czy mogę wiedzieć, co to takiego? - zapytała Vita.

- Poleciałem Nokcie, który na szczęście nie ucierpiał zbyt podczas bójki w oazie, aby wrócił do obozu z moim listem do Hadżaza. Wyjaśniłem w nim, że Madżuelowte i Hasajnowie nie muszą już ze sobą walczyć.

- Och, jakże się cieszę! - wykrzyknęła Vita.

- Poprosiłem również Hadżaza - ciągnął - aby tak szybko, jak to tylko możliwe, przywiózł ze sobą do Damaszku trzy konie. - Urwał, lecz po chwili dodał z uśmiechem: - Dwa wyślę twemu ojcu, aby go jakoś ułagodzić. Trzecim jest Szarifa, która zostanie dla ciebie dostarczona do Hiszpanii.

Vita nie mogła powstrzymać okrzyku radości.

- Nie mogłeś mi sprawić większej niespodzianki! Dziękuję! Och, mój drogi, cudowny... mężu, dziękuję ci... dziękuję bardziej, niż jestem to zdolna wyrazić!

Teraz, ponieważ nie chciała już dłużej czekać, wyciągnęła do niego ręce, a on mocno ją przytulił do siebie. Kiedy jasne włosy opadły na jego ramiona, spojrzał na nią skąpaną w blasku księżyca.

- Uwielbiam cię! - powiedział namiętnie. - Czczę ciebie i ziemię, po której stapasz. Lecz jednocześnie pragnę cię, jak żaden mężczyzna nigdy nie pragnął kobiety! Chcę rozpalić w tobie ogień, który płonie we mnie: ogień tak prymitywny i dziki, mój skarbie, iż boję się, że mogę cię przerazić. - Jego głos drżał od namiętności.

- Nigdy mnie... nie przerazisz - wyszeptała Vita. - Spraw, abym... kochała cię tak, jak... tego pragniesz.

Uniosła głowę i wtedy jego usta spoczęły na jej wargach. Poczowała, jak przenika ją żar namiętności. Tak jak jej powiedział, był to dziki, prymitywny ogień miłości. Silny i burzliwy płomień, który obejmując, unosił ich z nad ziemi wysoko do roziskrzonego gwiazdami nieba.

Szejk tulił Vite tak mocno, iż wiedziała, że jest już częścią niego. Nagle przyciągnął ją jeszcze bliżej, aż poczuli bicie swych serc, i Vita nie potrafiła już myśleć o czymkolwiek innym. Czuła jedynie płonącą w jej wnętrzu miłość i bezgraniczne pożądanie. Szejk uniół głowę.

- To właśnie jest przeznaczenie - powiedział. - To Inszallah, moja najdroższa, i nie ma dla nas od tego ucieczki.

Zaczął ją namiętnie całować. Kiedy objęła ramionami jego szyję, wziął ją na ręce i zaniósł tam, gdzie miało dopełnić się przeznaczenie.